

PIERWSZY DOM POLSKI NA UKRAINIE ZACHODNIEJ POWSTANIE W IWANO-FRANKOWSKU

17 lipca w obecności Janusza Ciska – podsekretarza stanu w polskim MSZ oraz konsula generalnego RP we Lwowie Jarosława Drozda uroczystie podpisano „Deklarację w sprawie powstania Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego” w Iwano-Frankowsku (dawnym Stanisławowie). Deklarację podpisali: Wiktor Anuszkiewicz, mer Iwano-Frankowska oraz Emilia Chmielowa, prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie. Będzie to pierwszy obiekt pełniący rolę „Domu Polskiego” na Ukrainie Zachodniej.



Mer Iwano-Frankowska Wiktor Anuszkiewicz (od lewej), prezes FOPnU Emilia Chmielowa i podsekretarz stanu w polskim MSZ prof. Janusz Cisek

**SABINA RÓŻYCKA,
MARCIN ROMER tekst
NATALIA KOSTYK zdjęcie**

Polską delegację w imieniu gubernatora Mychajła Wyszyniuka przywitał dyrektor departamentu ekonomiki urzędu wojewódzkiego Wołodmyr Popowycz. Na spotkaniu zaznaczył, że województwo iwano-frankowskie od dawna współpracuje z polskimi województwami: opolskim, lubuskim i podkarpackim. Ma z nimi podpisane wieloletnie umowy o współpracy, które owocują współpracą w dziedzinie kultury, sportu czy oświaty. „Wiele rejonów Przykarpacia, nawet gmin, czy wiosek ma kontakty z samorządami z Polski. Jesteśmy zadowoleni, że w 2011 roku eksport naszych wyrobów osiągnął poziom 120,5 mln dolarów. W tym roku podwoimy naszą wymianę eksportowo-importową” – powiedział pan Popowycz.

W rozmowie goście wspomnieli niedawne spotkanie w Jaremczu, w którym udział wzięli parlamentarzyści z obu państw. Polskiej delegacji przewodniczył wicemarszałek Sejmu RP Cezary Grabarczyk. Obecny był też wicemarszałek Marek Kuchciński. Rektor Uniwersytetu Przykarpackiego im Wasyla Stefanyka, Ihor Cependa zapoznał delegację z Polski z projektami, które cieszą się poparciem prezydentów obu państw. Są to projekty odnowienia obserwatorium na górze

Pop Iwan, stworzenie polsko-ukraińskiego Centrum Spotkań Młodzieży Akademickiej w Mikuliczynie oraz odnowienie willi Stanisława Vincenza w Bystrecu. Na Uniwersytecie Przykarpackim w tym roku już po raz siódmy odbył się konkurs języka polskiego i ortografii, w którym uczestniczyli studenci z różnych uczelni na Ukrainie.

Minister Janusz Cisek, który sam jest również profesorem akademickim, wysoko ocenił projekty z Przykarpacia i zaznaczył, że współpraca województwa iwano-frankowskiego z Polską może być wzorcem dla innych. W Polsce studiuje ponad 10 tys. studentów z Ukrainy. W samym tylko Rzeszowie – ponad tysiąc. Omawiano też na spotkaniu Karpacką Konwencję. „Nie zważając, na to, że Ukraina, na razie nie jest członkiem Unii Europejskiej, województwa zakarpacie, czerniowieckie, lwowskie i iwano-frankowskie są gotowe dołączyć się do wspólnych projektów UE, mających na celu rozwój regionu karpackiego” – zapewnił gości Wołodmyr Popowycz.

Uroczyste podpisanie umowy o przekazaniu lokalu na siedzibę Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego na I piętrze budynku przy ul. Strzelców Siczowych 56, odbyło się w Radzie Miasta. Zgodnie z decyzją rajców, podpisano z FOPnU umowę na dzierżawę lokalu o powierzchni ponad 300 m kw. na okres 49 lat, według najniższej możliwej stawki.

„Cieszę się, że lokalna polska społeczność uzyskała lokal, gdzie będzie można spotykać się, krzewić polskie tradycje i kulturę.” – zaznaczył minister Janusz Cisek.

– Iwano-Frankowsk – jest miastem międzynarodowej i międzykonfesyjnej tolerancji – podkreślił Wiktor Anuszkiewicz. – Sam, mam swoich żyłach krew litewską. Tutaj w dawnym Stanisławowie ściśle splottły się historia narodów polskiego i ukraińskiego. Z prośbą o otwarcie Centrum Kultury Polskiej zwrócił się do mnie konsul generalny RP we Lwowie. Wiele wysiłku w sfinalizowanie całej sprawy włożył sekretarz Rady Miasta, Ruslan Marcinków, który przekonał deputowanych, niezależnie od opcji politycznej, by jednogłośnie przegłosowali za przydzieleniem lokalu pod Centrum dla społeczności polskiej miasta. MSZ RP i konsul generalny RP we Lwowie będą wspomagać rozwój Centrum i jego wyposażenie. Podjęto decyzję, że na czas remontu lokalu (na okres sześciu miesięcy) zawieszają się opłaty komunalne. Goście, wspólnie z przedstawicielami władz miasta, obejrzelili lokal, który wymaga jeszcze remontu i nakładów finansowych, zanim otwarte zostanie tu Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego. O to zadba już strona polska. Centrum będzie dostępne dla wszystkich mieszkańców miasta.

Dyskusja o Wołyniu we Lwowie s. 8



Bitwa o media s. 4



Wańkowicz w Kosowie s. 16

14 Pułk Ułanów Jazłowieckich s. 22

DEKLARACJA W SPRAWIE POWSTANIA CENTRUM KULTURY POLSKIEJ I DIALOGU EUROPEJSKIEGO W IWANO-FRANKOWSKU

W roku 2012 mija 21 lat od czasu, gdy Polska, jako pierwszy kraj na świecie uznał niepodległość Ukrainy. Fakt ten nie tylko w symboliczny, ale także bardzo praktyczny sposób pokazuje, jak ważna dla Polski i Polaków jest niepodległa, wolna Ukraina oraz budowanie bliskich relacji z narodem ukraińskim. Dla Ukrainy i Ukraińców Polska jest jednym z najbliższych partnerów w Europie oraz pozostaje rzecznikiem i orędownikiem sprawy integracji Ukrainy z systemami demokratycznymi Zachodu.

Rok po utworzeniu niepodległego państwa ukraińskiego powołana została do życia Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie, która reprezentuje polską mniejszość narodową na Ukrainie przed organami państwowymi oraz samorządowymi.

Konstytucja Ukrainy gwarantuje wszystkim obywatelom Ukrainy równe prawa niezależnie od „rasy, koloru skóry, przekonań politycznych, religijnych i innych, płci, pochodzenia etnicznego i społecznego” (Art. 24 Konstytucji Ukrainy z 1996 r.). Jednym z takich praw jest prawo mniejszości etnicznych – w tym mniejszości polskiej w Ukrainie – „do zachowania, wyrażania i rozwijania swojej tożsamości etnicznej, kulturowej, językowej i religijnej (Art. 11 Traktatu między Rzeczpospolitą Polską a Ukrainą o dobrym sąsiedztwie, przyjaznych stosunkach i współpracy z 1992 r.).

Mer Miasta Iwano-Frankiowsk oraz Prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, świadomi znaczenia Iwano-Frankiowska oraz środowiska polskiego w tym Mieście w procesie umacniania bliskich relacji między Ukraińcami i Polakami; dostrzegając konieczność efektywnej współpracy Ukraińców i Polaków w ich „stanisławowskiej” małej ojczyźnie oraz ich rolę w budowaniu porozumienia między naszymi społecznościami; rozumiejąc własną odpowiedzialność wobec przyszłych pokoleń Polaków i Ukraińców za budowę wspólnego, europejskiego domu, w obecności podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP prof. Janusza Ciska:

1. Deklarują współpracę w celu możliwie najszybszego utworzenia

Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego w Iwano-Frankiowsku (dalej CKPDE), którego zadaniem będzie przede wszystkim zapewnienie odpowiednich warunków rozwoju środowiska polskiego w Iwano-Frankiowsku, promocja kultury polskiej na Ziemi Iwano-Frankiowskiej, inicjowanie i wspieranie działań na rzecz dialogu i porozumienia między oboma narodami, wspieranie europejskich aspiracji Ukrainy, budowa aktywnego i silnego społeczeństwa obywatelskiego na Ukrainie, dzielenie się doświadczeniem polskiej demokracji z ukraińskimi partnerami.

2. Zobowiązują się efektywnie współdziałać w celu zapewnienia jak najlepszych warunków działalności CKPDE, a w szczególności realizacji założeń koncepcji organizacyjno-funkcyjnej CKPDE zaproponowanej przez FOPnU, konsekwentnej realizacji założeń merytorycznych i programowych CKPDE oraz zabezpieczenia jego stabilnego funkcjonowania.

3. Wyrażają gotowość wspierania wszelkich inicjatyw służących prowadzeniu dialogu europejskiego oraz umacniania dobrych relacji między Ukraińcami a Polakami, a w szczególności pogłębianiu współpracy między środowiskami naukowymi, kulturalnymi, biznesowymi, organizacjami pozarządowymi w Polsce oraz na Ukrainie, szczególnie w Iwano-Frankiowsku.

4. Deklarują kontynuowanie efektywnej pracy z najmłodszym pokoleniem obywateli Ukrainy różnych narodowości, w celu budowania w nich poczucia odpowiedzialności za swoją małą ojczyznę oraz pogłębiania w nich wiedzy na temat jej historii oraz dziedzictwa kulturowego.

**mer miasta
Iwano-Frankiowska
WIKTOR ANUSZKEWICZUS
prezes Federacji Polskich
na Ukrainie
EMILIA CHMIELOWA**

**Iwano-Frankiowsk,
17 lipca 2012**

ISSN 1996-2304



9 771996 230009

Upartyjnione państwo

Być może nie wszyscy zdajemy sobie sprawę jak partie polityczne wpływają na nasze życie i funkcjonowanie. Spróbuję to przybliżyć na przykładzie Rzeczypospolitej Polskiej. Przedstawiony poniżej mechanizm jest kalką, do której można przyłożyć chyba wszystkie państwa uważane za demokratyczne. Ich system polityczny różni się tylko niewielkimi szczegółami. Niestety, „upartyjnienie” państwa nie służy mu w takim stopniu, w jakim życzyłby tego sobie każdy określający się mianem „państwowca”.

JAN WLOBART

Od lat na scenie politycznej RP funkcjonują: Platforma Obywatelska mająca około 40 tys. członków oraz Prawo i Sprawiedliwość, mający ich około 25 tys. Dopełniają ją także mniejsze partie takie jak Ruch Palikota, Polskie Stronnictwo Ludowe, Sojusz Lewicy Demokratycznej i kilka mniejszych „kanapowych” partyjek, stanowiących tzw. plankton polityczny bez realnej siły oddziaływania. Od 2007 roku w RP władzę sprawuje Platforma Obywatelska w koalicji z niewielką partią chłopską PSL. Mają one w Sejmie nieznacznie większość, niezbędną do realizacji swojego programu wyborczego (o ile o takowym można mówić!). Może to stwierdzenie wydaje się banałem, lecz większość obietnic wyborczych idzie w zapomnienie. Demagogia i populizm po uzyskaniu władzy nie są już potrzebne, ponieważ cel został osiągnięty. Jeżeli PO startowała jeszcze z jakimś programem, to PSL praktycznie z żadnym, bo trudno uznać za program slogan o „obronie polskiej wsi”. Partie bezideowe, tak jak wyżej wspomniana, są typowymi partiami władzy, zawłaszczającymi państwo na każdym szczeblu administracji i przedsiębiorstw będących w ręku Skarbu Państwa. Bezpardonowo obsadza się wszelkie dostępne stanowiska członkami partii, rodzinami, znajomymi z koterii biznesowych. Nepotyzm kwitnie w pełni. Pół biedy kiedy stanowiska zajmują ludzie kompetentni, lecz z reguły tak nie jest, bowiem takich ludzi jest niewiele. W zdecydowanej większości państwem administrują ludzie nie mający pojęcia o tym co robią, ale lojalni wobec partii, która ich delegowała za niezłe wynagrodzenia. Łupy w postaci stanowisk są dzielone według klucza partyjnego. Kompetencje są tutaj sprawą trzeciorzędną, co jest najbardziej bolesne dla obywateli, ponieważ to oni ponoszą koszty braku sprawności i profesjonalizmu w zarządzaniu państwem.

Skupmy się na przykładzie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Polakom mieszkającym poza granicami Rzeczypospolitej funkcjonowanie tego ministerstwa na pewno nie jest obojętne, ponieważ kreuje ono politykę, między innymi wobec Polonii i Polaków za granicą. Tymczasem gołym okiem widać brak kompetencji i wiedzy wielu ludzi tam zatrudnionych. Od dawna krążą legendy na temat obsadzania stanowisk w MSZ. Także tu, układy partyjne nie są bez znaczenia. Ta sytuacja powoduje, że nawet nowy minister nie jest w stanie wiele zmienić, ponieważ sam



„wsiałka” w tę atmosferę i grzęźnie w gąszczu biurokratycznych procedur. Podejrzewam, że wiele istotnych informacji nie dociera do sprawującego formalnie władzę ministra. Powoduje to sytuację, że wiele decyzji jest nie trafnych, złych lub ich po prostu brak. Brak jest ciągłości prowadzonej polityki państwa wobec Polonii, co zraża tych ludzi do Warszawy. Jesteśmy bogatym krajem skoro pozwalamy sobie na lekceważenie i ignorowanie potrzeb diaspory polskiej, szczególnie na Wschodzie, gdzie liczy ona na zrozumienie i wsparcie swoich działań.

Upartyjnienie jest często powodem, że MSZ rzadko korzysta z wiedzy ludzi, którzy z różnych przyczyn znają ten teren bardzo dobrze. W wielu sferach decydują ludzie kompletnie nie znający realiów. Znajomość problemów Polonii amerykańskiej nie oznacza jeszcze kompetencji w sprawie Polaków na Wschodzie. Oczywiście jest, że omnibusów nie ma, ale gdzie jest kompetentny aparat? Gdzie znający szczegółowe realia doradcy? Jako przykład niefrasobliwości MSZ może posłużyć chociażby brak finansowania polskiej prasy na Ukrainie w roku 2012. Do chwili obecnej polscy wydawcy pism polonijnych nie otrzymali ani złotówki na wydawanie swoich pism. Wielu z nich może zostać z długami i zbankrutować. Chcąc zachować ciągłość wydawniczą, podjęli ryzyko finansowania działalności ze swoich środków. Nie trzeba zbytnio wysilać wyobraźni, aby domyślić się co czują. Ta sytuacja wydaje się o tyle kuriozalna, że jak wiadomo minister Radosław Sikorski przez kilkanaście miesięcy „wojował” z Senatem aby

pieniądze przeznaczone na wydawanie prasy polskiej znalazły się w jego gestii i tak się stało. Co z tego, skoro efekt jest taki, że do ostatecznych beneficjentów środki finansowe jeszcze nie dotarły. Znając życie, winnych nie będzie, bo porażka zawsze jest sierotą. Moim zdaniem nie przyniesie też efektu wizyta przewodniczącego Komisji Łączności z Polakami za Granicą, która może ewentualnie posłużyć do wywołania „draki” przez opozycję w Sejmie.

Przy braku spójności działań MSZ, bardzo trudne zadanie mają konsulaty RP, ponieważ spada na nie cała fala krytyki polskiej diaspory, pomimo tego, że wykonują one tylko polecenia MSZ. Szczególnie konsulat generalny we Lwowie, który w swoim okręgu ma największe skupiska Polaków, znajduje się w ogniu krytyki i musi się tłumaczyć z czynów niepopelnionych. Z całą stanowczością można stwierdzić, że nie da się prowadzić spójnej i skutecznej polityki bez ciągłości poczynań, znajomości terenu i tematu przez osoby odpowiedzialne w MSZ.

Konkludując, partie reprezentujące niewielką część wyborców i sympatyków (w postaci swoich członków), zawłaszczają państwo niekoniecznie jemu służąc i godnie go reprezentując. Myślenie „propartyjne” jest nadrzędne w stosunku do interesów państwa, a powinno być odwrotnie. Nie ma żadnej sprawy, która może być ważniejsza od Rzeczypospolitej Polskiej i jej racji stanu, o czym nie powinni zapominać jej obywatele, biorąc czynny udział we współrzędzeniu. Chociażby poprzez uczestnictwo w wyborach.

Janusz Cisek o zamachu majowym 1926

Przewrót majowy przeprowadzony przez Józefa Piłsudskiego w 1926 r. był potrzebny i przyniósł dobre owoce – powiedział prof. Janusz Cisek, były dyrektor Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, dzisiejszy wiceszef MSZ, w wywiadzie udzielonym dziennikarce PAP w 2011 roku.

Przewrót majowy był w dziejach II Rzeczypospolitej ważną cezurą i niewątpliwie rozgranicza całą historię XX wieku na dwie epoki: epokę rozchylanej, jak to pisano do 1926 roku, demokracji, albo sejmowadztwa i epokę uporządkowanej demokracji, w której istnieją pewne priorytety służące interesom państwa. Również i w naszej współczesnej historii, a tak wynika przynajmniej z badań społecznych, gotowi jesteśmy zaakceptować rozwiązania, które stabilizują sytuację, a nie ją destabilizują. W tym sensie, że mnogość rozwiązań proponowanych przez rozmaite środowiska, nie zawsze służące interesom państwa, wreszcie brak autorytetu wpływa bardzo negatywnie na możliwości rozwoju społecznego i gospodarczego. Stąd, myślę, bierze się taka powszechna akceptacja po 1926 roku działań, które zastosował Józef Piłsudski.

Myślę, że przewrót majowy był sygnałem dla tych, którzy chcieli pracować dla państwa, bo przed 1926 rokiem rządy zmieniały się bardzo często. Dochodziło niejednokrotnie do bardzo karkołomnych kombinacji sejmowych, jak rządów Chjeno-Piasta, czyli stronnictwa konserwatywnego z ludowym. Wreszcie braku stabilizacji, gdy chodzi o główne kierunki polityki państwowej.

Piłsudskiemu chodziło o wojsko i sprawy zagraniczne. Wreszcie o gospodarkę, która była wtedy w bardzo złym stanie, szczególnie do roku 1924, do reformy Grabskiego, a i później – bowiem bardzo szybko utracono te przywileje, które ta reforma i wprowadzenie złotego, jako naszej polskiej waluty, przyniosła.

To co po roku 1926 jest widoczne, to niewątpliwie, constans jeżeli chodzi o politykę wojskową, nad którą Piłsudski sprawował bezpośrednią kontrolę. Podobnie, gdy chodzi o



sprawy zagraniczne. Wiedzieliśmy, jaki jest nasz stosunek do Rosji, do Niemiec, do Ligi Narodów, do Czechów i do innych państw, z którymi łączyły nas określone interesy, jak na przykład do sojuszników rumuńskich. Wreszcie polityka gospodarcza, czyli napędzanie koniunktury przez system zamówień publicznych i budowa wielkich inwestycji: Centralny Okręg Przemysłowy, linia kolejowa Gdynia-Śląsk, polski przemysł zbrojeniowy, wytwórnie sprzętu komunikacyjnego, które funkcjonują do dnia dzisiejszego, jak na przykład Mielec, Świdnik czy Rzeszów. To wszystko stanowi przemysłową konstrukcję, która znalazła swoją realizację po maju 1926 roku.

Reasumując: trudno jest bronić zamachu, jako metody naprawy państwa czy przejmowania władzy, ale w tym konkretnym przypadku, wyniki tego kroku wskazują na to, że był on potrzebny i przyniósł dobre owoce.

Nasz komentarz:

Pełna zgoda Panie Ministrze! Wspólne spojrzenie na przeszłość jest zawsze dobrą podstawą do efektywnych działań w przyszłości. Każdego z nas i w każdym miejscu.

Dom Polski we Lwowie – niebawem

„We Lwowie niebawem zostanie przekazany lokal pod Dom Polski,” – powiedział gubernator Mychajło Kostiuk na spotkaniu z podsekretarzem stanu w polskim MSZ, Januszem Ciskiem.

Gubernator wspominał również, że w najbliższym czasie wierni kościoła rzymskokatolickiego otrzymają lokal o powierzchni około 6000 m kw. na realizację różnych programów socjalnych i kulturalnych – organizację schroniska dla biednych i szkoły katolickiej.

„Wspieramy wszechstronnie otwarcie Domu Polskiego we Lwowie. W chwili obecnej dwustronna grupa robocza obejrziała kilka obiektów,

które ewentualnie mogły by być przekazane na Centrum Kultury Polaków we Lwowie. Na razie realnie rozpatrywane są dwa obiekty, które odpowiadają wymogom polskiej strony. Są reprezentacyjne i dosyć obszerne. W niedługim czasie podejmiemy ostateczną decyzję i we Lwowie zostanie otwarty Dom Polski” – podkreślił Mychajło Kostiuk.

Jednocześnie Janusz Cisek podziękował gubernatorowi za zrozumienie problemów Polaków we Lwowie i sprzyjanie w ich rozwiązaniu, a również wysłowił nadzieję na kontynuację i dalszy rozwój współpracy pomiędzy dwoma narodami.


źródło: zaxid.net

Z OSTATNIEJ CHWILI

Według posiadanych przez nas informacji, umowa na program medialny, pomiędzy polskim MSZ a Fundacją „Pomoc Polakom na Wschodzie” została podpisana w poniedziałek 30.07.2012.

Prasa polska o Ukrainie

wybrał i opracował
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

 Prezydent Rosji szuka w Kijowie polityka, który będzie skutecznie lobbował na Ukrainie interesy Kremla. Takim politykiem ma być 58-letni Wiktor Medwedczuk, w przeszłości szef administracji prezydenta Leonida Kuczmy, znany prawnik i biznesmen, były deputowany ukraińskiego parlamentu. Z Putinem łączy go bliskie więzi – prezydent Rosji jest ojcem chrzestnym ośmioletniej córki Medwedczuka Darii, matką chrzestną dziewczynki jest żona rosyjskiego premiera Dmitrija Miedwiediewa Swietłana. Daria niedawno otrzymała od chrzestnego pluszowego misia. Putin wręczył jej prezent podczas wizyty roboczej na Krymie 12 lipca. W ukraińskim Internecie krąży film ukazujący luksusową rezydencję Medwedczuka pod Jałtą, gdzie – jak się chwalił Putinowi – zatrzymywali się pisarze Antoni Czechow i Lew Tolstoj.

Prywatna wizyta Putina u Medwedczuka, z którym pił szampana, nie byłaby niczym nadzwyczajnym, gdyby w tym samym dniu gospodarz Kremla nie zignorował uważanego za prorosyjskiego Wiktora Janukowycza. Putin nie dość, że spóźnił się na spotkanie z prezydentem Ukrainy w Jałcie ponad cztery godziny, to jeszcze po drodze zjechał najpierw do Sewastopola, by spotkać się ze znajomymi motocyklistami.

Przegrana karta

Eksperci w Kijowie twierdzą, że podczas wizyty w Jałcie Putin pokazał Janukowyczowi, gdzie jest jego miejsce i na jakie poparcie Kremla może liczyć.

Putin stawia na Medwedczuka, bo ten będzie bardziej skutecznie bronił interesów rosyjskich na Ukrainie. Chodzi przede wszystkim o wdrażanie w życie rosyjskich projektów integracyjnych, w tym członkostwa Ukrainy w Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej – mówi „Rz” były doradca Leonida Kuczmy Oleh Soskin. – Janukowycz dla Kremla jest kartą przegraną. Dlaczego? Putin ma kłopoty, by się z nim porozumieć. Janukowycz mówi mu: „Ukraina to mój biznes”, i na tym sprawa się kończy – zaznacza Soskin.

Ukraińscy politolodzy są zdania, że Putin zgodzi się na obniżkę ceny gazu dla Ukrainy w zamian za ważne stanowisko dla Medwedczuka. Soskin uważa, że Kreml będzie dążył do mianowania Medwedczuka szefem rządu na Krymie. To stanowisko mogłoby być dla niego „trampoliną” z której mógłby dostać się nawet na urząd szefa państwa. Jako premier Krymu mógłby szantażować Kijów poparciem tamtejszych Rosjan.

„Rosyjski politolog Andriej Okara dodaje, że Medwedczuk daje otwarcie do zrozumienia, iż będzie człowiekiem Kremla. Godne uwagi

jest to, że na plakatach ruchu społecznego Wiktora Medwedczuka Ukraiński Wybór jego przywódca znajduje się na tle... kolorów rosyjskiej flagi. Szara eminencja z przeszłości znów komentuje w stacjach telewizyjnych najbardziej znaczące wydarzenia na Ukrainie, ale próbuje zachować umiar, nie popierając ani władz, ani opozycji” – pisała rosyjska „Niezawisimaja Gazeta”. W wywiadach dla rosyjskich dziennikarzy Medwedczuk mówił, że język rosyjski na Ukrainie powinien otrzymać status państwowego.

Idea federacji

Ukraiński Wybór Medwedczuka chce zorganizowania referendum w sprawie członkostwa Ukrainy w Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej. Urodzony w rosyjskim Kraju Krasnojarskim Medwedczuk popiera też pomysł, by Ukraina została federacją.

Syn znanego dysydenta Tarasa Czornowił przypomina, że przed wyborami parlamentarnymi w 2006 r. Kreml naciskał na Janukowycza, szefa Partii Regionów, by utworzył blok polityczny z socjaldemokratami Medwedczuka. Janukowycz odmówił. Medwedczuk znalazł się za polityczną burtą. Teraz wraca do gry, zabierając głos w sprawach geopolitycznych Ukrainy i jej stosunkach z Rosją. Ostatnio stwierdził, że „gdyby Janukowycz mówił w programie wyborczym, że jego priorytetem jest integracja z Europą, nie zostałby prezydentem”.

Pod koniec lat 70. Medwedczuk, wówczas radziecki prawnik, został z urzędu wyznaczony na obrońcę znanego dysydenta Wasyla Stusa. Miał domagać się dla niego wyższego wyroku niż prokurator.


Ukraiński faworyt Putina. Tatiana Serwetnyk 16-07-2012

 Przy granicy Ukrainy i Słowacji odkryto tunel, który służył do przemytu papierosów. Zadziwia system organizacji przemytników. Tunel ma ok. 700 metrów. Prowadzi ze słowackiej miejscowości Vyšné w pobliże Užhorodu na Ukrainie. Po obydwu stronach są wejścia otwierane na umówiony sygnał. We wnętrzu zainstalowane są szyny, po których jeździ wózek z papierosami.

Policja twierdzi, że papierosy były przemycane nawet do trzech razy w tygodniu w tysiącach kartonów. Towar, który znalazł się na terenie Słowacji od razu był ładowany do tirów.

Nie wiadomo, jak długo tunel mógł funkcjonować. Przemytnika oraz kierowcę ciężarówki zatrzymano. Zdaniem słowackiego ministerstwa finansów, straty fiskusa mogły wynosić 50 milionów euro rocznie.


Tunel do przemykania narkotyków. domat 19-07-2012

 Największa w historii emisja obligacji skarbowych Ukrainy rozgrzała inwestorów. Popyt 2,5 raza przewyższył ofertę. Jak podało w komunikacie ukraińskie ministerstwo finansów, 5-letnie obligacje opiewały na rekordowe 2 mld dol. Ich dochodowość to aż 9,25 proc., nic więc dziwnego że inwestorzy (w sumie 260) złożyli zamówienia na 5,8 mld dol. Ponad 75 proc. papierów przypadło amerykańskim funduszom i obywatelom, a także inwestorom z Europy.

Emisja była zaplanowana pierwotnie w rozmiarze 1 mld dol., na początek roku, ale kilka razy ją odkładano. Ostatecznie została podwojona, co okazało się trafnym posunięciem.

Ostatni raz Kijów wyemitował euro obligacje w lutym 2011 r. Wtedy do inwestorów trafiło 1,5 mld dol. na 10 lat z oprocentowaniem 7,95 proc. Dziś na rynku wtórnym są one sprzedawane z zyskiem 10-procentowym.

Amerykanię polknęli ukraińskie papiery. i.t. 19-07-2012

 Tylko trzech deputowanych Rady Najwyższej zostało uznanych przez ukraiński ruch obywatelski Czesno (Uczciwie) za sumiennych polityków. Test oblało... 447 wybrańców narodu.

Nie chodzą na posiedzenia, nie głosują, nie ujawniają swoich dochodów, nie przestrzegają swobód obywatelskich, zmieniają barwy polityczne.


Posłowie opozycji, którzy obłali test z powodu nieobecności w parlamencie, biją się w piersi i szukają usprawiedliwienia. Tłumaczą, że zorganizowali protesty w obronie Julii Tymoszenko i wyciągali kolegów z aresztów.

Przywódcy największych partii na Ukrainie coraz częściej słyszą apele, by nie przyjmowali w swoje szeregi nieuczciwych polityków. Ale Partia Regionów zignorowała prośbę ruchu Uczciwie i odmówiła podania nazwisk kandydatów, którzy będą się ubiegać jesienią o mandat posła. Z ruchem ma za to zamiar współpracować partia Udar mistrza wagi ciężkiej Witalija Kliczki.

Zdaniem szefowej kijowskiej fundacji Demokratyczne Inicjatywy Iryny Bekeszkiej ruch Uczciwie przejął obowiązki przywódców partii, którzy powinni troszczyć się o to, by ich listy wyborcze były lepsze.

– Ludzie nie wiedzą, na kogo głosują. Przez to są przekonani, że nie mają realnego wpływu na władze – uzasadnia Bekeszka.

Grzeszni ukraińscy politycy. tas 23-07-2012

 Czeczen, który miał ponoć przygotowywać zamach na Władimira Putina, ma szansę na azyl na

Ukrainie. O rzekomym zamachu na ówczesnego premiera, a dziś prezydenta Rosji Władimira Putina, do którego miało dojść w marcu w Moskwie, znów zrobiło się głośno. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) kończy dochodzenie w tej sprawie. Materiały śledztwa zostaną przekazane sądowi. O ewentualnej ekstradycji dwóch oskarżonych o próbę ataku na rosyjskiego przywódcę, Czeczena Adama Osmajewa i obywatela Kazachstanu Ilję Pijanżina, zadecydują sędziowie w ukraińskiej Odessie.


Jest to na rękę oskarżonym, ponieważ boją się trafić do Rosji. Być może dlatego chętnie współpracowali z ukraińskimi służbami. „A jeśli Adam Osmajew udowodni przed ukraińskim sądem, że w jego kraju grozi mu realne niebezpieczeństwo, ma szansę otrzymać azyl na Ukrainie” – pisał rosyjski dziennik „Kommiersant”.

O tym, że terroryści z Czeczenii szykowali zamach na Putina, poinformował na tydzień przed wyborami prezydenckimi, 4 marca, program pierwszy rosyjskiej telewizji Pierwyj Kanał. Podał, że do zamachu z użyciem materiałów wybuchowych miało dojść tuż po wyborach. Domniemani zamachowcy przylecieli do Odessy ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Planowali zdetonować bombę w pobliżu Prospektu Kutuzowskiego w Moskwie podczas przejazdu kolumny samochodowej z ówczesnym premierem Putinem.

I choć Osmajew i Pijanżin przyznali się do winy, ale w wersję, że ktoś chciał zabić Putina tuż przed wyborami, nadal wielu nie wierzy.

„Trudno uwierzyć w to, że jakichś dwóch chłopów, w przerwie między spożywaniem słoniny i pierogów, coś takiego wykombinowało. Poważny spisek wymaga stworzenia grup bojowych, ustalenia trasy i miejsca przejazdu, werbowania sojuszników. To wielomiesięczna praca i duże pieniądze” – mówił „Kommiersantowi” Giennadij Gudkow z partii Sprawiedliwa Rosja. Jest przekonany, że doniesienia o zamachu nie miały wpływu na poparcie Putina w wyborach prezydenckich.

Zamach czy reklama dla Putina. Tatiana Serwetnyk 25-07-2012

 Ukraina to część Rosji, Abchazja też należy do tego kraju. Tak wynika z oficjalnej strony londyńskiej olimpiady.

Zaczął się od Gruzji. Władze lokalnego komitetu olimpijskiego ze zdumieniem stwierdziły, że na stronie internetowej igrzysk olimpijskich w Londynie dwie separatystyczne republiki, Abchazja i Osetia Południowa, zostały „przyłączone” do Rosji.

Chodzi o krótkie informacje o dwóch rosyjskich sportowcach. Jeden z nich jako miejsce urodzenia

podane ma miasto „Gudautia (Rosja)”. Tymczasem Gudautia leży w Abchazji, którą Gruzja uznaje za część swego terytorium, podobnie gospodarze igrzysk i społeczność międzynarodowa (z wyjątkiem kilku krajów). Moskwa natomiast uznaje niepodległość Abchazji. W drugim przypadku sportowiec urodził się w „Osetii Południowej (Rosja)”, czyli sytuacja jest identyczna. Narodowy Komitet Olimpijski Gruzji złożył protest, ale najwyraźniej bez efektów, bo jeszcze wczoraj po południu widniały te same dane.

Jeszcze dziwniej jest w przypadku Tarasa Chteja. Urodził się pod Lwowem, którego przynależność do Ukrainy nie jest przez nikogo podważana. Na stronie igrzysk olimpijskich jest on przedstawiony jako Taras Khtey, który urodził się „22/05/1982 – Lvov Region (RUS)”. Z kolei w kilku innych przypadkach (np. gdy miejscem urodzenia jest Łuck) mowa jest o „Ukraine Region (RUS)”, czyli – jak z oburzeniem piszą ukraińskie media – Ukraina zamiast niepodległego państwa określana jest mianem „obwód ukraiński” Rosji. Oczywiście ukraińskie władze olimpijskie również stanowczo zaprotestowały, a media tego kraju umieściły informacje o nowym skandalu w najważniejszych miejscach swych wiadomości.

Strona olimpiady podaje informacje, jakie przekazał rosyjski komitet olimpijski – Na naszej stronie zamieściliśmy takie informacje, jakie dostaliśmy z rosyjskiego narodowego komitetu olimpijskiego – usłyszeliśmy w biurze prasowym londyńskich igrzysk olimpijskich.

Pomimo protestów organizatorzy olimpiady najwyraźniej nie byli skorzy do wprowadzenia jakichkolwiek zmian, choć zapewniali wcześniej, że uczynią wszystko, aby nie było pomyłek, na przykład aby nie wywieszano niewłaściwych flag i nie grano nieodpowiednich hymnów. Tymczasem już do tego doszło – zamiast swojej flagi futbolistki z Korei Północnej przed meczem z Kolumbią ujrzały flagę Korei Południowej. Zeszły z boiska i powróciły dopiero po tym, jak zostały przeproszone. Przedstawiciele Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego zapewniali stanowczo, że to „zwykły, ludzki błąd”, niemający żadnego podtekstu politycznego.

– Nie sądzę, by pomyłki w określeniu miejsca urodzenia naszych sportowców zostały uczynione celowo – powiedział „Rz” znany rosyjski publicysta Dmitrij Babicz. – Na pewno materiały były tworzone przez ludzi młodych, których znajomość geografii jest nikła, a historii jeszcze mniejsza.

Czy Lwów jest rosyjski. Piotr Kościński 27-07-2012

DIABEŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

„Sikorski nadal nie płaci”, „Larum grają”, „Czy MSZ zlikwiduje polskie media na Wschodzie?” – to tylko niektóre tytuły, które pojawiły się ostatnio w prasie polskiej.

MARCIN ROMER tekst
MARIA BASZA zdjęcia

„W imieniu Przewodniczącego Komisji Łączności z Polakami, w związku z niepokojącymi informacjami dochodzącymi z Ukrainy proszę Pana jako wydawcę największej gazety polskiej o opinię jaka obecnie jest sytuacja mediów polonijnych na Ukrainie?” – to mail z Kancelarii Sejmu RP z 12 lipca br.

Codziennie mnóstwo telefonów od dziennikarzy z Polski, z prośbą o informacje i komentarz. I pytania od czytelników: „Czy wyjdzie następny numer Kuriera Galicyjskiego?”.

Co się stało?

Reforma. Albo lepiej reorganizacja. Można też użyć modnego wyrażenia: „alokacja środków”. Do zeszłego roku fundusze dla Polaków za granicą były przyznawane przez Senat RP. W roku bieżącym przejął je Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Nie stało się to „deus ex machina”. MSZ zabiegało o to od dawna, mimo oporu dużej części senatorów i posłów RP. Zmiany argumentowano tym, że zgodnie z zasadami podziału władzy – to administracja rządowa, a nie Senat, który sprawuje rolę nadzorującą i kontrolną, powinna być odpowiedzialna za wydawanie tych pieniędzy. Sprawa rozstrzygnęła się na korzyść MSZ w końcu lutego, a do działań mogło ono przystąpić dopiero po przyjęciu budżetu państwa, co w tym roku nastąpiło w pierwszej dekadzie marca. MSZ wtedy ogłosił kilkudniowe (!) konsultacje, po czym rozpisano wymagany ustawą konkurs.

Konkurs ogłoszony przez MSZ, do którego mogły przystąpić organizacje pozarządowe (tzw. NGO-sy), zajmujące się Polonią i Polakami za granicą został rozstrzygnięty 18 maja br. Następnym etapem powinno być podpisanie odpowiednich umów pomiędzy MSZ a tymi organizacjami. Według posiadanych przez nas informacji, pierwsze tego typu umowy podpisano na początku lipca. Żadna nie dotyczyła mediów polskich na Wschodzie. Zgodnie z prawem, dopiero po podpisaniu tych umów, „zwycięskie” organizacje startujące w konkursie mogą podpisać kolejne umowy z ostatecznymi beneficjentami za granicą.

Od początku lipca, prawie codziennie, poczęły napływać nowe informacje o zawieszeniu wydawania kolejnych polskich tytułów prasowych czy emisji audycji radiowych i telewizyjnych. Sprawa nie dotyczyła tylko Ukrainy, ale ca-



Minister Janusz Cisek podczas spotkania z dziennikarzami polskich mediów na Ukrainie

łego „posowieckiego” Wschodu – od Dyneburga na Łotwie, po Donbas na Ukrainie. Sparaliżowana została działalność większości organizacji polskich na tym obszarze i co gorsza, większość inicjatyw edukacyjnych. W konkursie, z przyczyn formalnych, nie przeszedł sztabowy projekt stypendialny „Semper Polonia”, dzięki któremu młodzi Polacy ze Wschodu mogli studiować w kraju swego zamieszkania. Trzeba przy tym zaznaczyć, że na Ukrainie większość szkół wyższych to uczelnie płatne.

Bitwa polityków czy próba naprawy?

13 lipca sprawa trafiła pod obrady sejmowej Komisji ds. Łączności z Polakami za Granicą. Komisja przebrała swoje posiedzenie, podczas którego chciała ocenić, jak po zmianach funkcjonuje system rozdziału środków dla środowisk oraz mediów polonijnych. Prezydium komisji postanowiło przeprowadzić wizytację na Ukrainie, by osobiście przekonać się o sytuacji.

W międzyczasie, 18 lipca, na spotkaniu z przedstawicielami polskich mediów na Ukrainie przybył do Lwowa prof. Janusz Cisek, podsekretarz stanu w polskim MSZ. Jednocześnie w ciągu kilku dni poprzedzających

spotkanie, przedstawiciele większości mediów, które nie uzyskały finansowania w ramach przeprowadzonego konkursu, otrzymywali za pośrednictwem konsulatury informacje o przydzieleniu im środków bezpośrednio z puli MSZ. Obecni na spotkaniu przedstawiciele mediów podnosili sprawę, iż media są w szczególności w sposób czule na brak funduszy. To tzw. projekty ciągle, sens jakich polega na nieprzerwanym i systematycznym procesie wydawania periodyków lub emisji audycji radiowych czy telewizyjnych. Nie jest rzeczą prostą sformowanie zespołu redakcyjnego i zbudowanie systemu dystrybucji. Wszystko to wymaga środków finansowych. Nie jest też sprawą obojętną kiedy staną się one dostępne dla ostatecznych beneficjentów. Każde z mediów to przecież większe lub mniejsze przedsiębiorstwo, podlegające prawu gospodarczemu.

Na to pytanie minister nie miał gotowej odpowiedzi. Chociaż jak zaznaczył na wstępie, zdaje sobie sprawę, że media polskie są „...jedną z najsukuczniejszych form utrzymania polskości, szczególnie tutaj na terenach Ukrainy, na terenach dawnej Rzeczypospolitej”. Janusz Cisek oświadczył, że w tym roku konkurs zostanie rozpisany już w październiku, tak, „aby do grudnia podać do wiadomości środki,

Zaraz potem na Ukrainę przybył przewodniczący Komisji ds. Łączności z Polakami za Granicą Sejm RP Adam Lipiński. Odwiedził Kijów, Żytomierz, Berdyczów, Winnicę, Lwów, Łanowice i Drohobycz. 21 lipca spotkał się we Lwowie z przedstawicielami niektórych mediów, przedstawicielami Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, działaczami oświatowymi. Adam Lipiński rezultat tegorocznej alokacji środków budżetowych przeznaczonych dla Polaków żyjących poza granicami RP, z Senatu do MSZ uznał za „kompletną klępkę”. Wyraził też nadzieję, że w przyszłym roku system finansowania inicjatyw podejmowanych przez Polaków na Wschodzie „jakoś się naoliwi”.

W czasie dyskusji, która później nastąpiła, poza zapoznaniem się z bieżącą sytuacją poszczególnych podmiotów „polonijnych”, uczestnicy skupili się na problemach funkcjonowania mediów i innych instytucji



Wystąpienie Doroty Jaworskiej – redaktor naczelnej kwartalnika „Krynica”

którymi będziecie mogli państwo dysponować w roku następnym...”. Ze swej strony minister Cisek zasugerował, że celowym byłoby oprzeć się na najsilniejszych mediach na Ukrainie. Inne dotychczasowe media mogłyby z nimi współpracować np. w formie dodatków regionalnych. Dawałoby to w efekcie pełny przekrój tematyki ważnej dla środowisk polskich na Ukrainie i podnosiło poziom samego wydania. Propozycja ta pozostała na razie bez komentarzy. To kwestia przyszłości.

polskich na Wschodzie. Podkreślano konieczność przyjęcia długofalowej strategii w tym zakresie. Działamy zgodnie z polską racją stanu i jesteśmy potrzebni Polakom tu mieszkającym. Czy jesteśmy jednak potrzebni strukturze państwa polskiego? Czy istnieje polska polityka wschodnia? – To tylko niektóre z pytań. Nie działamy też w próżni – stwierdzano – nasze działania często są katalizatorem tworzenia dobrych stosunków polsko-ukraińskich.

„Jeśli na wiosnę nie posiejesz marchewki, jesienią nie będzie co zbierać” – powiedział Adam Chłopek, szef Zjednoczenia Nauczycieli Polskich na Ukrainie i dyrektor Centrum Metodycznego Nauczania Języka Polskiego w Drohobyczu, w kontekście niemożności uzyskania funduszy na kształcenie nauczycieli języka polskiego, a Marta Markunina przedstawiła wręcz tragiczną sytuację kadrową szkół polskich we Lwowie. Większość nauczycieli dochodzi do wieku emerytalnego, młodzi nie chcą przyjść. Ich pensja to 100 dolarów. Wstydę się do tego publicznie przyznać – mówiła dyrektor Markunina. Szkoły polskie we Lwowie to dobrze wyposażone, elitarne placówki. Jeśli nie będzie-



Podczas spotkania z przedstawicielami organizacji polskich na Ukrainie. Krzysztof Drzewicki (od lewej), Janusz Cisek i Jarosław Drozd

my mogli zapłacić nauczycielom, kuratorium oświaty przyśle swoich. Szkoły tracą polski charakter...

Nasze spotkanie to stypa – padło stwierdzenie podczas dyskusji. Podkreślano też, że obowiązujące procedury, choć w pełni zgodne z obowiązującym prawem i przepisami, często zupełnie nie przystają do realnej rzeczywistości. Zamiast ułatwiać realizację założonych celów, utrudniają lub wręcz blokują. Otaczającej rzeczywistości szybko zmienić się nie da. Może więc warto pomyśleć o zainicjowaniu zmian procedur i sposobu działania?

25 lipca, w polskim Sejmie, ponownie debatowała Komisja ds. Łączności z Polakami za Granicą. Obrady były burzliwe. Obecny na posiedzeniu wiceszef MSZ oświadczył, że ostatnia umowa z Fundacją „Pomoc Polakom na Wschodzie” dotycząca właśnie mediów została paraflowana.

27 lipca na stronie internetowej Fundacji „Pomoc Polakom Na Wschodzie” ukazał się komunikat: „Szanowni Państwo, chcielibyśmy poinformować, że dziś o godz. 13. Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” otrzymała do podpisu z MSZ paraflowaną umowę dotyczącą obszaru „C” – wspierania mediów i kultury na Wschodzie. Wg nieoficjalnych informacji, po podpisaniu umowy przez MSZ, pieniądze na wsparcie mediów zostaną przekazane na konto Fundacji w ciągu kilku dni. Będziemy informować Państwa o terminach i sposobie przekazania środków”.

Koniec burzy? Wygląda na to, że na dzisiaj tak. Zakładając, że umiemy liczyć, środki dla mediów uzyskiwane za pośrednictwem tego „NGO-sa”, powinny być dla nich dostępne przed połową sierpnia. Pozostaje też parę uwag i parę pytań. Najważniejsze z nich: co dalej? Zostaje też niesmak.

Primum non nocere

Przede wszystkim nie szkodzić. Ta stara lekarska zasada została w tym roku naruszona. Jaki koń jest, każdy widzi. To co się wydarzyło, mimo nadziei na pozytywne w końcu rozwiązanie, nie pozostanie bez wpływu na przyszłość. Obnażyło niesprawność obowiązujących procedur i podważyło, bezwarunkowo

dotychczas, zaufanie środowisk polskich do struktur państwa polskiego. Odpracowywać przyjdzie to długo. I nie chodzi tu, co warto podkreślić, o obronę dotychczasowego status quo. Nie chcę tu wchodzić w ocenę konkretnych tytułów i zasadność lub nie – ich finansowania ze środków budżetu RP. To sprawa na odrębne rozważania. Podobnie jak nie miejsce tu na ocenę dokonanej zmiany, polegającej na zmianie dysponenta



„Nasze spotkanie to stypa”... Konsul Marian Orlikowski (od lewej, poseł Adam Lipiński i dyrektor polskiej szkoły nr 10 we Lwowie Marta Markunina

środków przeznaczonych na sprawy polonijne. Być może pewnych zmian należało dokonać by zwiększyć efektywność wydawanych środków budżetowych z pożytkiem dla interesów i zobowiązań państwa polskiego.

Nie to wydaje się jednak największym problemem, a sposób i czas w jaki zdecydowano się przeprowadzić zmiany. Wydaje się, że należałoby najpierw dokonać kompetentnej oceny istniejącego stanu rzeczy. Później, mając na uwadze cel, jaki chcemy osiągnąć, należałoby dobrać skuteczne metody jego realizacji. Truizm? Z pewnością. Ale jak się ma tegoroczny „sukces”, do czterech priorytetów w polityce wobec „Polonii”, określonych przez ministra Sikorskiego na spotkaniu w Pułtusku 2 maja br.? Dla przypomnienia – pierwszy to edukacja, drugi – promocja Polski za granicą.

Trzeba też wspomnieć, że wysłano w ten sposób nie tylko zły sygnał do środowisk polskich, szczególnie tych aktywnie zaangażowanych w życie publiczne. To także zły

sygnał dla środowisk ukraińskich, upatrujących w Polsce partnera w swej drodze do Europy. Na Ukrainie te sprawy się przeplatają. Polacy na Ukrainie są częścią społeczeństwa ukraińskiego. To nie aborygeni żyjący w gettach.

Wreszcie, pamiętać należy, że nie wszyscy są nam przyjaźni. Są środowiska, które z wielką radością, ba! nadzieją, żeby nie powiedzieć satysfakcją, przyjęły zaistniałą sytu-

Uwag kilka...

Podczas spotkań z przedstawicielami mediów na Ukrainie, a także podczas obrad Komisji Sejmowej padło wiele stwierdzeń, do których należałoby się ustosunkować. Chociażby po to, by sprostować parę informacji i kilka postawionych tam tez. Na spotkaniach tych, tytuł „Kurier Galicyjski” był wymieniany wielokrotnie.

Na posiedzeniu komisji sejmowej minister Cisek powiedział: „Znajduje-

robi różnego typu usługi na ukraińskim rynku medialnym itp. Pozwala to na podparcie płynności czy podejmowanie niewielkich własnych inicjatyw. Natomiast udzielona rada jest zupełnie nierealna. Samorządy ukraińskie praktycznie nie mają pieniędzy, natomiast polskie, zgodnie z prawem, nie mogą wydać ani jednej złotówki poza granicami RP. O ile wiem, żadne polskie pismo na Wschodzie nie jest w stanie utrzymać się samodzielnie. To raczej misja.

Podczas obrad komisji padło też stwierdzenie, że niektóre media składały swoje wnioski do różnych „NGO-sów”. Jako przykład wymieniono nasze pismo. Zabrzmiało to tak,



Adam Chłopek – szef Zjednoczenia Nauczycieli Polskich na Ukrainie i dyrektor Centrum Metodycznego Nauczania Języka Polskiego w Drohobyczu

jakbyśmy składali takie same wnioski do różnych organizacji. Tymczasem tak nie było. Wnioski złożyliśmy do różnych NGO-sów, ale w każdym przypadku dotyczyło to różnych projektów. Trzeba pamiętać, że Kurier Galicyjski to nie tylko gazeta o nakładzie 8500 egzemplarzy. To także internetowy, codzienny portal informacyjny www.kuriergalicyjski.com, Klub Galicyjski oraz przygotowywany kwartalnik i portal „Wolni z Wolnymi”. KG to także organizator corocznych polsko-ukraińskich konferencji, organizowanych wspólnie z ukraińskimi uniwersytetami. Konferencje te weszły już do kalendarza najbardziej liczących się wydarzeń na tym polu. KG jest też inicjatorem wielu innych przedsięwzięć, jak np. wystawy czy stałe audycje radiowe dla Polaków w Stanisławowie itd. Taka organizacja nie może pracować na zasadzie wolontariatu. Są w niej ludzie, profesjonalni dziennikarze, dla których działalność w Kurierze Galicyjskim to ich praca, źródło utrzymania. Gazeta tego typu ma też zewnętrzne zobowiązania, umowy i podlega prawu gospodarczemu i prasowemu Ukrainy. Jak każda tego typu struktura musimy mieć jasny obraz perspektywy finansowej. To nie jest jednorazowa impreza, która się może odbyć lub nie. Nawet likwidacja jest na Ukrainie procesem skomplikowanym i kosztownym.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Najważniejsza.

Do niedawna w sprawie polityki zagranicznej, a w szczególności stosunku do Polonii i Polaków za granicą, panował w Polsce consensus. Niedobrze by się stało, gdyby ta dotychczasowa zasada przestała obowiązywać.



Przewodniczący Rady Fundacji „Polonia Ruthenia” Robert Czyżewski (od lewej) i redaktor naczelny „Kuriera Galicyjskiego” Mirosław Rowicki

ację. Niedawno na jednym z rosyjskojęzycznych portali przeczytałem, że państwo polskie likwiduje media polskie na Wschodzie, tylko ten „trojan” – Kurier Galicyjski ciągle się ukazuje. Padło pytanie: „kto karmi go sianem”?

my się w kryzysie i mimo tego staramy się objąć dofinansowaniem taką samą paletę tytułów i mediów jak w latach ubiegłych, ale w związku z tym pewna ich liczba otrzyma mniejsze środki. Z drugiej strony są to często środki bardzo poważne, sięgające kilkuset tysięcy złotych, co w warunkach pracy na Wschodzie jest poważną sumą. Wydaje mi się, że musimy też znać proporcje”. Trudno polemizować, że kilkaset tysięcy złotych to kwota poważna. Jednak do drugiej części wypowiedzi można mieć zastrzeżenia. Czasy „taniej Ukrainy” dawno odeszły w przeszłość. Ceny materiałów i usług są zbliżone do polskich. „Kurier Galicyjski” jest drukowany na importowanym z Polski papierze. Droższy nie jest, tańszy też nie. Jedyne co na Ukrainie jest wciąż tańsze, to ludzka praca.

Minister powiedział też: „Media na Wschodzie muszą poszukiwać dodatkowych źródeł finansowania, uatrakcyjniania programu i skomunikowania”. Jako jedno z potencjalnych źródeł dodatkowego finansowania wymienił samorządy. I znowu – idea przednia, którą próbujemy realizować od początku istnienia naszego pisma, nawet z pewnym powodzeniem. Kurier Galicyjski ma jeszcze jakieś wpływy z reklamy,



Na spotkaniu z przedstawicielami organizacji polskich na Ukrainie. Przemawia prezes TKPZL w Łanowicach Walery Tracz

List do redakcji

Wczesnym rankiem w poniedziałek 23 lipca, po zakończonych Finałach 24. Międzynarodowej Parafiady, które odbyły się w Warszawie, powróciła reprezentacja młodzieży naszej rzymskokatolickiej parafii p.w. Wniebowzięcia NMP w Złoczowie, składająca się z 17 osób i opiekunek: s. Pashalisy (sercanki) i Natalii Różyckiej.

W 400-letniej tradycji szkolnictwa prowadzonego przez zakon oo. Pijarów, troska o wszechstronny rozwój człowieka od najmłodszych lat – jest priorytetem we wszystkich podejmowanych działaniach. Utworzone w roku 1992 Stowarzyszenie PARAFIADA im. św. Józefa Kalasancjusza realizuje swoje cele i zadania według duchowości kalasantyńskiej i w nawiązaniu do tradycji szkoły pijarskiej. Aktywność podejmowana przez Stowarzyszenie PARAFIADA, pomimo zróżnicowania działań, koncentruje się przede wszystkim na szeroko pojętej opiece i asystencji w procesie wzrastania dzieci i młodzieży, szczególnie ze środowisk zagrożonych społecznie oraz znajdujących się w trudnych warunkach materialnych, a także budowaniu i wzmacnianiu więzi prowadzących do wzrostu odpowiedzialności za własną parafię i środowisko. Zatem, program wychowawczy Stowarzyszenia PARAFIADA odpowiada na naturalną potrzebę dążenia do prawdy, dobra i piękna, inspirując do odkrywania i rozwijania talentów, zainteresowań i umiejętności dzieci i młodzieży.

Tegoroczne Finały 24. Międzynarodowej Parafiady Dzieci i Młodzieży rozpoczęły się w niedzielę 15 lipca. Mszą św. w koncelebrze z prowincjałem polskiej prowincji zakonu pijarów o. Józefem Matrasem. Przewodniczył i homilię wygłosił JE bp Antoni Długosz, biskup pomocniczy archidiecezji częstochowskiej, nazywany czasem „biskupem dzieci” ze względu na swoją wyjątkową charyzmę przemawiania do najmłodszych. I rzeczywiście poruszył „parafiadowiczów” swoją radością i... śpiewem. Ksiądz biskup Antoni został włączony do „rodziny parafiadowej” i otrzymał naszą koszulkę oraz identyfikator. Serdecznie dziękujemy!

Po Mszy św. odbyła się ceremonia otwarcia w towarzystwie zaproszonych gości, przedstawicieli władz rządowych, samorządowych, oświatowych oraz instytucji wspierających nasze działania. Magiczną formułą „Finały XXIV Międzynarodowej Parafiady

Młodzież ze Złoczowa na XXIV Międzynarodowej Parafiadzie



Zwycięzcy



Dzieci i Młodzieży uważam za otwarte” wypowiedział prezes Stowarzyszenia Parafiada o. Marek Kudach.

Nawiązując do starożytnej greckiej triady STADION–TEATR–ŚWIĄTYNIA, Parafiada wychowuje dzieci i młodzież poprzez SPORT-KULTURĘ-WIARĘ. Nie skupia się na doskonaleniu jednego, wybranego elementu, ale troszczy się o równomierny i harmonijny rozwój osoby ludzkiej we wszystkich trzech wymiarach: fizycznym, intelektualnym i duchowym. Młody człowiek dojrzewa w pełni, jeśli realizuje swoje pasje równocześnie poprzez sport, kulturę i wiarę.

STADION – współzawodnictwo sportowe, obejmujące zasadniczą część programu. Podczas Finałów każdy uczestnik ma prawo startu maksymalnie w 3 z 17 konkurencji, podzielonych na 4 kategorie wiekowe: lekka atletyka (skok w dal, pchnięcie kulą, biegi na różne dystanse: 60/100/300/400/1000/1500 m, rzut piłką palantówką), pływanie (styl klasyczny i dowolny na różnych dystansach), biegi przełajowe, biegi na orientację, piłka nożna, siatkówka, koszykówka, badminton, tenis stołowy, ringo, szachy, warcaby.

Zawody odbywały się na profesjonalnych obiektach sportowych Akademii Wychowania Fizycznego i Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, a prowadzili je licencjonowani sędziowie, zrzeszeni w odpowiednich związkach. Zwycięzcy poszczególnych dyscyplin sportowych zostali udekorowani medalami oraz otrzymali puchary i dyplomy, które wręczali im dawni mistrzowie olimpijscy oraz inni znani polscy sportowcy.

Oprócz udziału w sportowym programie punktowanym w ogólnej klasyfikacji wyników możliwe było także rekreacyjne korzystanie z basenów SGGW, a także ze sprzętu sportowego udostępnianego przez organizatora.

TEATR – program kulturalno-oświatowy stanowi dopełnienie części sportowej i pozwala odkryć różnorodne talenty młodzieży. Uczestnicy finałów mogą wziąć udział w: licznych konkursach plastycznych, wokalnych, muzycznych, wiedzy, warsztatach dziennikarskich, wokalnych i tanecz-

oraz przygotowanie i czynny udział w codziennej modlitwie, Eucharystii, spotkaniach formacyjnych, biblijnych i ewangelizacyjnych.

Na zakończenie finałów odbył się koncert ewangelizacyjny zespołu „Mocni w Duchu”.

Nasza młodzież ze Złoczowa, przed Parafiadą przeżywała piękny i jednocześnie bardzo aktywny dwutygodniowy wypoczynek wśród lasów i jezior obozu „Pod Sosnami” w Jeziorach Wielkich. Było nas tam około 80 osób wraz z młodzieżą parafii Sambor, Brody i dwóch parafii z Polski.

Wreszcie wszystko to w połączeniu z kilku miesięcznym treningiem i próbami w parafii dało świetne końcowe wyniki.

Oto statystyka Parafiady: w finale w tym roku wzięło udział około 1000 osób z sześciu krajów europejskich. Zaangażowane były 59 reprezentacje z Litwy, Łotwy, Białorusi, Ukrainy i Rosji (31 drużyn) i 28 zespołów z Polski. Młodzi chłopcy i dziewczęta rywalizowali w 11 dyscyplinach i 17 konkursach. Ogólnie odbyło się w 1072 startów.

Nasz młody zespół parafian ze Złoczowa zdobył w swoich kategoriach: trzy – pierwsze, cztery – drugie i cztery – trzecie miejsca, co w ogólnej klasyfikacji dało to nam czwarte miejsce. Jest to wielki sukces i niemałe osiągnięcie, biorąc pod uwagę 59 reprezentacji parafialnych startujących w Finałach Parafiady. Zatem serdecznie gratulujemy wspaniałych wyników naszej młodzieży. Cieszymy się razem z nimi. Dziękujemy za piękne wyniki naszych zdolnych młodych parafian w różnych zawodach i konkursach. Mamy piękną i utalentowaną młodzież. Dziękujemy wszystkim rodzicom za owocną współpracę. Dziękujemy zakonowi oo. pijarów z Warszawy za zaproszenie i opiekę na czas obozu i finałów Parafiady. Wdzięczni jesteśmy ks. Michałowi Hołdowiczowi – proboszczowi naszej parafii za wszelką radę i pomoc. Nade wszystko dziękujemy Panu Bogu za to wielkie święto sportu, kultury i wiary. Jesteśmy przekonani, że takie przedsięwzięcia zawsze będą wydawać dobre owoce w przyszłym życiu osobistym, rodzinnym, parafialnym i społecznym.

Życzymy chłopcom i dziewczynom cierpliwej wytrwałości w rozwoju i pomnożeniu talentów dla jeszcze większej chwały Bożej i parafii Złoczów na arenie międzynarodowej.

Szczęść wam Boże, młodzi przyjaciele!

**s. PASHALISA DOMSKA
SSCJ
oraz NATALIA RÓŻYCKA**

Polacy z Hrubieszowa opowiedzieli o Holokauście

Do Łucka zawitał zespół pieśni i tańca z Ziemi Hrubieszowskiej. Sąsiedzi zza Bugu zaprezentowali mieszkańcom stolicy Wołynia montaż teatralno-muzyczny „Zapamiętaj imię swoje”.

AGNIESZKA RATNA
tekst i zdjęcie

Jest to historia młodej Żydówki i jej rodziny, której udało się przeżyć Holokaust. Przedstawienie odbyło się w wojewódzkim teatrze lalek. Spektakl odbył się dzięki wsparciu konsulatu generalnego RP w Łucku. Jak zaznaczył na wstępie konsul Krzysztof Sawicki, przedstawienie



miało uczcić Międzynarodowy Rok Janusza Korczaka.

Janusz Korczak, polski Żyd, był lekarzem, pisarzem, pedagogiem. Zginął w obozie razem ze swymi wychowankami – dziećmi z warszawskiego domu sierot.

Kierownik zespołu Grażyna Tempowicz powiedziała: „Działamy już 25 lat. Z koncertami odwiedziliśmy wiele państw świata. Byliśmy nawet

w Peru. W najbliższym czasie szykujemy się na występy do Meksyku. Przygotowywaliśmy się na występ w Watykanie przed papieżem. Wspaniałe recenzje zebraliśmy w Izraelu”.

Do Łucka zawitali, aby przedstawić spektakl, który się składał z żydowskich melodii i tańców.

„Podwójny dyplom” – to jest to!

W ubiegły piątek, w siedzibie Narodowego Uniwersytetu Przykarpackiego im. Wasyła Stefanyka w Iwano-Frankowsku, odbyło się kolejne posiedzenie Konsorcjum Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetów Ukraińskich. Spotkanie poświęcone było ustaleniu wspólnych programów nauczania, omówieniu studiów ukraińskich studentów, magistrantów i doktorantów na uczelniach polskich oraz kwestii legalizacji ich dyplomów poprzez program „Podwójny dyplom”, realizowanego na podstawie umowy z Uniwersytetem Warszawskim.



Włodzimierz Lengauer (od lewej), Ihor Cependa i Roman Iwanicki

SABINA RÓŻYCKA tekst i zdjęcia

W programie uczestniczą uniwersytety: Uniwersytet Przykarpacki im. W. Stefanyka, Akademia Kijowsko-Mohylańska i Akademia Ostrogska. Przy okrągłym stole spotkali się rektorzy, prorektorzy, dziekani uczelni ze Lwowa, Kijowa, Łucka, Ostroga, Żytomierza, Czerniowiec, Tarnopola i Kamieńca Podolskiego. Na spotkanie przybyli Włodzimierz Lengauer, prorektor ds. współpracy międzynarodowej Uniwersytetu Warszawskiego, Jan Malicki, dyrektor Studium Europy Wschodniej UW. Obecna była Anna Kuźma z Ambasady RP w Kijowie. Akademię Kijowsko-Mohylańską reprezentowała Aleksandra Hnatiuk, która jest jednocześnie pracownikiem naukowym Studium Europy Wschodniej UW.

Współpraca uczelni polskich i ukraińskich ma już spore osiągnięcia na niwie oświatowej i naukowej eurointegracji. Prowadzone są wspólne projekty w wielu dziedzinach, szkoły letnie, programy stypendialne – wszystko to sprzyja wzajemnemu poznaniu i doskonaleniu kadry naukowej, jak również stworzeniu nowego kształtu przestrzeni oświatowej.

Anna Kuźma zaznaczyła, że konsorcjum zawsze wysuwa ciekawe inicjatywy. „Studenci – to ludzie twórcy, przyszli politycy, biznesmeni, naukowcy, inżynierowie, którzy będą mieli bardzo dobre, przyjacielskie nastawienie do Polski i świadomość realiów obu państw, – powiedziała Anna Kuźma. – Dobry ton nadaje Akademia Kijowsko-Mohylańska. Dzięki staraniom pani Aleksandry Hnatiuk ze strony ukraińskiej i Jana Malic-

kiego z polskiej, studenci tej uczelni kontynuują naukę w Warszawie. Inne uczelnie w konsorcjum mogą śmiało stąpać po tych śladach”.

„Mamy różne tradycje, podejścia, ale staramy się stworzyć coś wspólnego, – powiedział Sergij Kwił, rektor Akademii Kijowsko-Mohylańskiej. – Już są pierwsze wyniki: pierwsi absolwenci będą wkrótce naukowcami i profesorami, a nasza uczelnia będzie na tym tylko korzystać”.

Według Włodzimierza Lengauera, prorektora ds. współpracy międzynarodowej UW, na Uniwersytecie studiuje obecnie wielu studentów zza granicy. Chociaż uczelnie nie jest najbogatsza, aktywnie współpracuje z dziesiątkami państw. Ukraina jest partnerem strategicznym Polski, państwem bliskim duchowo i mentalnie. Dlatego studenci z uczelni ukraińskich są mile widziani na tej stołecznej uczelni. Na spotkaniu omawiano wszelkie możliwe problemy i ryzyka związane z wprowadzeniem tych programów. Problem podstawowy to rozbieżność w czasie roku akademickiego na Ukrainie i w Polsce, różnice w programach naukowych, słaba znajomość języka polskiego wśród studentów z Ukrainy.

„Będziemy korygować plany nauczania według programu „Podwójny dyplom”, według których studenci mają możliwość otrzymać dyplom magistra jednej z ukraińskich uczelni i Uniwersytetu Warszawskiego, – mówił Ihor Cependa, rektor Uniwersytetu Przykarpackiego. – Jesteśmy zainteresowani w rozszerzaniu programów wymiany studentów, we wspólnych konkursach na najlepsze prace naukowe w ramach konsorcjum. Rozstrzygamy kwestię stworzenia funduszu nagród i programu stypendialnego dla naszych studentów”.



Jan Malicki

„Mamy nadzieję na owocną wymianę naszych kadr doktoranckich – mówił Igor Pasiecznik, rektor Akademii Ostrogskiej. – Ważna jest wymiana studentów i możliwość otrzymania podwójnego dyplomu. Nasza uczelnia realizuje około stu programów z uczelniami w Polsce. Współpracujemy bardzo dynamicznie. Z uniwersytetem w Lublinie wspólnie przygotowujemy filozofów, z Uniwersytetem Warszawskim – politologów, a ekonomistów – z krakowskim. Jednak najbardziej interesują nas programy z historii, bo nasza uczelnia była w swoim czasie, jedną z wiodących w tej dziedzinie w Europie Wschodniej. Wiele dokumentów historycznych jest w polskich archiwach. Innymi słowy – jest nad czym pracować”.

Polska jest zainteresowana w kształceniu studentów z Ukrainy. Świadczy o tym fakt, że w ostatnim roku akademickim na polskich uczelniach studiowało 6,5 tys. studentów z Ukrainy. Do programu „podwójny dyplom” mogą dołączyć i inne uczelnie. W planach jest przyjęcie do konsorcjum charkowskiego Uniwersytetu im. W. Karazina.

KG

Felieton ekonomiczny GDZIE LEPIEJ, GDZIE GORZEJ?

Lato zachęca do wypoczynku, ale i do lektury. I to nie tylko gazet, bo nawet raportów ekonomicznych. Ostatnio ukazał się interesujący raport na temat kondycji polskich firm i przedsiębiorstw wywiadowni gospodarczej Bisnode Polska, z którego wynika, co nie jest zaskoczeniem, że jest i dobrze, i gorzej, jak w życiu.

MIKOŁAJ ONISZCZUK

Najpierw – gdzie jest gorzej i dlaczego? Raport stwierdza jednoznacznie, że najgorzej jest w mikrofirmach, zatrudniających do 9 i od 10 do 50 pracowników. Potwierdza się zatem prawda, że małemu i słabemu wiatr zawsze w oczy wieje. A komu konkretnie? W ujęciu branżowym – słabo „przędą” firmy budowlane, tekstylne, transportowe, firmy produkujące meble i akcesoria meblowe, a także działające w przemyśle drukarskim i na rynku wydawniczym. Sytuacji nie uzdrowiła nawet organizacja Euro 2012, a to miało być przecież panaceum na wszelkie bolączki.

A gdzie jest dobrze, a nawet jeszcze lepiej? Według autorów raportu – w firmach średnich i dużych, zatrudniających odpowiedni od 51 do 250 i więcej niż 250 pracowników. Te, w okresie ostatnich dwóch lat, zwiększyły średnio licząc swoje przychody o 5% i zyski o ponad 15%. A trzeba wiedzieć, że blisko 65% podmiotów zatrudniających powyżej 250 osób, znajduje się w dobrej i w bardzo dobrej kondycji finansowej. I można by ten fakt uświetnić szampanem, gdyby nie fakt, że stanowią one tylko około 1% ogólnej ilości firm w Polsce.

Charakterystyczne przy tym jest i to, że mimo dobrej kondycji, duże firmy nie inwestują, a trzymają środki na kontach. To chyba przejaw archaicznej formy „trzymania grosza na gorsze czasy”. A są to kwoty niemałe,

bo np. w 2010 roku „przetrzymano” na kontach ponad 81 miliardów złotych. A to jest już jedną z przyczyn m.in. niskiej skłonności do działań innowacyjnych. A gdzie jest dobrze? Z analizy profilu branżowego wynika, że w najlepszej kondycji znajdują się przedsiębiorstwa handlu detalicznego i firmy usługowe.

A jak w świetle raportu rysuje się perspektywa? W moim jej odczycie – zapowiada się... status quo. Ale i ono uzależnione jest od dalszych tendencji w kryzysowej, europejskiej dekonunkturze finansowo-gospodarczej, siły i słabości naszej waluty, od skali zamówień z zagranicy i od popytu i sprzedaży na rynku wewnętrznym. To przypomina mi rodzaj takiego nieopatentowanego wariantu „ukraińskiego” na przetrwanie, zgodnie z którym „mamy to, co mamy i będzie, co będzie”. A transponując go na grunt polski, można by powiedzieć, że „będzie raz gorzej, raz lepiej, ale z wiarą i nadzieją na „lepsze”. Tego „lepszego” oczekując – kwitujemy życliwością w stylu „daj nam Boże”!

I już tylko dla informacji – w Polsce jest zarejestrowanych ponad 3,8 mln firm, z czego 1,86 mln prowadzi aktywną działalność, a około 16,3 tys. prowadzi działalność eksportową.

Polecam również: Tomasz Starzyk, „Małe firmy są bardziej wrażliwe na kryzys”, Gazeta Finansowa nr 30-31 z 27 lipca – 9 sierpnia 2012 r.

Ratownicy z Wołonia najlepsi w Częstochowie

Przed kilkoma dniami w Częstochowie zakończyły się XXIX Międzynarodowe zawody drużyn ratowniczych. Udział w zawodach wzięło 16 ekip z różnych regionów Polski, 4 ekipy z wyższych szkół pożarniczych i ekipy z Ukrainy, Białorusi, Rosji, Kazachstanu, Węgier, Czech i Litwy.

AGNIESZKA RATNA

Jak podkreślił wice szef regionalnej służby ratowniczej z Wołonia Wołodimir Nesterow, ekipa Ukrainy składała się z 8 ratowników z Wołonia (niejednokrotnych zwycięzców zawodów różnej rangi) i 2 lwowskich ratowników. „Sportowcy zmagali się w tradycyjnych strażackich dyscyplinach: wejściu po drabinie szturmowej, na 100 metrowej trasie z przeszkodami, dwuboju i w zawodach zespołowych – rozwinięciu motopompy i sztafecie pożarniczej 4x100 m. Nasza ekipa pokazała wspaniałą koordynację działań w zespole – mówi. – Każdy

jej członek zademonstrował pierwszorzędną swą umiejętność i jako wynik otrzymaliśmy zwycięstwo ekipy Ukrainy i złoty medal”. Najlepszym w drużynie Ukrainy był Aleksander Andrijczuk: został zwycięzcą na 100 m. z przeszkodami, a srebro zdobył w dwuboju i w sztafecie pożarniczej 4x100 m.

Drugie miejsce zajęła ekipa Białorusi, a brąz przypadł gospodarzom – drużynie z Częstochowy.

Zwycięzcy zostali nagrodzeni pucharami, medalami i wartościowymi nagrodami, które osobiście wręczył Jacek Cichocki, minister spraw wewnętrznych RP.

Tragedia wołyńska – jeszcze jest czas

Sprawie polsko-ukraińskiego pojednania i tragicznym wydarzeniom na Wołyniu w latach 1943-44 poświęcone było kolejne spotkanie dyskusyjnego klubu Mytusa. Już anons tematu, umieszczony w Kurierze, wywołał masę komentarzy na stronie internetowej. Samo spotkanie zgromadziło szerokie grono osób, którym temat nie jest obojętny. Moderatorem spotkania był, jak zawsze, Wołodimir Pawliw. Prelegentami byli Marcin Wojciechowski, dziennikarz „Gazety Wyborczej” i Taras Woźniak, znany lwowski publicysta.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI,
KONSTANTY CZAWAGA
zdjęcia

Obydwaj przedstawili swe poglądy na kwestię tragedii wołyńskiej, widziane jakby z dwóch stron granicy. Marcin Wojciechowski zaznaczył, że i Polacy i Ukraińcy powinni uświadomić sobie, że Kresy są wspólną ojczyzną obu narodów i tylko tak należy to odbierać. Dla każdego z mieszkających tam narodów to była jego „mała ojczyzna”. Co do samych wydarzeń na Wołyniu i później na innych terenach, można stwierdzić, że pewnych korzeni tych wydarzeń należy szukać nie w historii II wojny światowej, a jeszcze wcześniej – w latach 30. XX wieku. W chwili obecnej świadomość tragedii wołyńskiej w społeczeństwie polskim istnieje i nadal jest żywa. Dzieje się to za sprawą, przede wszystkim tych ludzi, którzy przeżyli tę tragedię, ich potomków, ale i również za sprawą niektórych polityków. Sprawa oceny tych wydarzeń powinna zostać rozstrzygnięta pomiędzy Polakami i Ukraińcami. Ale proces ten nie jest prosty i chociaż trwa już ponad 20 lat to nie ma jeszcze zakończenia. Zarówno Polacy, jak i Ukraińcy powinni zrozumieć, że nie może być to proces jednostronny. Jest oczywiste, że ta akcja nosiła wszelkie znamiona czystki etnicznej. To jest fakt historyczny i nie można temu zaprzeczyć. Musimy to wyznać, żeby nauczyć się z tym żyć i pomóc ludziom, którzy to przeżyli, ukształtować i uporządkować swą historię rodzinną i swe przeżycia.

Różnica pomiędzy Polską i Ukrainą w tej kwestii jest taka, że dotyczy ona tylko terenów dawnych Kresów i jest całkowicie obca mieszkańcom Wschodu Ukrainy czy Krymu. W odróżnieniu od Polski, na Ukrainie ta kwestia nie jest podnoszona na poziomie rządu czy parlamentu.

Taras Woźniak podkreślił, że obchody 70-lecia tragedii wołyńskiej są ostatnią szansą dla wielu, którzy to przeżyli by usłyszeć oficjalną prawdę o nich. 80-lecia wielu z nich nie doczeka. 2013 rok ma to do siebie, że można będzie mówić o tych wydarzeniach w bardziej spokojnych warunkach – nie będzie żadnych wyborów – ani w Polsce, ani na Ukrainie i politycy nie będą wykorzystywać tych obchodów do własnych celów. Obchody 60-lecia dla wielu były pierwszym zetknięciem się z tą historią. Dziś, po dziesięciu latach od poprzedniego jubileuszu, trzeba zacząć znów publikować opracowania historyczne na ten temat. Da to nowy impuls do rozmów o tych wydarzeniach, ale z nowych pozycji. „Nie jest to dla nikogo tajemnicą, że politycy będą powtarzać te treści, które będą się ukazywać w przededniu

tej rocznicy. To od nas zależy jaki ton tym dyskusjom zadamy, – dodał Taras Woźniak. – Nasze opracowanie historyczne, które ukazało się na 60-lecie, zostało rozesłane do wszystkich administracji rejonowych na Wołyniu. Jak zostało wykorzystane – nie wiem. Teraz społeczeństwo ukraińskie jest o wiele lepiej poinformowane, ma dostęp do Internetu i na wiele rzeczy spogląda inaczej. Niestety politycy, których opcja polityczna stanowi większość na tych terenach, nie stoją na pozycjach pojednania, a wydobywają demony przeszłości i starają się znów mówić z pozycji nienawiści. Żeby zmienić tę sytuację, należy przytaczać przykłady wzajemnej pomocy, które miały miejsce w tamtych czasach na tych terenach – coś na wzór „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”, jak to robią Żydzi. To pozwoli zmienić wizerunek tych wydarzeń.

W dyskusji wziął też udział Mirosław Rowicki – redaktor naczelny Kuriera Galicyjskiego, który podkreślił, że w Polsce środowiska kresowe też nie są jednorodne. Są tacy, którzy na Kresach robią karierę polityczną, ale są tacy, którzy chcą po prostu przyjeżdżać na swe dawne tereny, odwiedzać te ziemie, bez konfliktów, bez żadnych tendencji rewizjonistycznych. A historia Polski i Ukrainy są powiązane. Wydarzenia na Wołyniu, chociaż tragiczne, stanowią tylko jeden fragment tej historii. W



Podczas dyskusji

naszych stosunkach musimy dążyć do uruchomienia takich procesów jak to było w przypadku pojednania pomiędzy Niemcami i Francuzami czy Niemcami i Polakami, choć w tamtych przypadkach ten proces był rozłożony na daleko dłuższy okres. My musimy nadrobić czas.

Natalia Rymska – tłumaczka i publicystka zaznaczyła, że dopiero przygotowując materiały do publikacji z okazji 60-lecia, dowiedziała się o tych wydarzeniach. A obecnie zauważa tendencję, że gdy w Polsce o tej sprawie mówi się na poziomie



Wołodimir Pawliw i Taras Woźniak prezentujący publikację o wydarzeniach na Wołyniu

rządu i parlamentu, to na Ukrainie jest to nadal sprawa regionalna. Tę sprawę może odmienić tylko większa ilość opracowań historycznych na ten temat.

Roman Czmelyk z lwowskiego Instytutu Narodoznawstwa i Etnografii przytoczył przykłady ze swych prac etnograficznych, prowadzonych wspólnie z Uniwersytetem Warszawskim, na pograniczu polsko-ukraińskim, od Sianek po Szack. Przytoczył też przykład, z którym zetknął się osobiście, gdy osoba pokrzywdzona w czasie tragedii wołyńskiej, miesz-

wspólna deklaracja z Kościołem greckokatolickim. A inne? Cerkiew prawosławna, która miała i ma wiele do powiedzenia na Wołyniu, jaki ma do tego stosunek?

Nawiązując do tematu włączenia się Cerkwi do procesu pojednania, Konstanty Czawaga z Kuriera Galicyjskiego zauważył, że hierarchowie cerkiewni jeszcze „nie dojrżeli” do pojednania i do głoszenia go wśród swoich wiernych. Na razie nabożeństwa odprawiane są „każdy na swoich grobach” i nie wszędzie panuje zrozumienie wartości chrześcijańskich.

czy posłowie sejmików piszą historię. Dzieje się to z czysto politycznych pobudek aby dogodzić wyborcom. Pojednanie jest możliwe tylko w wypadku wzajemnego poważania i poszanowania. Niestety na Ukrainie nie ma jednej nauki historycznej – zachodnie województwa mają swój odrębny pogląd na wiele wydarzeń, szczególnie II wojny światowej. My, żyjący współcześnie nie powinniśmy odpowiadać za historię. Możemy tylko dać ocenę tych wydarzeń. Ale struktury polityczne, które odwołując się do historii, próbują tworzyć nowe tradycje państwowe, powinny brać na siebie odpowiedzialność za przyjęte opcje. Jeżeli jestem z czegoś dumny, to powinienem brać odpowiedzialność za te wydarzenia.

O braku obiektywnej informacji o wydarzeniach na Wołyniu mówiła dziennikarka Radia „Swoboda” Ha-



Dziennikarz „Gazety Wyborczej” Marcin Wojciechowski

lina Tereszczuk, która jako jedna z niewielu, robiła reportaże i prowadziła wywiady z mieszkańcami Wołynia w 2003 roku. Po pięciu latach znów tam powróciła, nie zastała już jednak wielu swoich poprzednich rozmówców, a inni zaznaczali, że od poprzedniego wywiadu nikt z nimi o tych wydarzeniach nie rozmawiał. Za rok znów planuje wyjazd na Wołyń i zastanawia się kogo jeszcze zastanie przy życiu i kto będzie mógł podzielić się wspomnieniami.

Podsumowując dyskusję, zebrani zgodzili się z tym, że czas który pozostał do 70. rocznicy tragedii wołyńskiej można jeszcze wykorzystać. Ocenę wydarzeń, ich przyczyny i skutki należy pozostawić historykom i naukowcom, naturalnie niezaangażowanym politycznie. Powinni oni dać kompetentną analizę wydarzeń i przygotować grunt pod wypowiedzi polityków.

W pojednaniu i porozumieniu pomiędzy naszymi narodami należy pokazywać więcej pozytywnych przykładów współpracy w różnych dziedzinach. Natomiast w stosunkach międzyludzkich należy sprzyjać w nawiązywaniu bezpośrednich kontaktów, bo to one będą stanowiły o wizerunku Polaka na Ukrainie i Ukrainca w Polsce.

kająca obecnie w Bieszczadach, opiekuje się opuszczonymi grobami ukraińskimi i jest orędownikiem dobrych stosunków polsko-ukraińskich. Człowiek ten odszukał groby swojej rodziny na Wołyniu. Dziś opiekują się nimi mieszkający tam Ukraińcy. To na takich przykładach trzeba budować obecne stosunki i porozumienie. Wracając do kwestii pojednania, zaznaczył, że polsko-niemieckie pojednanie przygotowywane było także przez hierarchów kościelnych po obu stronach granicy. Z kim w tej kwestii ma rozmawiać polski Kościół? Jest

Wasył Rasewycz – lwowski historyk i redaktor naczelny portalu zaxid.net, zaznaczył, że w jego ocenie historia, jako nauka, i w Polsce i na Ukrainie zanika. Fakty historyczne są wykorzystywane przez polityków różnych opcji. Ten proces nasila się w okresach przedwyborczych. W procesach historyczno-politycznych doszliśmy do absurdu, gdy lokalne władze pozwalają sobie przyjmować deklaracje o znaczeniu ogólnopolskim. Ma to miejsce zarówno po ukraińskiej, jak i po polskiej stronie granicy. W taki sposób deputowani

Igor Melnyk – znawca Lwowa nr 1

Taki tytuł został nieoficjalnie nadany mu przez naukowców i społeczność miasta, ponieważ jego książki i publikacje w prasie to kopalnia wiedzy o Starówce, dzielnicach, przedmieściach i okolicach Lwowa, włącznie z historiami ulic, placów, świątyn i kamienic. Z IGOREM MELNYKIEM, dziennikarzem i działaczem społecznym rozmawiał dziennikarz Kuriera Galicyjskiego KONSTANTY CZAWAGA.

Pierwszy raz zobaczyłem Cię 13 czerwca 1988 roku pod pomnikiem Iwana Franki we Lwowie, gdy prowadziłeś zorganizowany przez Ciebie pierwszy wiec polityczny. Powstało wtedy Towarzystwo Języka Ukraińskiego im. Tarasa Szewczenki. Przez jakiś czas Igor Melnyk był radnym lwowskiej rady obwodowej i rady miasta Lwowa. Dalej były inżynier stał się dziennikarzem młodej ukraińskiej prasy demokratycznej. Naszych czytelników interesuje co wywołało u ciebie tak głębokie zainteresowanie badaniami urbanistyczno-historycznymi?

Nie stało się to z dnia na dzień. Ten proces zaczął się we mnie od urodzenia. Urodziłem się w centrum miasta, na ul. Akademickiej „w starym austriackim budynku, – jak u nas mówiono. Była tam masa zakamarków, ganków i piwnic, „czarne” i „paradne” schody. Już jako dziecko „badałem” ten swój budynek, potem sąsiednie, podwórka, ulicę. Wtedy nie było takiego ruchu i my, dzieci, bawiliśmy się na ulicy.

Ilu rdzennych lwowiaków mieszkało wtedy w tym domu?

Z Ukraińców była tylko nasza rodzina na dwa domy. W jednym domu był komisariat nr 10 (teraz to prospekt Szewczenki 26), a w drugim na górze był chyba sąd rejonu stalinowskiego. Resztę mieszkań zajmowali przesiedleni ze Wschodniej Ukrainy – część Rosjan i kilka rodzin żydowskich. Były dwie czy trzy rodziny mieszane polsko-ukraińskie i jedna Polka, dozorczyni – pani Kowalska. Mówiła po polsku, smażyła nasiona słonecznika i sprzedawała je. Dzieciarnia pomiędzy sobą rozmawiała przeważnie po rosyjsku. Mieszkałiśmy w tzn. „komunalce” – wielkim mieszkaniu, podzielonym pomiędzy trzy rodziny ze wspólną łazienką i kuchnią. Jeśli chodzi o naszych sąsiadów – jedni byli z Moskwy, a drudzy – to Żydzi z Odessy.

Jak ci przyjeźdźni przyjmowali Lwów?

Jako miejsce do życia. Żyd był jakąś szychą i był stosunkowo zamożny, bo jako pierwszy miał telewizor i lodówkę. „Morowy Moskał” z „wyzwolicielem” handlował samochodami. A mój ojciec pracował w gazecie „Lwowski kolejarz”. Mieszkałiśmy tam do 1969 roku, do ukończenia przeze mnie szkoły. Wtedy przenieśliśmy się do własnego mieszkania, na dzisiejszej ul. Czuprynki. Było to niewielkie dwupokojowe mieszkanie, ale wszystko mieliśmy swoje – i kuchnię, i łazienkę. Przed wojną kolejarzami byli przeważnie Polacy, ale oni po wojnie wyjechali. Miejscowi pozostawali na niższych posadach, a „naczalstwo” to byli przeważnie Moskale i Żydzi ze wschodnich obwodów Ukrainy. Lwowskich Żydów już nie było.

Jak to się stało, że mając skłonności humanistyczne, zdałeś na Politechnikę?



Wtedy lżej było zdać egzamin na Politechnikę. Na dziennikarstwo nie chciałem, bo widziałem jak pracuje ojciec. Wprawdzie był fotoreporterem, za to inni musieli pisać „na spotkanie kolejnego zjazdu partii”, „pod sztandarem marksizmu-leninizmu”, a to mnie zupełnie nie pociągało. Zostałem inżynierem i pracowałem w fachu do końca lat 90. Była to też praca twórcza, która przynosiła mi satysfakcję. W ciągu tygodnia robiłem to, co innym zajmowało miesiąc.

Ale jednak zostałeś dziennikarzem?

W wolnych chwilach dużo czytałem, Internetu wtedy jeszcze nie było. Wiadomości czerpałem skąd się dało: po rosyjsku, ukraińsku, czy po polsku. Interesowałem się historią, geografiami, wszystkim, co dotyczyło Lwowa i Galicji. Dziennikarzem zostałem w 1998 roku. Powstała wtedy codzienna gazeta „Postup”, która na przełomie XX i XXI wieku stała się czymś rewolucyjnym na Ukrainie. Potem zaczęła upadać, ale przez kilka pierwszych lat była dla mnie dobrą szkołą. Pisałem o wszystkim. Niekiedy przyszło być zastępcą redaktora naczelnego i wykonywać jego funkcje. Gdzieś w 2002 roku stworzyłem dla siebie rubrykę „Podróże po Galicji”. Wspólnie z Tarasem Woźniakiem przygotowaliśmy oddzielne wydanie czasopisma „Ji” – „Galicja – kraj miast”. W 2004-2005 pojawiła się rubryka „Ulice Lwowa”. W taki sposób zebrałem wiele danych o Lwowie. Dzięki Bogu, że już wtedy były komputery.

Współcześni mieszkańcy miasta nie bardzo obeznani są z jego historią.

Lwowa nikt nie zna. Nawet ja nie znam go do końca. Żeby poznać to miasto – całego życia nie wystarczy.

Kiedyś, gdy ktoś trafił do miasta, to przechodził kolejne etapy zanim został „mieszczuchem”.

Ten proces trwa do dziś, bo część lwowiaków – to „na-pół” mieszcianie. Komuś tu już urodziły się dzieci, ale są to ludzie w zawieszonym stanie, pomiędzy miastem i wsią. Ja byłem już w trzecim pokoleniu urodzony we

Lwowie, a powiązania ze wsią urwały się na moich dziadkach i babciach. We mnie korzeni wiejskich już nie było.

Może dlatego tak wiele zniszczeń w tych kamienicach, bo są ludziom obojętne?

Tylko z czasem to sobie uświadamiamy. Nie zapominajmy, że wśród urodzonych w latach 50 we Lwowie, zaledwie 10% było dziećmi miejscowych. W latach 60 wielu ludzi przyszło do miasta ze wsi.

Kamienice przeżywają ludzi, zmiany historyczne i epoki. Przychodzą nowi mieszkańcy. Stanisław Lem nie chciał przyjeżdżać do powojennego Lwowa, wołał zachować go w pamięci takim jaki był.

Ja też z obawą jechałem do miejsc, które pamiętałem z dzieciństwa. Na przykład do tegoż Stanisławowa. Dzięki Bogu w centrum Lwowa, jeszcze nie ma tak wielkiej transformacji. Naturalnie mamy przykłady agresywnej ingerencji w środowisko lwowskie.

Jaki fragment miasta uważasz za najbardziej „lwowski”?

Nie jest to Śródmieście. To pas otaczający Śródmieście – ulica Zamarstynowska, aż poza most kolejowy, gdzie nie ma ingerencji społeczności, Stare Zniesienie, Podzamcze, Kleparów. To jest właśnie podmiejski Lwów. Mój dziadek mieszkał początkowo na Zofiówce.

Kto jest najbardziej zainteresowany Twoimi publikacjami?

Są to różne grupy ludzi. Przede wszystkim Ukraińcy, bo moje książki są po ukraińsku. Ale Polacy i Rosjanie też je kupują. Wielu mieszkańców miasta chce dowiedzieć się co było w kamienicy, gdzie mieszkają.

Czy twoje książki doczekały się przekładu na język polski?

Jakby były na to fundusze, to nie mam nic przeciwko temu. Nawet gotowy jestem pomóc w przekładzie.

Może nie wszystkie moje publikacje, ale coś z nich można by skompilować dla polskiego czytelnika.

Kogo byś nazwał dzisiejszym lwowiakiem?

Formalnie tych, kto mieszka w mieście: jest zameldowany czy nie, uczy się czy pracuje, jest dorosłym czy małym dzieckiem. W zasadzie nawet tych, kto tylko przez kilka lat mieszkał w mieście i wyjechał, to w duszy jakąś część tego miasta poniesie. Weźmy, dla przykładu, naszego wspólnego znajomego, rosyjskiego pisarza Igora Klecha, który mieszkając w Moskwie, przeklina Lwów, ale z drugiej strony pozostaje lwowiakiem, bo coś z tego miasta wyniósł. Jest Moskwiczem, ale Lwowiakiem w diasporze. Nie na darmo mówią: „Tylko we Lwowie”.

Na czym polega ten lwowski fenomen?

Jest to specyficzne miasto. Zrozum, że dla Europy Lwów nie jest niczym nadzwyczajnym, bo w wielu europejskich miastach można zobaczyć coś ładniejszego. Lwów nie zadziwi swoimi arcydziełami architektury w porównaniu z Krakowem, Wiedniem, czy nawet z Wrocławiem. Tam jest mniej więcej to samo. Coś lepszego, coś gorszego co może zainteresować historyków. Jednocześnie – Lwów, to pogranicze światów. Tu jest europejski dział wodny, ale tu jak granica geograficzna przechodzi granica mentalna, granica cywilizacji. Również i religijna. Wszystko to nakłada się na siebie. Na ludzi, którzy tu mieszkają, nakładają się historyczne i przyrodnicze uwarunkowania. Nawet pochówki wybitnych postaci. To miasto jest przemodlone. To nie może nie wpływać na jego mieszkańców.

Nawet dzisiejsze wydanie – odsłonięcie tablicy na kamienicy, gdzie mieszkał Jacek Kuroń (rozmowa odbyła się w tym dniu – K. Cz.). Przyszli ludzie z różnych środowisk.

Chociaż ta impreza nie była tak rozreklamowana. Dla Polaków, dla Ukraińców i dla tych Rosjan, którzy

są związani z miastem, było to wydarzenie. Lwów zachował się. Może nie z czasów Średniowiecza, ale gdzieś zaczynając z końca XVIII – XIX wieku i pierwszej połowy XX wieków ten duch, te kamienie, te ulice, te bruki, te parki, klatki schodowe, kafle, poręcze, klamki – wszystko to niesie w sobie ciężar Lwowa.

Co trzeba, żeby zachować ten prawdziwy Lwów?

Trzeba po prostu tego nie niszczyć. Naturalnie, że Lwów to nie muzeum i nie cmentarz – miasto żyje. Trzeba przekładać nowe ulice, stawiać nowe domy, a z drugiej strony – trzeba maksymalnie zachować to co jeszcze pozostało. Trzeba rozładować historyczne centrum miasta, z tego co nie jest tam konieczne. Dzięki Bogu, Lwów pozbył się funkcji przemysłowych. Ktoś może narzeka, że przyszli demokraci i nacjonalisci i zniszczyli powojenny przemysł. Ale to uratowało miasto. Bo te przedsiębiorstwa pochłaniały 90% wody. Teraz mamy wodę przez całą dobę.

Dwie trzecie całej produkcji przemysłowej przypadło na niewiadomy kompleks wojskowy. Lwów od zawsze był centrum handlowym, kulturalnym, oświatowym. Do dziś na przedstawienia do Opery lwowskiej przyjeżdżają widzowie z Rzeszowa, Lublina. Lwów pozostał centrum Galicji i całego regionu. Optymalnym dla Lwowa jest 300-400 tys. mieszkańców. W czasach sowieckich miasto przerosło swoje możliwości, ale teraz wszystko wraca do równowagi. Ale 150 tys. aut w mieście – to stanowczo za dużo. Trzeba całkowicie odciążyć historyczne centrum miasta.

Jak oceniasz przystosowanie historycznych kamienic w Śródmieściu pod restauracje czy kawiarnie, gdy poza fasadą wewnątrz wszystko jest zrujnowane – przykład „Lampy naftowej”?

Zrozum, że większość kamienic w centrum wymaga kapitalnych remontów. Tam zachowały się jeszcze drewniane stropy. Wcześniej, czy później grozi to zawaleniem. Weźmiemy budynki na pl. Mickiewicza nr 9 i nr 10, które „zginęły” śmiercią naturalną. Ul. Szewska rozsypałaby się, gdyby nie inwestor z Niemiec. Dobrze, że przynajmniej fasady są zachowane. Nie można zmuszać ludzi by mieszkali w średniowiecznych warunkach. Kilka kamienic można pozostawić, jako „żywe muzeum”, jako rekonstrukcję historyczną. To egzotyka i warto tym się zająć.

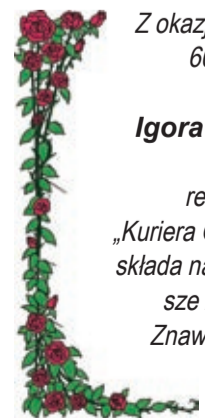
Dziękuję za rozmowę.

Z okazji jubileuszu 60-lecia

Igora Melnyka

redakcja

*„Kuriera Galicyjskiego”
składa najserdeczniejsze
życzenia
Znawcy Lwowa
nr 1.*



Ojczyzna pamięta o kombatantach

W czasie wizyty delegacji Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych RP, medalem „Pro Patria” udekorowane zostały: Lucyna Kubicka, prezes TKP „Przyjaźń” oraz Janina Grabowska, kombatantka z Iwano-Frankowska (dawnego Stanisławowa).



Jan Stanisław Ciechanowski wręcza medal „Pro Patria” Lucynie Kubickiej

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcia

Według słów konsula RP Mariana Orlikowskiego, celem przyjazdu delegacji Urzędu ds. Kombatantów, Kancelarii Prezydenta RP i Konsulatu Generalnego RP we Lwowie były rozmowy i zapoznanie się z przedstawicielami polskich organizacji i polskimi kombatantami, mieszkającymi na Ukrainie. Objazd po Ukrainie Zachodniej rozpoczęto od Iwano-Frankowska, dalej odwiedzono Kołomyję, Kuty, nie pominięto Czerniowiec, Kamieńca Podolskiego i Tamopola.

„Chciałem zobaczyć jak żyją dziś dawni żołnierze Wojska Polskiego, którzy przeżyli ciężkie czasy, ale do dziś nie stracili ducha i polskiej godności, – powiedział kierownik Urzędu – minister Jan Stanisław Ciechanowski. – Chciałem też zobaczyć jak wygląda życie polskich organizacji. Przed czterema laty zwiedziłem te cudowne okolice. Gdy się tu jedzie nie wystarcza dnia czy dwóch – trzeba całego tygodnia, aby zobaczyć całe piękno Wschodu, żeby odczuć ciepło serc tych ludzi, szczególnie Polaków”.

„Jestem wzruszona tak wysoką oceną naszej pracy, a kiedyś walki, – zaznaczyła Lucyna Kubicka. – To, że o nas myślą i dbają w Ojczyźnie,



Waldemar Strzałkowski

jest najlepszym dowodem oceny naszych wysiłków”.

Doradca prezydenta RP, historyk wojskowości Waldemar Strzałkowski przekazał pozdrowienia od Bronisława Komorowskiego wszystkim Polakom na Ukrainie. „W czasach II Rzeczypospolitej wiele jednostek stacjonowało w Stanisławowie. Tu służyli słynni dowódcy pułku ułanów, artylerii lekkiej, którzy z czasem zostali generałami i obrońcami Ojczyzny.” W 6 pułku ułanów w Stanisławowie służył brat ojca pana Strzałkowskiego. Dlatego tereny są dla niego szczególnie drogie. Sam pan Strzałkowski, pochodzi z Polesia.

Nagrodzonym pogratulowała też Sylwia Remiszewska z Kancelarii Prezydenta, która opiekuje się sprawami kombatantów.



Sylwia Remiszewska wręcza nagrodzonym upominki

POD PŁASZCZEM MADONNY BERDYCZOWSKIEJ

Deszcz nie przeszkodził pielgrzymom w ich wędrówce do berdyczowskiej świątyni. Berdyczowska Madonna okryła wszystkich pątników swoim płaszczem wiary, nadziei, wytrwałości.



Mszę św. celebrują: ordynariusz diecezji Kijowsko-Żytomierskiej abp Piotr Malczuk, abp metropolita lwowski abp Mieczysław Mokrzycki, biskupi i księża

JERZY SOKALSKI
prezes „Polskiego Radia Berdyczów

Pod wieczór 21 lipca do sanktuarium w Berdyczowie przybyli pielgrzymi z Dowbysza (sanktuarium p.w. Matki Boskiej Fatimskiej), Białej Cerkwi, Chmielnickiego (dwudziesta pierwsza Podolska pielgrzymka), Żytomierza (parafie św. Zofii oraz św. Jana z Dukli), Szepietówki (franciszkańska pielgrzymka), Kijowa, Fastowa, Korostyszewa (kościół p.w. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny), Koziatynia, Samgorodka, Rużyna, Andruszowki oraz gości z Białorusi (Mińska parafia św. Szymona i św. Heleny, na czele z księdzem proboszczem Władysławem Żawalniukiem) i Polski (archidiecezja Wrocławska, na czele z księdzem dyrektorem Radia „Rodzina” Cezarym Chwilyczyń-

ski i Petro Melnyk oraz przedstawiciele władz lokalnych.

W uroczystościach uczestniczyło wielu księży i duchowieństwa zakonnego, w szczególności prowincjał Braci Mniejszych Kapucynów na Ukrainie br. Grzegorz Romanowicz OFM Cap, prowincjał krakowskiej prowincji karmelitów bosych o. Andrzej Ruszała OCD, minister prowincjałny bernardynów św. Michała Archaniola br. Dobrosław Kopysteryński OFM, biskup ordynariusz diecezji kamieniecko-podolskiej bp Leon Dubrawski, bp ordynariusz diecezji odesk-symferopolskiej Bronisław Bernacki, bp pomocniczy kijowsko-żytomierski Witalij Skomarowski.

Sobotnia msza powitalna odbyła się pod przewodnictwem gościa specjalnego – karmelity, abpa Bagdadu (Irak) Jeana Benjamina Sleimana. W trakcie homilii zwierzchnik katolików

rekonsekracja którego odbyła się w czerwcu bieżącego roku. Wielka zasługa w odrodzeniu berdyczowskiego sanktuarium należy do o. Benedykta Kroka OCD oraz do księży Mickiewiczów – Bernarda i Ambrożego, o. Serafina Tyszko OCD, o. Tobiasza Zarzeckiego OCD, o. Piotra Hewelta OCD – delegata prowincjała w delegaturze karmelitów bosych na Ukrainie i innych.

Mszę św. celebrował ordynariusz diecezji Kijowsko-Żytomierskiej abp Piotr Malczuk w koncelebrze z abp metropolitą lwowskim Mieczysławem Mokrzyckim, biskupami i księżmi.

Homilię, poświęconą wielkiemu sercu Bogurodzicy wygłosił ordynariusz diecezji Kijowsko-Żytomierskiej ks. abp Piotr Malczuk.

Metropolita lwowski arcybiskup Mieczysław Mokrzycki przywitał wszystkich wiernych i podkreślił, że



skim oraz grupa z Warszawy). Bezpośredni udział w pieszej pielgrzymce z Polonnego jak zawsze wzięli biskup pomocniczy Kijowsko-Żytomierski Stanisław Szzykoradiuk. Po raz czwarty do Berdyczowa przybyła pielgrzymka rowerowa z Charkowa. Ogólną liczbą pielgrzymów z Ukrainy i innych krajów, na placu pod klasztorem Karmelitów Bosych, szacowano na około dwadzieścia tysięcy osób.

Wśród gości honorowych: konsul generalny RP w Winnicy Krzysztof Swiderek, członek zarządu krajowego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód dr Tadeusz Samborski, wieloletni poseł na Sejm RP Wojciech Zarzycki, deputowani Rady Najwyższej Ukrainy Paweł Żebrow-

obrządku lacińskiego w Bagdadzie powiedział o szczególnej roli Najświętszej Marii Panny jako naszej Matki, Siostry i Nauczycielki. Królowa Karmelu przez szkaplerz chroni człowieka przed grzechem, broni przed niebezpieczeństwami i wskazuje nam drogę ku zbawieniu.

W niedzielę, 22 lipca, o 10:30 rozpoczęła się centralna msza święta odpustowa ku czci Matki Boskiej Szkaplerznej – Matki Boskiej Berdyczowskiej.

Na początku uroczystości kustosz berdyczowskiego klasztoru Karmelitów Bosych o. Benedykt Krok przypomniał o modlitwie i pracy, dzięki czemu po wieloletnich wysiłkach powstał z ruiny góry kościół, uroczysta

w tym roku mieliśmy trzy poważne i znaczące wydarzenia: 600-lecie Metropolii Lwowskiej, Pierwszy kongres eucharystyczny oraz rekonsekracja sanktuarium w Berdyczowie oraz pierwsza pielgrzymka do tej odrodzonej – już ogólnonarodowej świątyni.

Nuncjusz Apostolski na Ukrainie arcybiskup Tomasz Gallikson, który uczestniczył we mszy, udzielił zbranym u stóp Berdyczowskiej Madonny papieskiego błogosławieństwa.

Arcybiskup Bagdadu Jean Benjamen Sleiman skierował do wiernych słowa powitania, podziękowania za świadectwo wiary oraz złożył życzenia dalszego pięknego rozwoju maryjnego sanktuarium w Berdyczowie.

Delegacja z Kałusza w Gorlicach

Delegacja Rady Miejskiej Kałusza odwiedziła swoich partnerów z miasta Gorlice w Małopolsce. Partnerskie stosunki pomiędzy oboma miastami zawiązały się przed laty, ale intensywność kontaktów wzrosła niedawno. Ostatnio rozwinęła się współpraca szczególnie pomiędzy kołami artystycznymi i sportowcami obu miast.

**SABINA RÓŻYCKA,
JULIA BALICKA**
tekst
archiwum Rady miejskiej
Kałusza zdjęcie

Gorlice są niewielkim miasteczkiem – centrum przemysłu naftowego. Miasto ma dłuższą historię od Kałusza, lepiej zachowało swą autentyczność, rys historyczny i tradycje. Gorlice, choć mają trzykrotnie mniej ludności od Kałusza, są obecnie miastem z rozwiniętą infrastrukturą przemysłową. Dobrze zachowana najstarsza część miasta fascynuje duchem wieków i sztuką. Pierwsza wzmianka o mieście datuje się na wiek XIV. Władze Gorlic starają się zachować całą swą spuściznę historyczną. W mieście działa 12 galerii artystycznych i żadna z nich nie narzeka na brak gości.

„Odwiedzam Gorlice już od 12. lat. Mamy ścisłe kontakty na płaszczyźnie kultury i sportu. Nasze miasta są zainteresowane współpracą – mówi dyrektor Pałacu Kultury „Minerał” z Kałusza, deputowana do władz miasta Ałła Tereszczenko. – Porównywanie świąt u nas i w Gorlicach – nie wchodzi w rachubę. Miasto, choć niewielkie, ma swój klimat. Polacy mają bardzo ciekawe niewielkie muzea i galerie sztuki. W sztuce panują współczesne trendy. Co roku organizowany jest festiwal muzyki elektronicznej. W malarstwie panuje styl „modern”. Oglądałam występy zespołów folklorystycznych, orkiestr dętych i teatru młodzieżowego. Ale tak rozwiniętej kultury masowej, jak w Kałuszu, w Gorlicach nie ma. Nie ma tam tylu zespołów, pałaców kultury i darmowych kółek artystycznych”.

Gdy delegacja z Gorlic przyjechała do Kałusza, jej uczestnicy byli zdziwieni, że tak wiele zespołów bierze udział w naszych świątach. Mieli wrażenie, że zjechali do nas zespoły z całej Ukrainy. W Polsce uroczysto-



Delegacja z Kałusza i polscy koledzy na wieży ratuszowej w Gorlicach

ści wyglądają skromniej. Chyba wiąże się to z mentalnością. Polacy są bardziej powściągliwi w stosunku do oficjalnych obchodów. Ukraińcy bardziej gustują w hucznych zabawach.

Według słów deputowanego do Rady miasta Kałusza Witalija Krochoty, oficjalnych obchodów w Gorlicach prawie nie było. Otwarcie odbyło się pod ścianami ratusza i trwało równo 5 minut – tyle miał do powiedzenia burmistrz. Na tym skończyły się przemówienia, a potem rozpoczął się festyn, na którym wystąpił znanany zespół „Kult”. Koncert trwał do 22:00. Dalej świętowano, ale każdy oddzielnie. Po 22:00 w mieście obowiązuje cisza nocna i głośnie zabawy są zabronione. Nie było też świątecznych fajerwerków. Ale podczas zabawy, burmistrz tańczył w tłumie razem ze wszystkimi. Jak mówią członkowie delegacji – burmistrz Gorlic jest prostym człowiekiem, ale ma poważanie wśród mieszkańców. Zresztą jak i wszyscy z 21 członków Rady Miejskiej.

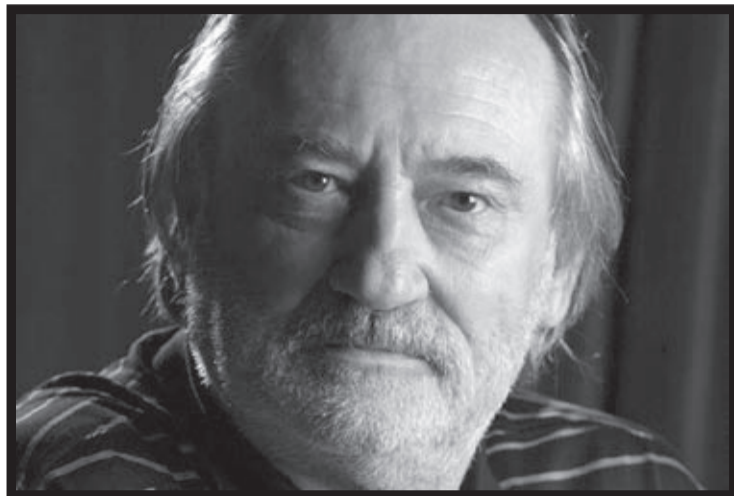
Wszyscy są z dobrze znani mieszkańcom Gorlic. Nie prosta sprawa jest być „deputowanym” w Polsce, chociaż dostają dopłaty miesięczne w wysokości 400 euro.

Ale są sankcje: za opuszczenie posiedzenia sesji Rady – minus 25% dopłaty, za nieobecność na posiedzeniu komisji – 15%.

Po festynie delegacja z Kałusza otrzymała zaproszenie na spartakiadę samorządowców, która odbędzie się od 30 sierpnia po 4 września. „Mamy też umowę o współpracy w dziedzinie sztuki, – mówi Natalia Babij, przewodnicząca Komitetu Wykonawczego Kałusza. – Przed Dniem Miasta w Gorlicach, wyremontowano centralny plac, a w planach jest ustawienie pomnika jednemu z burmistrzów. Są zainteresowani artystami ukraińskimi, którzy mogliby wykonać projekt pomnika. Wspomnieliśmy o znanym w Kałuszu rzeźbiarzu Igorze Semace. A w ogóle, Gorlice – to ciekawe, gościnne i przychylne nam miasto. Przyjemnie było oglądać w pomieszczeniu Rady Miejskiej chragiew naszego miasta. Na uroczystościach byli też delegaci z innych miast partnerskich – m.in. ze Słowacji. Nawiązaliśmy kontakty i możliwości, że też i z nimi będziemy współpracować. W prezencie gospodarzom przywieźliśmy tradycyjne kałuskie dzwoneczki, a burmistrz został obdarowany haftowaną koszulą.

Odszedł aktor Bogdan Stupka

22 lipca, w Kijowie, w wieku 71 lat, po ciężkiej chorobie, zmarł wybitny ukraiński aktor, związany również z polskim kinem, Bogdan Stupka.



KONSTANTY CZAWAGA

Urodził się 27 sierpnia 1941 roku w Kulikowie pod Lwowem. Studiował filologię ukraińską na Uniwersytecie we Lwowie. Kontynuował studia w Szkole Teatralnej we Lwowie i w Instytucie Teatralnym w Kijowie. W latach 1961–1978 pracował w Teatrze im. Marii Żankowickiej we Lwowie. Przez wiele kolejnych lat związany był z Ukraińskim Teatrem Narodowym im. Iwana Franki w Kijowie, którym także kierował. W latach 1999–2001 był ministrem kultury Ukrainy.

Stupka zagrał w blisko 100 filmach. Debiutował w 1970 r. w filmie „Biały ptak z czarnym znamieniem” w reżyserii Jurija Illienki. Był też związany z polskim kinem. Wystąpił m.in. w roli Bogdana Chmielnickiego

w „Ogniem i mieczem” i „Stara Baśń. Kiedy słońce było bogiem” Jerzego Hoffmana. Znał też z filmu „Serce na dłoni” Krzysztofa Zanussiego. Grał również w filmach francuskich, austriackich, włoskich i rosyjskich. Bogdan Stupka zagrał tytułową rolę w rosyjsko-ukraińskiej ekranizacji „Tara-sa Bulby” według Mikołaja Gogola.

W 2000 roku został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

Stupka pozostawił żonę i syna Ostapę, który również jest aktorem oraz troje wnuków. Współczucie rodzinie zmarłego aktora wyrazili premier Ukrainy Mikołaj Azarow i prezydent państwa Wiktor Janukowycz.

Pogrzeb Bogdana Stupki odbył się we wtorek, 24 lipca, na Cmentarzu Bajkowskim w Kijowie.

Oaza w Miżyńcu

W trudnych warunkach ekonomicznych zostały jednak zorganizowane w tym roku oazy dla polskich dzieci na Ukrainie.



Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki z dziećmi, uczestniczącymi w oazie w Miżyńcu

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

„Dziękujemy naszym lokalnym ofiarodawcom i ludziom dobrej woli z Polski za każdy grosz, a również wolontariuszom, którzy do nas przyjechali” – powiedział w rozmowie z dziennikarzem Kuriera ks. Zbigniew Pabian, proboszcz parafii w Miżyńcu koło Starogo Sambora. Tym razem zorganizować oazę dla dzieci z okolicznych miasteczek i wiosek samborskiego dekanatu pomogli redemp-

torzy i osoby świeckie z diecezji tarnowskiej oraz innych miejscowości.

W Miżyńcu są wspaniałe warunki dla rekreacji i wzrostu duchowego dzieci. Niestety droga do tej wsi, położonej na granicy z Polską, jest fatalna.

Pod koniec lipca dotarł do oazy w Miżyńcu arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki, żeby spotkać się z dziećmi, wspólnie pomodlić się i pobłogosławić uczniów i ich wychowawców.

KG

List do redakcji

W Bibliotece Wojewódzkiej im. Timiriaziewa w Winnicy utworzono Centrum Polskiej Książki. Dla Polaków Podola było to ważne wydarzenie. Biblioteka podtrzymuje kontakty z Polakami Winnicy od lat. Ma podpisaną umowę o współpracy z warszawską Biblioteką im. Zygmunta Jana Rumla. W winnickiej bibliotece jeszcze na początku lat 90. ubiegłego stulecia prowadzono nauczanie języka polskiego. Teraz przy bibliotece działa klub polskiego kina. Oprócz tego, każdy chętny może odwiedzać zajęcia języka polskiego prowadzone przez wolontariuszy z Akademii Krakowskiej. Obchodzono Dzień Mowy Ojczystej, często brzmiała poezja Kopnickiej. Organizowano wystawy – z okazji rocznicy Fryderyka Chopina i Jana Ignacego Paderewskiego, Adama Mickiewicza. Prezentowane były książki Dmytra Antoniuka „Polskie dwory i pałace Ukrainy”.

Centrum Polskiej Książki powstało w Winnicy

Biblioteka ma również podpisaną umowę o współpracy ze Stowarzyszeniem „Świetlica Polska”. W ostatnich kilku latach w bibliotece odbyły się literacko-muzyczne imprezy pamięci naszego krajana Stefana Witwickiego, wielkiego przyjaciela Fryderyka Chopina. Organizowano wieczór pamięci naszego rodaka, poety Jarosława Iwaszkiewicza, odbyła się prezentacja książki wierszy poetki Jarosławy Pawluk, poetyckie przedstawienie „Znany i mało znany Jan Brzechwa”. W rocznicę zbrodni katyńskiej odbyła się uroczystość „Pod krzyżem Katyńskim” zorganizowane przez „Świetlicę Polską”.

Jesienią zeszłego roku powstał pomysł zorganizowania Centrum Polskiej Książki przy bibliotece, w celu udostępnienia Polakom żyjącym w Winnicy i obwodzie dziejów kultury polskiego narodu. Aby zyskać materiały dla tego

centrum administracja biblioteki wystosowała do konsula generalnego RP w Winnicy Krzysztofa Świdereka stosowne pismo. Reakcją na prośbę była błyskawiczna – powiedziała dyrektor biblioteki Natalia Morozowa. W ciągu dwóch tygodni konsul generalny RP Krzysztof Świderek przekazał dla winnickiej biblioteki podręczniki i materiały pomocnicze do nauki języka polskiego, dzieła klasyków literatury polskiej, partytury utworów Chopina, polskie filmy oraz płyty muzyczne. Razem 500 rozmaitych wydań.

W obwodzie Winnickim oraz w Winnicy mieszka sporo Polaków i osób o polskich korzeniach. Ocenia się, że może ich być więcej niż 300 tys. na cały dwumilionowy obwód.

WALERIJ ISTOSZYN
prezes Stowarzyszenia
„Świetlica Polska”,
Winnica

POLSKO-UKRAIŃSKI DZIEŃ KRYSOWIC

Wioska Kryswowice liczy ponad 600 mieszkańców. Połowa z nich to – Polacy, druga połowa – Ukraińcy. Jest tu piękne Sanktuarium Matki Boskiej Fatimskiej i nowo wybudowana prawosławna cerkiew Św. Piotra i Pawła. Także w Kryswowicach jest rada gminy oraz młode Towarzystwo Kultury Polskiej. A najważniejsze, że mieszkają tu prości ludzie – Kryswowianie. Co ich wszystkich łączy? Miłość do swojej wioski, do miejsca gdzie się urodzili, gdzie mieszkają i gdzie pochowani są ich przodkowie.

EUGENIUSZ SAŁO tekst
PIOTR ZIOBER zdjęcia

Parafrazując słynną piosenkę z pewnością mogę powiedzieć: „To są moje okolice, to jest moja wioska – Kryswowice”. Bo ja też się tu urodziłem, wyrosłem i jestem kryswowianinem. I chociaż większość czasu spędzam teraz we Lwowie, to zawsze na weekend staram się przyjechać do Kryswowic, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, wyciszyć się i z nowymi siłami rozpocząć tydzień we Lwowie.

Było mi podwójnie przyjemnie, kiedy zaproponowano mi bym był współprowadzącym na wspaniałym święcie mojej wioski.

W ten niedzielny poranek, jak zwykle, wszyscy pośpieszyli do kościoła i do cerkwi, żeby modlić się i oddać pod opiekę Bożą wszystkim mieszkańców Kryswowic.

Święto rozpoczęło się po południu, od krótkiego powitania wygłoszonego przez wójta gminy Petra Zasadnoho i prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej w Kryswowicach Danuty Strogan, którzy podziękowali wszystkim mieszkańcom i gościom za przybycie i życzyli miłej i udanej zabawy. Następnie o. Wsewolod i ks. Paweł Antolak pomodlili się za wszystkich mieszkańców i przy oka-



Najmłodsza kryswowianka recytuje wiersz, a młody dziennikarz Kuriera w roli konferansjera



Cygańskie tańce i zabawy

zji poświęcili zrekonstruowany stadion piłkarski, na którym odbywały się uroczystości.

Prowadzący – Olena Paklikowska i autor tych słów rozpoczęli program koncertowy. Na święto przybyli: prezes FOPnU pani Emilia Chmielowa, jej zastępca pani Teresa Dutkiewicz, radny lwowskiej rady obwodowej Jarosław Dubniewicz, radny powiatu mościskiego Igor Stecyna i inni.

„Bardzo mi przyjemnie być wśród was. To jest piękne święto, które nie ma analogii w okolicy. To święto, które symbolizuje dwa podmioty: polski i ukraiński. Symbolem są dwie flagi: biało-czerwona i błękitno-żółta” – powiedziała prezes FOPnU pani Emilia Chmielowa.

Mieszkańców Kryswowic przywitał także Jarosław Dubniewicz, radny lwowskiej rady obwodowej: „Święto, które tak pięknie dziś zorganizowaliście mówi tylko o jednym, że w

Kryswowicach mieszka jedna, wielka, przyjacielska wspólnota. Wierzę, że wspólnie sprawimy, żeby wioska Kryswowice była najlepsza w rejonie mościskim”. Korzystając z okazji, pan Jarosław przekazał finansową pomoc na budowę plebanii przy kościele i ogrodzenia naokoło cerkwi.

„Historia wioski Kryswowice jest wielopłaszczyznowa i sięga w głąb wieków – powiedział Igor Stecyna, radny powiatu mościskiego. – Jest mi bardzo przyjemnie, że wioska, gdzie mieszkają Polacy i Ukraińcy wspólnie organizuje takie święto. Uważam, że to tylko początek waszego festynu, który powinien stać się tradycją, którą będziecie odznaczać każdego roku”.

Pomiędzy częściami oficjalnymi, zespoły z Kryswowic (zespół dziecięcy „Krasnoludki”, zespół młodzieżowy „Cyganie”, zespół kółka gospodyń wiejskich „Kryswowianie”, zespół seniorów „AleBabki”), Czyszek,

Złotkowic zaprezentowały swoje umiejętności wokalnie-taneczno-artystyczne.

Oczywiście, nie mogło zabraknąć „parodyjnych” scenek i skeczy z życia wioski. Odegrano barwne scenki „Odpoczynek na morzu” i „Wioska moja, kocham Cię” w wykonaniu mieszkańców Kryswowic, humoreski „Sąsiedzi” i „Budowa” w wykonaniu Marii Fil z Czyszek.

Wszyscy mieszkańcy i goście, przy kielbaskach, bigosie i piwie, świetnie się bawili. Na koniec zaśpiewali „Sto lat” i „Mnohaja lita”.

Przy muzyce i tańcach kontynuowano święto. Nawet ulewny deszcz temu nie przeszkodził.

Wzmianka historyczna

Wieś Kryswowice, leży 3 km od Mościsk na trasie do Sambora. Pierwsze wzmianki o niej sięgają 1440 roku, chociaż przyjętą datą lokacji jest rok 1469. Miejscowość otrzymała swoją nazwę od staroruskiego szlacheckiego rodu Kryswów.

Do 1914 roku właścicielami Kryswowic był polski, szlachecki ród Stadnickich, którzy mieli w posiadłości pałac z zamkową kaplicą.

W 1939 roku wojska sowieckie spaliły pałac, ale kaplica została nie uszkodzona. W latach 50. XX wieku ruiny pałacu rozebrano, a z pozostałości zbudowano budynki kolchozowe. W pomieszczeniu kaplicy utworzono magazyn.

W 1990 roku budynek dawnej kaplicy oddano miejscowym Polakom. W październiku 1997 roku odnowiony kościół uzyskał status sanktuarium Matki Boskiej Fatimskiej.

Wieś liczy 609 mieszkańców (wg stanu na 2010 rok).

Zakładaj obręcz, Wasylu

We wsi Iwanowce pod Kołomyją, miejscowy rzemieślnik Wasyl Moczerniuk, odradza stare tradycje huculskiego bednarstwa. Jego dom we wsi znają wszyscy. Tu można zaopatrzyć się w kilka rodzajów beczek: na kiszoną kapustę, na ogórki, na wino, bryndzę, dzieżki do wyrabiania ciasta, a nawet urządzenia do wyciskania soku w kształcie tradycyjnych beczek.

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcie

Jeszcze przed kilku laty był... dyrektorem kolchozu. Dziś nie wstydzę się swego zajęcia, bo od małego zwykł do życia z pracy z własnych rąk. „Dzyń, dzyń, ryp, ryp” – dolatuje z niewielkiego warsztatu. „To dziadek Wasyl beczki klepie” – mówią mieszkańcy wsi. Z wiązką równiutkich deseczek, z warsztatu wychodzi potężny mężczyzna z żylastymi rękoma. Ostrożnie ustawia deseczki na ziemi i zaprasza do wnętrza. Przy wejściu – olbrzymia stuletnia beczka-dłubanka, wykonana z jednego pnia drewna. Jest to specyficzny talizman dziadka Wasyla. Mężczyzna mówi, że jego gazdunia chciała tę beczkę rozpiłować, ale nie dał, bo to jeszcze pamiątka po prababci. Kiedyś po prostu pień drzewa był beczką, a dziś czego tylko nie nawymyślają.

Bednarstwo w rodzinie Moczerniuków przekazuje się z pokolenie na pokolenie. Do dziś wspominają Grigorija Moczerniuka, dziadka dzisiejszego bednarza. To był majster! Nawet dla mrówki mógł beczkę zrobić. Swoje umiejętności przekazał... żonie, która nauczyła rzemiosła ojca Wasyla. „Nie bardzo ojca słuchałem – przyznaje się z uśmiechem mistrz. – Siedziałem, patrzyłem, trochę pomagałem. Potem służba w wojsku, przez kolejne 10 lat byłem głównym inżynierem, następnie dyrektorem kolchozu. Jak poszedłem na emeryturę, przypomniałem sobie nauki ojca”.

Ludzie pamiętając, że w rodzinie Moczerniuków od zawsze byli bednarze, znosili Wasylowi do naprawy beczki. Zaczęli prosić aby coś zreperował, coś zrobił od nowa – jednemu na kapustę, innemu na ogórki. Jak odmówić sąsiadom? Przyszło mu przypomnieć sobie, co widział kiedyś u ojca w warsztacie. „Beczki najlepsze są tylko z dęba – z uśmiechem dzieli się mistrz i od razu uprzedza, że bednarstwo to nie żeńska sprawa. – Beczki robić można i z sośniny, a miodogonki najlepsze są z lipy. W zależności od wielkości beczki, takie drzewo się ścina. Im starszy dąb, tym mocniejsza i trwalsza będzie beczka. Pień rozdziela się siekierą, a nie piłuje piłą. Na beczkę potrzeba 20-25 klepek.

Następnie drewno trzeba dobrze wysuszyć. Dalej heblem nadaje się klepkom odpowiedni kształt, zaczynając od strony zewnętrznej. Potem dopasowuje się powierzchnie boczne klepek, żeby szczelnie do siebie pasowały. „A teraz proszę patrzeć, jak z klepek robi się beczkę, – mówi pan Wasyl i bierze dopasowane dębowe klepki i łączy je obręczą. Na pierwszy rzut oka podobne jest to na nierówny koszyk. Tę konstrukcję mistrz rzuca do olbrzymiego metalowego kotła



i gotuje przez 12 godzin. Pod działaniem gorącej wody drewnianka staje się miękka i giętka. Tak „przepracowana” konstrukcja w najszerszym miejscu ściąga się stalową linką, a na ściągnięte klepki nabija się kolejne obręcze.

Teraz rzecz najważniejsza – dno. Wasyl Moczerniuk mówi, że dobrze trzeba wymierzyć średnicę beczki i dopasować poszczególne deseczki – dągi, z których powstanie dno beczki. „Tu trzeba dobrze przypomnieć sobie geometrię – mruga bednarz. – Chociaż nasi dziadkowie nie mieli o tym pojęcia, a beczki robili dobre”. Popuściwszy obręcz, dopasowuje kolejne dągi i znów zakłada obręcz. Aby beczka nie przeciekała w drobne szczeliny wtyka się... liście oczeretu, które są naturalnym uszczelniaczem. Następnie do beczki wlewa się wodę i wrzuca kilka garści maki kukurydzianej, która uszczelni wszystkie niedokładności. Jeżeli jednak przecieka – to znów wybija się dno i powtarza operację. Następnie, przed każdym użyciem, do beczki trzeba nalewać wody, aby nie się rozeschła i nie popękała.

Wasyl Moczerniuk mówi, że beczka może służyć od 50 do 200 lat. „Beczki od dawna wykorzystywali nasi przodkowie – z zadowoleniem opowiada mistrz. – Beczka jest rzeczą uniwersalną. W takich naczyniach można mieścić ciasto na chleb, można trzymać płyny i rzeczy sypkie (mąka, ziarno). Przez lata nie będą się psuły. Beczka to ekologiczny pojemnik. Teraz wielu ludzi prosi mnie o niewielki beczułka – na 3-5 litrów. Takie można trzymać w mieszkaniach, nie zajmują wiele miejsca, a przynoszą korzyść”. O cenach na swe wyroby mistrz nie mówi. Materiał mu przynoszą, narzędzia bednarskie zrobił sam, a większość wyrobów produkuje dla przyjaciół i znajomych.

Mistrz mówi, że bednarstwo, które niegdyś było bardzo popularnym rzemiosłem, upada. Ubolewa, że nie ma uczniów. Teraz ludziom prościej kupić plastikowy pojemnik, niż doczekać się, aż powstanie ekologiczny.

Zrezygnować z Ukrainy?

Pół roku minęło odkąd po raz ostatni przekraczałem polsko-ukraińską granicę. Nie był to nigdy moment sielankowy: Hrebenne – Rawa Ruska. Autobusy są uprzywilejowane, zatem odprawa trwa tu krócej, niż w wypadku samochodów osobowych. Pomimo wszystko, godziny przestane na granicy były koszmarem.



Przejście graniczne nie tylko nie okazało się bardziej ludzkim, ale wróciło do najgorszych tradycji. Siedem godzin na granicy. Przetrzytywali Ukraińcy, przetrzymywali Polacy...

WOJCIECH JANKOWSKI
tekst i zdjęcie

Kurs w stronę Lwowa był jeszcze znośny. Na Ukrainę raczej niczego się nie przemyca w ilościach hurtowych, więc nie ma potrzeby przeglądania bagaży. Nawiasem mówiąc, kilka lat temu w pociągu Przemysł – Czerniowce ukraińscy celnicy spytali, czy wwożę ikony na Ukrainę. Przecież to od was się wywozi – odpowiedziałem. Urzędnicy parsknęli śmiechem i na sekundę pokazali ludzkie oblicze... ale to było 10 lat temu i inne przejście graniczne. Lata mijają, ukraińscy urzędnicy pozbywali się powoli sowieckiej skorupy i stawali coraz częściej uprzejmi. Niekiedy nie było tak po polskiej stronie. Zwłaszcza, gdy mieli do czynienia z Ukraińcami.

Powroty były o niebo gorsze: godziny, godziny, godziny. Postój po ukraińskiej stronie w miarę znośny i... Hrebenne. Koszmar, którego nie sposób racjonalnie wytłumaczyć. Autobus stał i czekał. Pogranicznicy sprawdzili paszporty, pasażerowie czekali a celników ani widu ani słychu. Czas ciągnął się z oporem papieru ściernego – zmęczenie, niewyspanie i oczekiwanie na moment, kiedy pracownicy państwowi (a więc utrzymywani również z moich podatków) zaczną wykonywać swoją pracę.

Niezbyt się spieszyli, bo mieli do czynienia z „zarobitczanami”. Nie było do kogo się spieszyć... Obiecywałem sobie: ostatni raz jadę autobusem. Za każdym razem!

Przyszło Euro 2012. Obietnice. Granica będzie przejezdna bez przetrzymywania, sprawdzania bagaży wyrwykowe. Wspólne, polsko-ukraińskie odprawianie(!) w trakcie Euro miało trwać 20 sekund o ile zarejestrowali się wcześniej przez internet. O tym donosił zresztą Kurier Galicyjski. Miało być miło, sympatycznie i sprawnie. Nie wiem, czy było – jeżeli nastąpiła jakaś zmiana na lepsze, to na krótko. Jednak było oczekiwanie, że ta granica ucywilizuje się.

W połowie lipca znowu jechałem do Lwowa. W miarę sprawnie: granica cywilizacji łańciskiej i bizantyjskiej. Po stronie łańciskiej – naburmuszony pogranicznik, po bizantyjskiej miła, uśmiechnięta pani, ale nic to. Urzędnicy nie są od tego, żeby byli mili. Mają być sprawni. Tacy amerykańscy pogranicznicy – to dopiero są niemili, nasi też mogą.

Powrót – to miał być prawdziwy sprawdzian. I był. To przejście graniczne nie tylko nie okazało się bardziej ludzkim, ale wróciło do najgorszych tradycji. Siedem godzin na granicy. Przetrzytywali Ukraińcy, przetrzymywali Polacy. Wspólna odprawa? Po co? Jak mi powiedział

znajomy z Winnicy – to by ich pozabawiło potężnego źródła dochodów, bo by wzajemnie patrzyli sobie na ręce.

Godziny oczekiwania – wreszcie puścili. Przejeżdżamy kilkadziesiąt metrów – granicę łańcisko-bizantyjską... Zapewne tę myśl miał w głowie młody Ukraińiec, który za mną siedział – uff! Wyjechaliśmy z Ukrainy. U Polaków będzie lepiej!

- Bedzie jeszcze gorzej – odpowiedziałem. Milczał. Nie skomentował. Z pewnością uważał, że to jest granica cywilizacji, że wjeżdża do Europy i tu musi być lepiej. Otóż nie musi, ale on tego jeszcze nie wiedział. Prawdopodobnie nie był z Galicji, był gdzieś z Wielkiej Ukrainy i znajomi nie opowiadali mu o tej granicy. Jechał do Europy na wakacje. A Europa okazała się bardzo swojska. To prawda – nie wygoniono nas wszystkich z bagażami i nie musieliśmy czekać poza autobusem w nieskończoność. Poprawiło się... tylko, że w dusznym autobusie czekaliśmy dłużej niż zwykle. Dojechałem do domu skonany. Obiecałem sobie: już więcej nie pojedę autobusem!!!

Tylko, że za tydzień wracam na Ukrainę. Połączenia kolejowe są beznadziejne, a samolot do Lwowa drogi. Tanie linie latają z Katowic do Kijowa – mi nie po drodze. Jaki mam wybór? Zrezygnować z Ukrainy?

najbliższy miesiąc. W sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy nie mamy możliwości na dotrwanie do zamknięcia sezonu.

Jesteśmy bardzo zawiedzeni, że już po raz drugi od chwili reaktywacji, LKS „Pogoń” Lwów znalazł się w poważnym zagrożeniu tylko i wyłącznie z powodu słabego wsparcia finansowego.

Praca społeczna dla odrodzonego klubu, której podejmują się po-

szczególni członkowie nie wystarczy niestety do prowadzenia normalnej działalności, organizacji treningów i występowania w rozgrywkach.

Dziękujemy sponsorom, dzięki którym udało się, do tego momentu, wykonać większość planu. Niestety, nasze nadzieje na wsparcie ze strony MSZ okazały się złudne.

źródło:
www.pogon.lwow.net

MSZ odmówiło wsparcia „Pogoni”

Oświadczenie Pogoni Lwów: „Ministerstwo Spraw Zagranicznych, do którego zwracaliśmy się, za pośrednictwem Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, z wnioskiem o dofinansowanie, odmówiło wsparcia”.

W obecnej sytuacji zostaliśmy zmuszeni do zawieszenia, na czas nieokreślony, działalności Szkółki Piłkarskiej LKS-u. W chwili obecnej klub dysponuje środkami na normalną działalność tylko przez

RADIO WNET POLECAMY!

Słuchaj przez internet doskonałych programów warszawskiego Radia Wnet www.radiownet.pl

Program Wschodni
w każdą sobotę o godz. 11:07 (czas ukr.)

Program wschodni jest radiową emanacją platformy, którą Radio Wnet przy współpracy Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie tworzy z polskimi redakcjami na terenie byłego ZSRR. Platforma pozwoli tym redakcjom współpracować i wymieniać się tworzonymi materiałami. Nasza współpraca obejmuje redakcje w następujących miastach: Równe, Lwów, Stanisławów (Iwano-frankisk), Winnica, Jej owocem jest Program Wschodni. Ponadto będą nas od-



wiedzać specjaliści od Wschodu z Polski. Program prowadzi Wojciech Jankowski.

Historia Wnet
w każdą sobotę o godz. 12:00 (czas ukraiński)

Do doskonały program historyczny, w którym nie ma tematów tabu.

„Pod sztandarem Radia Wnet rozmawiamy o historii. Zapraszam.

Kontakt: Historia@radiownet.pl – napisał prowadzący program Piotr Dmitrowicz.



Wszystkie audycje (w tym archiwalne) są dostępne w internecie na portalu: www.radiownet.pl

NA POLSKIEJ FALI POLECAMY!

NA POLSKIEJ FALI to nowa audycja radiowa w języku polskim na falach iwano-frankowskiego Radia Weża w paśmie 107 FM, a także w internecie na stronie: www.kuriergalicyjski.com



Program jest nadawany w każdą sobotę o godzinie 21:15 Program jest też powtarzany: w niedzielę o godz. 11:30 w poniedziałek o godz. 21:15 we wtorek o godz. 21:15 Wszystkie audycje (w tym archiwalne) są dostępne w internecie na portalu www.kuriergalicyjski.com

NA POLSKIEJ FALI to wspólna inicjatywa Kuriera Galicyjskiego, warszawskiego Radia Wnet oraz iwano-frankowskiego Radia Weża. Naszych słuchaczy zapraszamy do współpracy, dzielenia się z nami swoimi uwagami i tym, co chcielibyście usłyszeć. Piszcie do nas na mail kuriergalicyjski@wp.pl **ZAPRASZAMY!!!**

POLSKA MISJA MEDYCZNA NA UKRAINIE

10 lipca 2012 przybyła na Ukrainę Polska Misja Medyczna. Celem misji, organizowanej już nie po raz pierwszy, było zbadanie stanu zdrowia Polaków na Ukrainie, a także konsultacje medyczne, pomoc w diagnozowaniu i leczeniu mniej lub bardziej poważnych chorób. Organizatorem projektu było Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”. Misja odwiedziła w tym roku: Łuck, Sławutę, Mikołajów, Chersoń, Symferopol, Sewastopol, Jałtę oraz Iwano-Frankowsk (d. Stanisławów). Poniżej zamieszczamy fragmenty nadesłanych nam relacji.

Relacja z Łucka

Na początku swojej wizyty polscy lekarze spotkali się z konsulem generalnym RP w Łucku Markiem Martinkiem, z którym podzielili się swoimi planami pobytu na Wołyniu i Ukrainie.

Wołyńskie Stowarzyszenie Lekarzy Polskiego Pochodzenia przez cały czas pobytu gości w Łucku opiekowało się swoimi kolegami z Polskiej Misji Medycznej, którzy prowadzili konsultacje i badania lekarskie mieszkańców Wołynia w szpitalu polowym w pobliżu Katedry Świętych Piotra i Pawła w Łucku.

Polscy lekarze zbadali i okazali pomoc ponad pięćdziesięciu pacjentom. Większość z nich to Polacy, mieszkający na Wołyniu. Było dużo starszych ludzi, którzy mają przewlekłe schorzenia. „Szpital na kołach” ma nowoczesny sprzęt. Pacjentom na miejscu robili następujące badania: EKG, USG, poziom cukru we krwi, spirometrię. Zainteresowani mogli zasięgnąć porady chirurga-onkologa, lekarza ogólnego, pediatry, ortopedy. Polską Misję Medyczną, która ma dwa tuziny lekarzy, prowadzi szef Misji – znany polski chirurg, doktor, profesor Mariusz Frączek, któremu pomaga rektor Misji ksiądz prałat Henryk Błaszczuk.

Z okazji pobytu Misji w Łucku odbyło się uroczyste spotkanie polskich lekarzy z lekarzami Stowarzyszenia Polskiego Pochodzenia na Wołyniu, na czele którego stoi Sergiusz Prokopiuk, który skoordynował plany dalszej współpracy z Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska”. Goście odwiedzili biura Stowarzyszenia



wieku przez Albrechta Stanisława Radziwiłła na wzór świątyni rzymskiej II-Giezu, wstępny projekt której przygotował Michał Anioł), zdewastowany polski cmentarz i pałac Radziwiłłów, w którym obecnie znajduje się szpital psychiatryczny. W zniszczonej starożytnej kolegiacie Świętej Trójcy ksiądz-prałat Henryk Błaszczuk odprawił mszę żałobną za Polaków i Ukraińców, którzy zginęli podczas krwawych wydarzeń w 1943 roku na Wołyniu. 69. rocznica wydarzeń zbiegła się akurat z przyjazdem polskiej Misji na Ukrainę...

Ze smutkiem w oczach po tym co zobaczyli i z dobrymi wrażeniami o ludziach z Wołynia polscy lekarzy pojechali do innych miast Ukrainy, w

godz. 10.00 zaczęły się przygotowania do przyjęcia pacjentów. Spotkać się z polskimi specjalistami przyszło ok. 150 osób pochodzenia polskiego w wieku od 15 do 85 lat. Najwięcej było osób starszych cierpiących na choroby związane z wiekiem. Wstępnych badań (ciśnienia, krwi) i wywiadów dokonywali studenci medycyny, zebrani z różnych zakątków Polski. Przed wizytą u lekarza, według wskazań, można było zrobić badania serca (EKG) i prześwietlenie organów wewnętrznych (USG). Po tym na pacjentów w osobnych salach czekali lekarze specjaliści: internista, onkolog, chirurg, ortopeda. Badania trwały do godz. 18:30, do ostatniego pacjenta.



Lekarzy Polskiego Pochodzenia na Wołyniu oraz biuro Towarzystwa Kultury Polskiej im. T. Kościuszki, w których spotkali się z prezesem Towarzystwa Niną Poremską, zwiedzili stację Pogotowia Ratunkowego w Łucku, gdzie również spotkali się z jej kierownikiem Olegiem Kucem.

Polscy lekarze mieli możliwość pospacerować ulicami Łucka, zwiedzić zamek księcia Lubarta, katedrę św. Piotra i Pawła oraz odwiedzić katedrę Świętej Trójcy.

Pod koniec swojej wizyty goście zwiedzili miejscowość Ołyka, gdzie znajduje się zniszczona kolegiata Trójcy Świętej (zbudowana w XVII

których mieszkają Polacy, żeby wypełnić swoją chrześcijańską, dobroczynną Misję Medyczną w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej.

SLPP na Wołyniu
www.lekarz.volyn.ua

List ze Sławuty

12 lipca byli też gośćmi w naszym mieście. Celem misji było zbadanie stanu zdrowia Polaków na Ukrainie, a także konsultacje medyczne, pomoc w diagnozowaniu i leczeniu mniej lub więcej poważnych chorób wśród ludności.

W Sławucie w ośrodku Praktyka Medyczna (ul. Kuzowkova 22) o

Była to okazja nie tylko do sprawdzenia stanu zdrowia przez specjalistów. Ludzie chorzy przede wszystkim potrzebowali kogoś, kto mógł wysłuchać, zrozumieć, wyjaśnić, co się dzieje w organizmie poszczególnej osoby oraz doradzić w każdym przypadku. Za to wszystko serdeczne podziękowania składamy na ręce uczestników Misji, a także p. Marii Kowalczyk, prezes Związku Polaków w Sławucie za organizację przyjęcia lekarzy w naszym mieście.

W Winnicy

W ramach Misji Medycznej „Ukraina 2012” 24 lipca br. polscy



lekarze na czele z profesorem habilitowanym Mariuszem Frączkiem i ks. Henrykiem Błaszczukiem odwiedzili Winnicę.

W Winnicy, w przychodni przy klasztorze zgromadzenia sióstr kanosjanek przy ul. Sobornej, w samym centrum miasta zostały ustawione namioty Misji Medycznej, pod którymi, a także i w pomieszczeniu przychodni, lekarze i ratownicy z Polski o godz. 11:00 zaczęli przyjmować pacjentów. To wygodne rozlokowanie Misji zabezpieczył konsul generalny RP w Winnicy i osobiście konsul Krzysztof Świderek.

Przyjmowanie pacjentów odbyło się według klasycznej metody – wstępne badania (pomiar ciśnienia, ciśnienie krwi, pomiar poziomu cukru krwi) i wywiadów dokonywali studenci medycyny i ratownicy z różnych zakątków Polski – Poznania, Olsztyna, Warszawy. Według wskazań robiono badania serca (EKG) oraz organów wewnętrznych za pomocą USG. Dalej na pacjentów w osobnych salach czekali lekarze specjaliści: internista, onkolog, chirurg, ortopeda. Badania trwały do godz. 17:00, do ostatniego pacjenta.

By spotkać się z polskimi specjalistami przyszło ponad 50 osób pochodzenia polskiego w różnym wieku – od 6 do 78 lat. Były osoby starsze mające choroby przewlekłe, związane z wiekiem i sytuacją ekologiczną, która ma wpływ również na ludzi młodych i dzieci.



Dla miejscowych Polaków była to okazja nie tylko do sprawdzenia stanu zdrowia przez dobrych polskich specjalistów, ale też mogli odczuć niezwykłą przyjaźń. Ludzie zawsze, a szczególnie ludzie chorzy potrzebują specjalisty, który może zrozumieć, wyjaśnić, co się dzieje ze zdrowiem oraz doradzić.

Ze zdziwieniem Polacy z Winnicy porównywali miłą zawodową atmosferę, panującą w Misji z realiami zwykłej ukraińskiej przychodni.

Dla większości Polaków Podola, jedna wizyta, nawet takiej wspaniałej ekipy lekarzy, nie jest w stanie wiele pomóc, ponieważ po jakimś

czasie ludzie będą potrzebowali nadal pomocy wykwalifikowanych lekarzy, a nie mają do kogo przyjść. Musi być kontynuacja leczenia i zawodowa obserwacja wyjawionych chorób. Gdyby taka placówka medyczna była dostępna, to na pewno spełniała by te funkcje.

Na zakończenie wizyty odbyło się spotkanie lekarzy z działaczami polskimi z Winnicy, na którym uczestnikom Polskiej Misji Medycznej podziękował serdecznie za wszystko Jan Gliniczewski, prezes „Konfederacji Polaków Podola”.

WALERY ISTOSZYN
prezes Stowarzyszenia
„Świetlica Polska” Winnica

W Iwano-Frankowsku (d. Stanisławowie)

Pobyt w Iwano-Frankowsku był ostatnim akordem tegorocznej Polskiej Misji Medycznej na Ukrainie. Lekarze przyjmowali pacjentów na terenie Domu Parafialnego obok kościoła p.w. Chrystusa Króla. Zbadano wszystkich, którzy się zgłosili – 56 osób.

Goście zwiedzili też centrum dawnego Stanisławowa oraz spotkali się miejscowymi Polakami – powiedziała Lucyna Kubicka, prezes miejscowego Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń”.

Inf.wł.
WITALIJ CZASZCZIN zdjęcie

Wizerunek św. Anny powrócił do Sąsiadowic

26 lipca podczas uroczystości odpustowej pod przewodnictwem arcybiskupa lwowskiego Mieczysława Mokrzyckiego w kościele św. Anny w Sąsiadowicach koło Starego Sambora metropolita poświęcił wierną kopię otoczonej kultem od XVI w. płaskorzeźby patronki tej świątyni, która po 65 latach wróciła do jej głównego ołtarza. Przed rokiem wrócili tutaj też karmelici, ażeby odrodzić słynne przed wojną sanktuarium.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

Wyremontowany po pożarze kościół był wypełniony w tym dniu po brzegi. Przybyli ojcowie karmelici z Polski, księża z dekanatu samborskiego, wielu pielgrzymów z sąsiednich parafii, również grekokatolicy i prawosławni ze swoimi duszpasterzami na czele. Proboszcz o. karmelita Zbigniew Czerwień przed rozpoczęciem liturgii zaznaczył, że wizerunek był na tym miejscu od samego początku kościoła, na tak zwanej Górze Łaskawej w Sąsiadowicach. Prowincjał karmelitów o. Tadeusz Popiela w swojej homilii wspominał fragmenty historii tego miejsca.

Według przekazów płaskorzeźbę wyorano z ziemi i przeniesiono do kościoła św. Mikołaja. Umieszczona w parafialnej świątyni, miała jednak w cudowny sposób powracać na miejsce, w którym ją znaleziono i to mimo kilkukrotnych, ponownych przenosin. Uznano więc za najwłaściwsze wybudowanie w tym miejscu drewnianej kaplicy i umieszczenie w niej cudownej płaskorzeźby. W latach 1589-1591 z funduszy Herburtów powstała murowana świątynia,



Uroczystościom przewodniczył arcybiskup Mieczysław Mokrzycki

księża diecezjalni z Ukrainy i Polski. Ostatnio zaproszono karmelitów.

Po zakończeniu liturgii prowincjał karmelitów o. Tadeusz Popiela zapewnił licznie zgromadzonych wiernych, że dokona wszystkiego, ażeby rzymokatolicy w Sąsiadowicach nie pozostali bez duszpasterza, aby karmelici na nowo tu zamieszkali. „Ci mnisi, jak to już pokazała historia Łaskawej Górki, pozostaną tu znowu i zapiszą dobrą i dumną kartę. Taką,



Kopia płaskorzeźby



Prowincjał karmelitów o. Tadeusz Popiela



Procesja Eucharystyczna

którą konsekrował arcybiskup lwowski Jan Solikowski. A w latach 1603-1609, także dzięki wsparciu rodziny Herburtów, koło kościoła powstał klasztor karmelitów, którym została przekazana też nowa świątynia. Karmelici pełnili tam swoją posługę aż do 1946 r. Po II wojnie światowej większość Polaków została zmuszona do wyjazdu do PRL. Zabrali oni część mienia kościelnego, m.in. płaskorzeźbę św. Anny, która obecnie znajduje się w Krakowie. Przez pewien czas w kościele był magazyn kolchozu. W 1989 r. rzymscy katolicy odzyskali kompleks klasztorny w stanie kompletnej ruiny. Pracowali tam

iż nikt nie będzie się musiał wstydić. A wy, kochani bądźcie z nimi, trwajcie tu, w głębi swej wiary, ufając i zawierając to co czasem bardzo trudne i to co jest czasem nie do zniesienia, ale to wszystko składajcie w ręce Boga. Składajcie w ręce dzisiejszej patronki, bo ona jest jak dobra babcia” – wezwał prowincjał karmelitów.

Składając podziękowanie ojcom karmelitom za powrót do Sąsiadowic i za płaskorzeźbę arcybiskup Mieczysław Mokrzycki zaznaczył, że kiedy zrobiono w Polsce kopię tego wizerunku św. Anny, to zwyczajem wschodnim przytulono do autentycz-

nej. „Nie wiem, dlaczego żeśmy się na tyle lat spóźnili, ale nigdy nie jest za późno na dobry początek – mówił dalej lwowski metropolita. – Może trzeba było, żeby był ten pożar, żeby ojcowie karmelici tutaj wrócili. I myślę, że ten klasztor, ta świątynia, to sanktuarium będzie powracało powoli do swej pierwotnej świetności”.

W imieniu wiernych obrządku wschodniego życzenia rzymskim katolikom złożyli również o. Roman ze wspólnoty prawosławnej i o. Bogdan, proboszcz grekokatolicki.

Uroczystość nagrywała też Telewizja Wrocław, aby pokazać rodakom na Dolnym Śląsku.

W Horodence zwrócono relikwie św. Pawła

W niewielkiej miejscowości Horodenka, w województwie iwano-frankowskim (dawn. stanisławowskim) w świątyni Niepokalanego Poczęcia NMP, dziś cerkwi grekokatolickiej, wystawiono relikwię Apostoła Pawła – ułamek kości i relikwie św. Ramona de Penyafort – patrona prawników kościelnych.

SABINA RÓŻYCKA
tekst
JAROSŁAW ŁEWKUN
zdjęcie



Relikwie są umieszczone we wspaniałej cerkwi – dawnym kościele Niepokalanego Poczęcia NMP i przez dłuższy czas były w mieście. W obawie przed zbezczeszczeniem w pewnym okresie zostały zabrane ze świątyni. Przed pół rokiem relikwie przyniosło do świątyni młode małżeństwo i przekazało ks. Igorowi Kowbasiukowi. Kto to był, ksiądz nie ujawnia, bo zwracający zastrzegłi sobie zachowanie tajemnicy. „Ktoś może powiedzieć, że to bohaterstwo, a ktoś – że świętokradztwo. Naturalnie nie ze strony tych, co relikwie zwrócili, a tych, co je z kościoła zabrali – mówi dziennikarce Kuriera ks. Igor. – Przypuszczam, że po prostu nie wiedzieli co to takiego”. Przed kilkoma dniami relikwie zostały wystawione dla wiernych. Co dnia do Horodenki przyjeżdża wielu wiernych, żeby się pomodlić.

W szczególności oczekuje się przyjazdu wielu... prawników, bo to właśnie ich patronem jest hiszpański ksiądz Ramon de Penyafort, uważany za ojca prawodawstwa kościelnego. Studiował w Barcelonie i na Uniwersytecie w Bolonii i tam został doktorem prawa cywilnego i kanonicznego. Przez krótki okres wykładał, a nawet kierował katedrą prawa. W 1222 roku w hiszpańskiej Katalonii, wstąpił do zakonu dominikanów. Mając wspaniałe wykształcenie prawnicze Ramon de Penyafort napisał pierwszy oficjalny „Kodeks prawa kanonicznego”. Zmarł w 1275 roku, w wieku prawie stu lat. Po pewnym czasie został kanonizowany przez papieża Klemensa VIII w 1601 roku i pochowany w świątyni w Barcelonie.

Oprócz relikwii świętego prawnika w cerkwi w Horodence jest część kości Apostoła Pawła. Przechowywana w niewielkim relikwiarzu, obramowanym srebrnym wianuszkiem. Relikwia wygląda na dość starą – ma już kilkaset lat. Pod kryształowym ośmiobocznym szkiełkiem jest czerwone tło. Na nim, na niewielkim kawałku grubo tkanego płótna kaligraficzny napis „Pauli Ap”. Poświadczą tę relikwię nawet specjalny dokument, którzy

odsukał ks. Igor. Jest to pismo datowane na rok 1748 i podpisane przez Tomaso Chervini, biskupa, katolickiego patriarchę Jerozolimy. Jest tam napisane, że „święta relikwia pochodzi z wiadomego źródła, potwierdzonego historycznie i potwierdzona jest pieczęcią. Jest to część kości św. Pawła Apostoła, włożona w niewielką srebrną owalną kapsułę i umocowana nicią czerwonego koloru i przypięta czarną pieczęcią z czerwonego hiszpańskiego wosku”. Dokument powstał 30 sierpnia 1748 roku w rzymskiej kancelarii biskupa Chervini.

Relikwie do horodelskiego kościoła przywiózł prawdopodobnie Mikołaj Potocki, bo z jego fundacji powstała świątynia. „Z tym arystokratą liczone się w Europie i mógł on przywieść takie relikwie do Horodenki” – kontynuuje ks. Kowbasiuk. Relikwie przywieziono do umieszczenia w głównym ołtarzu podczas konsekracji kościoła. Świadczą o tym zapisy w książce historyka sztuki Zbigniewa Hornunga (Hornung Z. Majster Pinzel snycerz – karta z dziejów polskiej rzeźby rokokowej, Wrocław, 1976. – s. 71). Jest tam zapisane, że w kościele, budowę którego ukończono pod koniec lat 50. XVIII wieku i uroczyste konsekrowano 2 lipca przez biskupa Stanisława Rajmunda Jezierskiego, w głównym ołtarzu wmurowano relikwie Pawła Apostoła i św. Ramona de Penyafort, a w bocznych ołtarzach męczenników Paciensa i Pudencjany. Do niedawna nikt o tym nie mówił. Gdy w świątyni znów zaczęto odprawiać nabożeństwa, do ks. Igora zwrócili się ci, którzy relikwie przechowywali. Obecnie relikwie są wystawiane do uczczenia przez wiernych.

ZAPROSZENIE DO UDZIAŁU W OBCHODACH 71. ROCZNICY MORDU INTELIGENCJI POLSKIEJ W CZARNYM LESIE

11 sierpnia 2012 r. TKP „Przyjaźń” organizuje obchody 71. rocznicy mordu inteligencji polskiej Stanisławowa w Czarnym Lesie obok wsi Pawelcze.

Serdecznie zapraszamy wszystkich kto czuje więź z narodem polskim, liczną społeczność polską Stanisławowa i wszystkich chętnych czujących potrzebę aby godnie uczcić pamięć naszych niewinnie pomordowanych rodaków.

PROGRAM

11 sierpnia (sobota) 2012 r., godz. 12:00 – Msza św. w kaplicy na cmentarzu w Czarnym Lesie za ofiary zbrodni hitlerowskiej. Po zakończeniu Mszy św. – złożenie kwiatów i zapalenie zniczy przy pomniku. Wyjazd autobusem spod kościoła p.w. Chrystusa Króla (ul. Wowczyniecka 92) o godz. 11:00.

Organizatorzy

W KRAINIE GŁODOMORÓW



Budynek starego sanatorium

- Kędy do zakładu doktora Tarnawskiego?

- Ne znaju.
- Jak to? Nie wiecie? Zakład... Bolnycia... No szpital... Dużo chorych.

- Ce znaju. Tilki chworych ja tam ne baczwy... A durnych bahačko.

Małe oczki Hucula śmieją się w siatce zmarszczek. Czerwone portki jarzą się w ukośnych promieniach słońca. Kozuch czarnym włosem na wierzch – jak w feerii. Zajeżdżamy przed tusculum głodomorów Wszeczpolski, lecznicę doktora Tarnawskiego.

„Bez okazania karty, wystawionej przez zarząd zakładu, wstęp wzbroniony” – czytam napis na bramie.

Stoję niezdecydowany. Z bramy wylazi stwór następujący: ma mary-

narkę z plecionki wżutą na gołe ciało; takież na takimż krótkie spodnie; po czym – gołe łydki; poczym – sandały.

Stwór ma białą mykę na głowie i rusza wyniośle grydką. Tandem żółte okulary. Tandem lagę.

- Jeżeli „chworyj”, to pół biedy – myślę sobie – ale jeżeli „durnyj”?

Zginam się tedy w pałak jak Reinecke-Lis, kiedy sunął z duserami do wilczej familii, i pytam najłodziej, uskakując z lekka za auto:

- Przepraszam, gdzie się mieści dyrekcja zakładu?

- Taż za bramą – odpowiada stwór najczystsą lwowszczyzną.

Muszę tedy stwierdzić, że na samym wstępie złamałem prawo – przekroczyłem bramę (bez karty wstępu) i byłem otoczony przez rój stukilowych aniołków w bieli.

Tęsknie rzuciłem okiem za siebie, ale za późno: brama się zatrzęsła.

Wyczytałem na niej napis: „Władaj sobą!”

Chrząknąłem i władnąłem. Ale mi się smutno zrobiło za wolnością. Zaiste – klasztor. Dwadzieścia morgów prześlicznego ogrodu, w którym drzewa uginają się od owoców. Ciche zwirowane ścieżki. Niskie pawilony z bursztynowego drzewa, w których oknach palą się słońca. I ludzie w bieli.

Służący w trepach bierze walizy i wiedzie mnie w siódmy krąg tych krain. Na prawo odstania się plac, na którym pasie się duża grupa autochtonów.

Gong. Autochtony stają w ordynku i zaczynają wietrzyć najpierw prawą, potem lewą dziurką od nosa. Przepadłem... Zwietryli!... Bo oto

zaczynają machać ze wstrętem rękami.

- Z „Kuriera” jestem – klaniam się niezdarnie. Teraz autochtony zgodnie zaczynają gwizdać.

Rozeżlam się i wzywam swego Wergiliusza, żeby podążył dalej.

- Racja – powiada – jak już zaczęli gwizdać, to zaraz będzie gęg na kolację.

Potem mi wytłumaczono, że z gwizdaniem są stale połączone pewne ćwiczenia, a strzepywanie rękami ma oznaczać zrzucanie z siebie zmęczenia.

Ale teraz myślę przede wszystkim o tym „gęgu” na kolację. Więc jednak!

W drodze w jednym z uzdrowisk zapewniała mnie słowem honoru jakaś paniusia, że „u Tarnawskiego nocą trupy w workach wynoszą”. Wierzyć w to, nie wierzyłem, ale zawsze – w każdej gadce musi być jakaś część prawdy.

Może, na przykład, nie w workach i nie w nocy i nie wynoszą, ale całkiem po prostu – w dzień, w trumnach i nawet parą koni.

Toteż na wszelki wypadek zre-kognoskowałem przedtem jeszcze

miasteczko Kosów i odkryłem wcale, wcale niczego oberżę. Niosłem ci ja teraz we wąpiach przemycone z teje oberży pstragi, przeto, że tak rzekę, problemat kolacji interesował mnie raczej teoretycznie.

A zresztą, Boże drogi, według mojej własnej teorii higienicznej człowiek może jeść co kwadrans...

Przy stole dają mi strużyny z czarnej rzodkwi, rzepę duszoną z tartym ni to serem, ni to twarogiem. Szlachetna ryba pstrąg przewróciła się we mnie z oburzenia.

Tedy pytam szeptem scenicznym usługującej Hani:

- Czy nie można by otrzymać butelki piwa?

„Zaruszały się posągi; królowie umarli na kamiennych sarkofagach na dloniach się wsparli”... Patrzą na mnie oblicza wojewody Jaroszewicza, profesora Ignacego Chrzanowskiego, profesora Bujaka (widziałem go już przy kucaniu z gwizdaniem), profesora Konopczyńskiego.

Nie ma co – jem rzepę. Po kolacji – dancng. Głodomory wywijają przy gramfonie.



Stara willa w Kosowie

MACIEJ DEMEL tekst
MARCIN ROMER zdjęcie

Apolinary Tarnawski

Tarnawski urodził się w Gnojnicy k. Jaworowa w 1851 r. Studia lekarskie ukończył w Krakowie, a staże kliniczne odbywał w Szpitalu Powszechnym we Lwowie. Zdobytwszy uprawnienia lekarza urzędowego, czyli „fizyka”, pełnił obowiązki w Borszczowie, Jaworowie, a wreszcie w miasteczku Kosów Huculski za Kołomyją. Z tą miejscowością wiąże się już na stałe jego nazwisko.

Korzystając z miejscowej saliny i niezwyklego klimatu Pokucia, Tarnawski założył na zielonym pobrzeżu Kosowa prywatny zakład przyrodolecznicy. W pyszny krajobraz wkomponowano trzy monumentalne warzelnie soli z pięknymi gotyckimi salami, przestronne tarasy do leżakowania, baseny, solaria i domki dla kuracjuszy rozrzucone po rozległym parku. Tarnawski stosował modne wówczas metody Lahmanna i Kneippa, zaostriżył rygory dietetyczne, podniósł rolę ćwiczeń fizycznych i hartowania, tworząc własny system kuracji naturalnej.



Tablica pamięci dra. Apolliniego Tarnawskiego

Na ten system składały się dwa splecione ze sobą programy: jeden dla ciała, drugi dla ducha. Ten drugi miał na celu przestrojenie osobowości, walkę z hipochondrią i pesymizmem. Tarnawski konsekwentnie formował swój zakład w szkołę zdrowia, kładąc nacisk na funkcję reedukacyjną.

Zakład powstał u schyłku ubiegłego wieku i planowany był pier-

wotnie na 30 osób. Stopniowo rozrastał się przyjmując 50 internów, a kwatery dla eksternów w miasteczku sięgały liczby dwustu.

Sezon kuracyjny trwał od 1 maja do końca października. Zjeżdżała tu galicyjska socjeta, a także goście spoza kordonów zaborczych. Wojna światowa przerwała tę działalność; wznowiono ją w 1922 r. Zakład znów

stał się modny. Bywanie tu należało do dobrego tonu, lecz wymagało grubego portfela.

W archiwum dra Szarejki znajdujemy np. pochwalną notatkę wdzięcznej pacjentki – Gabrieli Zapolskiej. Wstawanie o świcie, bieganie boso po rosie, gimnastyka, praca w ogrodzie, jaska dieta, paradowanie w tunice. Miesiąc bez kawy, papierosów i alkoholu. U bram zakładu witał gości transparent: „Władaj sobą”.

Na drugim biegunie palety wspomnień sytuują się krytyczne zapiski w „Dzienniku” Marii Dąbrowskiej. Tarnawskiego nazywa ona szarlatanem, a program zakładu makabryczną plagą, tragedią ludzi, którym zaszczepiono głodówkowe szaleństwo. Ton emocjonalny zrozumiały, gdyż tu właśnie, w kosowskim zakładzie, zmarł nagle mąż wielkiej pisarki.

Z list kuracjuszy można by złożyć księgę śmietanki towarzyskiej II Rzeczypospolitej. Roilo się tu od polityków, artystów, przedstawicieli wolnych zawodów. Bywało, że gościło w Kosowie równocześnie kilku arcybiskupów, z unickim i ormiań-

skim ze Lwowa. Doktor, weredyk i autokrata, strofował ich bez żenady, zwłaszcza przy stole. Rewanżowali się żartem, że doktora – higienicznego ekstremistę – trzeba będzie dobijać na sądzie ostatecznym, bo gotów żyć bez końca.

Z życiowych satysfakcji dra Tarnawskiego wypada odnotować tłumny zjazd Towarzystwa Przyjaciół Huculszczyzny w Worochcie (1934) z udziałem premiera Składkowskiego. Doktor był na tym zjeździe odpowiednio honorowany za pracę społeczną, zwłaszcza za propagandę sadownictwa.

We wrześniu 1939 r. rodzina Tarnawskich rozpoczęła wojenną tułaczkę i z armią Andersa znalazła się na Bliskim Wschodzie. Dr Apollinary Tarnawski zmarł w 1943 r. w Jerozolimie; został pochowany na stokach Syjonu, w katakumbach franciszkańskich. Przed śmiercią snuł ambitne plany, a wśród nich pomysł założenia namiastki Kosowa w polskim Adam-polu w Turcji.

W 1966 r. dr Wit Tarnawski wydał w Londynie książeczkę pt. „Mój ojciec”, w której znaleźć można więcej szczegółów, a także plan kosowskiego zakładu oraz portret doktora z jego autografem.

- Jakże ślicznie tańczy ten pan.
- Odbywa piątą dzień głodówki.
- A partnerka?
- Dopiero trzeci dzień nie je.

Za oknem przesuwają się dwu panów. Jeden z nich, to rekordzista: jest w siedemnastym dniu głodówki – jego towarzysz głoduje czternasty dzień. Dziewiąta. Na dancingu ukazują się doktor Wit Tarnawski (junior).

Doktor Tarnawski! Chałubiński Huculscyżyczy... Osiemdziesięcioletni starzec o młecznej czuprynie, o oczach o młodzieńczym blasku, ustach zaciętych, znamionujących napięcie woli niemal fanatyczne. Boją się go chorzy okrutnie, bo zdarzają się wypadki, że każe zajeżdżać auto i... żegnać.

Stary doktor życie, pełne twardej pracy, poświęcił na nauczanie ludzi, jak mają żyć i odżywiać się.

Indagacja trwa. Aż gdy dojechało do stałych niemal rybnych i mięsnych kolacji w restauracjach, wstał senior, wziął pacjentkę za rękę i powiodł ze sobą między zabudowania gospodarskie. Leżała tam – świnka przy korytku.

- Zre pani – o tak...

Więc siedzi i płacze.

- Niech pani się uspokoi – pocieszają chorzy. – Każdemu prawie



Budynek starej łaźni popada w ruinę

- Dobranoc państwu (po rosyjsku się mówiło: „Izwoltie wam wyjti won”).

Nie ma rady. Trzeba się śpieszyć. Gdy o pół do dziesiątej świeci się jeszcze w czymś oknie, gwizdzą stróż nocny aż do skutku.

Z rana o godzinie piątej gong. Gimnastyka! Potem – przyjęcia u lekarzy. Lekarzy ordynujących posiada zakład trzech. Każdy chory przechodzi przez ręce dwu lekarzy, nim stanie przed obliczem seniora.

Przejedzenie, skaza moczeniowa, zła przemiana materii, powiększona wątroba i płynące stąd artretyzmy, otyłość, neurastenja, otłuszczenie serca – to są bestie apokaliptyczne, z którymi doktor Tarnawski wiedzie śmiertelny i nieubłagany bój.

Przyjechała pulchna, młoda mężateczka. Siedzi i płacze. Była u Tarnawskiego.

- Co pani je rano?

- Dwa jajka na miękko, szynka, babka lub ciastka, filiżanka kawy, szklanka herbaty, kilka tostów.

z nas się dostało: „Żresz pan!”

Doktor wszelkimi środkami chce wstrząsnąć naszą wolą i zbudzić chęć do zmiany życia. Znamienne jest bowiem, że wśród chorych panuje patriotyzm zakładu. Stary doktor wygłasza pogadanki, uczy, jak żyć przez cały rok. To nie sanatorium, które za pieniądze pacjenta odbębnia kurację. To – szkoła życia.

Głodówka – to nie żadna ekstrawagancja. Zabieg ten oczyszcza organizm z toksyn i nieużytków,



Kolory budynku były kiedyś inne

nagromadzonych przez lata. Post parodniowy nie wystarczy. Jeśli wytniemy na przykład kawałek psiego jelita, przepłuczemy i zeszyjemy w pierścień, przekonamy się, że na następny dzień będzie on pełen kału. Wydzielają go tkanki jelit. Kuracjusze bardzo zaawansowani nawet w głodówce odprawiają swoje funkcje fizjologiczne całkiem normalnie.

Kuracja kosowska sprawia, że ludzie przeobrażają się fizycznie, a co za tym idzie – psychicznie. Toteż zwykle wracają do Kosowa. Profesor Chrzanowski mówił mi, że jest dwudziesty drugi sezon w Kosowie, od wojewodziny Jaroszewiczowej dowiedziałem się, że jest po raz dziewiąty, itd.

Rzecz prosta, że głodówki zajmują tylko część kuracji. A poza tym znaczna część kuracjuszy głodówki wcale nie odbywa, poprzestając na tak zwanej „surówce” (owoce i gotowane kartofle) albo nawet na normalnej kuchni jarskiej, która jest tu niesłychanie urozmaicona, obfita i wykwintna, a w niedzielę nawet obfitująca... w kurczaki.

Kosów – to niby wielka rodzina. Chorzy – to elita intelektualna Polski. Nastrój – to skupione oczyszczanie organizmu, magazynowanie sił dla nowego roku zmagania i pracy.

MELCHIOR WAŃKOWICZ
około 1930 roku
zdjęcia **MARCIN ROMER**

Współczesny epilog do „W krainie głodomorów” Melchiora Wańkowicza

Oj zajechał do Kosowa (fragment znanej huculskiej kołomyjki)

MARCIN ROMER
tekst i zdjęcie

Sobotni poranek. Dochodzi 6 rano. Kosowski bazar tętni życiem już od paru godzin. Mydło i powidło.

Wszystkie drogi dojazdowe zapchane wszelkimi typami wehikułów mechanicznych i konnych. Niektórzy idą pieszo, inni obładowani zakupami już wracają. Jedna z części bazaru zajęta jest przez autentycznych twórców ludowych. Królują sprzedawcy *łyżników* – rodzaju wełnianego koca z owczej wełny. To wszystko *pierwsza ręka*.

Za parę godzin wszystkie te wyroby będzie można kupić na turystycznych bazarach w Jaremczy, Bukowelu, a nawet we Lwowie. Tyle, że prawie dwa razy drożej.

Zaopatrzeni w świeżą bryndzę, wychodzimy z bazaru. Przedzierając się przez tłum przechodzimy na drugą stronę szosy wiodącej wprost na Kutę. Jeszcze sto metrów wąską uliczką w prawo od szosy i jesteśmy na miejscu.

Brama dawnego sanatorium doktora Tarnawskiego nie jest tą, przez którą przechodził Wańkowicz. Postawiono ją już współcześnie. Wisi na niej napis poświęcony historii sanatorium. Kilkanaście metrów dalej na starym budynku sanatorium wisi tablica poświęcona pamięci doktora Apolinarego Tarnawskiego. To niestety koniec dobrych wiadomości. Nie ma już sanatoryjnej kaplicy. Piękny kiedyś budynek łaźni popada w ruinę. Za czasów sowieckich w parku dostawiono parę socrealistycznych betonowych rzeźb. Park dziki i podzielony. Mimo to nadal sprawia duże wrażenie. Ocalałe, pełne ornamentów drewniane budynki jarzą się w promieniach porannego słońca.

Wydaje się, że za chwilę usłyszymy *gęganie* pacjentów. Nie usłyszymy. Dziś to sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę. Jak wszystkie państwowe zakłady służby zdrowia chronicznie cierpi na brak środków.

Czy zdąży doczekać lepszych czasów?



Bazar w Kosowie, 6 rano

POLAK, JAPOŃCZYK – DWA BRATANKI (część trzecia)

Stosunki dyplomatyczne pomiędzy Japonią i nowopowstałym państwem polskim zastały nawiązane prawie natychmiast po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, bo już 23 marca 1919 roku. Poselstwo Japonii otwarto w Warszawie w roku 1921, ale przedstawiciele Cesarstwa pojawili się w Polsce dużo wcześniej. Takim przedstawicielem, początkowo tylko reprezentantem japońskiego Sztabu Generalnego, który już niedługo stanie się attaché wojskowym Ambasady, został młody kapitan Yamawaki Masataka. Miły, błyskotliwy, inteligentny, od razu zyskał sobie sympatię polskich oficerów. Związany z wywiadem japońskim, szczególnie interesował się zagadnieniami wywiadu polskiego, zaś Polacy, wierni już długoletniej, braterskiej współpracy z Japończykami, bynajmniej niczego mu w tym zakresie nie zabraniali.



SZYMON KAZIMIERSKI

„I rura, panie dobrodzieju!”

Bardzo szybko kapitan Yamawaki zauważył z wielkim zdziwieniem, że Polacy potrafią czytać pisane szyfrem tajne raporty rosyjskie. Zdumienie kapitana było autentyczne i szczere, bo kryptolodzy japońscy tego nie potrafili, a szyfry radzieckie były uznawane w Japonii za niemożliwe do złamania. Tu zaś, Polacy czytali je sobie jak poranną gazetę. Rozentuzjasmowany kapitan natychmiast zameldował o tym swojemu dowództwu sugerując, aby doprowadzić do oficjalnej współpracy sztabów polskiego i japońskiego i do oficjalnego szkolenia kryptologów japońskich w Polsce. Na to uzyskał odpowiedź szefa japońskiego wywiadu generała Itamiego Matsuo, że: „...jakżesz siły lądowe państwa pierwszej klasy mogą pobierać nauki od armii państwa trzeciego gatunku”.

Wzgarda, jaką nam okazał generał Matsuo, była po prostu głupia. Ten wspaniały „nadgenerał” okazał się całkowicie bezradny w sytuacji bardzo poważnych rozmów z przedstawicielami Rosji radzieckiej w Dairenie, dotyczących między innymi wycofania się Japonii z okupowanej Syberii. Rozmowom sekretnie towarzyszyli pracownicy japońskiego wywiadu, którzy choć skutecznie nagrywali szyfrowane dokumenty radzieckie, to jednak nie umieli ich odczytać! Rosła sterta nieodczytanych dokumentów, w których były zawarte wszystkie najtajniejsze postanowienia Rosjan. Od przeczytania tych papierów zależało wszystko, i co? – „I rura, panie dobrodzieju!”.

Wreszcie generał wyminił do tego stopnia, że zaszyfrowane meldunki Rosjan wysłano do Polski. Nie minął tydzień, a wszystkie meldunki przysły z Polski już odczytane, zaś generał stał się generałem dziesiątego gatunku! Tak się dzieje z ludźmi głupimi, którzy w życiu kierują się nie rozumem i sensownymi obserwacjami otoczenia, a stereotypami. To prawda, że Polska była państwem istniejącym dopiero kilka lat, ale Polska miała swoją Wunderwaffe, a tą cudowną bronią był kapitan Jan Kowalewski!

Szyfrant przez przypadek

Jan Kowalewski w zasadzie wcale nie był szyfrantem. Po ukończeniu szkoły handlowej w Łodzi, studiował chemię przemysłową na Uniwersytecie w Liège. Po wstąpieniu do wojska też nie sprawiał wrażenia kogoś genialnego. Wszystko zaczęło się od przypadku. Kolega Kowalewskiego, porucznik Sroka, miał tego dnia ślub swojej siostry, na który nie mógłby pójść, bo akurat wypadł mu dyżur w

sztabie, gdzie trzeba było odbierać depeze z nasłuchu radiowego. Porucznik Kowalewski zgodził się go zastąpić i w ten oto sposób znalazł się na stanowisku dającym mu wgląd w sprawy tajnych szyfrów. Polskich i niepolskich. Zauważył bowiem cały stos nierozszyfrowanych depeze bolszewickich, a że na dyżurze było nudno, z nudów zaczął próbować je rozszyfrowywać. Praca wciągnęła go do tego stopnia, że został przy niej już do rana następnego dnia. Udało mu się rozszyfrować grupę depeze, w których powtarzało się słowo mające trzy takie same litery odpowiadające trzem literom „i” w słowie dywizja oraz fakt, że depeze podpisywane były raz szyfrem, a raz otwartym tekstem.

Rano doszło w sztabie do sensacji, gdy okazało się, że jest taki ktoś, kto potrafi czytać rosyjski szyfr. Natychmiast polecono mu by został dowódcą komórki deszyfracyjnej Sztabu Generalnego, więc (jeszcze wtedy porucznik) Kowalewski zajął się tym jak najlepiej potrafił. Założył sieć stacji nasłuchowych, zatrudnił znakomitych matematyków z Uniwersytetów Warszawskiego i Lwowskiego. To dało takie efekty, że już w



Major Jan Kowalewski

sierpniu 1919 udało mu się znaleźć klucz do szyfru Armii Czerwonej. Po tem, podczas wojny bolszewickiej, Polacy szybciej czytali dokumenty radzieckie niż bolszewicy dowódcy, do których były one wysyłane! Ale to nie był koniec sukcesu. Kowalewski złamał jeszcze dodatkowo szyfry Armii Denikina i „białej” Floty Czarnomorskiej, zaś w roku 1920 pod ręką Kowalewskiego pękły szyfry niemieckie! Tak naprawdę, to dzięki pracy porucznika Kowalewskiego Polska wygrała wojnę z bolszewikami. Józef Piłsudski wiedział dzięki temu o bolszewikach wszystko, a to pozwalało mu na jak najbardziej celowe wykorzystanie Wojska Polskiego. Za swe zasługi Jan Kowalewski otrzymał w roku 1921 awans na kapitana i Srebrny Krzyż Orderu Virtuti Militari.

Współpraca wywiadów Polski i Japonii

To właśnie w placówce Kowalewskiego tłumaczono depeze przysyłane z Japonii i Japończycy zaczęli



Major Jan Kowalewski

zabiegać o to, by kapitan Kowalewski przyjechał do Japonii. Chcieli, by uczył kryptologii japońskich oficerów wywiadu. Polacy wyrazili na to zgodę i w roku 1923 kapitan Kowalewski pojechał na trzy miesiące do Tokio, gdzie rozpoczął z wyznaczonymi oficerami bardzo intensywne szkolenie. Nauka dotyczyła różnych szyfrów radzieckich. Dyplomatycznych i wywiadowczych. Kursanci musieli nauczyć się szyfrować i rozszyfrowywać rosyjskie teksty. W tym celu

tych oficerom nawet jednej wolnej chwili. Żeby obciążać ich pracą w placówce, ale i zadawać im pracę do domu. Można powiedzieć, że Japończycy prosili Polaków o stworzenie delegowanym Japończykom na tym rocznym kursie, japońskiego stylu pracy. Sprawa szkolenia w Polsce japońskich oficerów miała się odbywać przy ciągłej współpracy wywiadów polskiego i japońskiego. Głównym obiektem starań obu wywiadów miał być Związek Radziecki. Po bardzo wyczerpujących trzech miesiącach, kapitan wracając do Polski został odznaczony najwyższym orderem Cesarstwa Japonii, Orderem Wschodzącego Słońca. W Polsce czekał już na niego awans na majora.

Współpraca wywiadów Polski i Japonii nie miała chyba swojego precedensu w historii świata! Trwała nieprzerwanie aż do roku 1945, nawet po oficjalnym zerwaniu stosunków dyplomatycznych i po sławnym wypowiedzeniu wojny Japonii 11 grudnia 1941. Nie miały na nią wpływu czasem kompletnie różne od siebie sojusznicze umowy międzynarodowe, jakie oba państwa podpisywały niezależnie od siebie. Nic nie znaczył fakt, że Japonia podpisała wraz Niemcami Pakt Antykominternowski, a Polska nie chciała tego Paktu podpisać. Współpraca wywiadów szła i tak w najlepsze, a szaf Referatu „Wschód” Oddziału II Sztabu Generalnego na odprawie służbowej wyraźnie podkreślał, że mimo tego obowiązuje nas współpraca z Japończykami nacechowana stuprocentową lojalnością! Podobnie było ze stroną japońską. Polacy mogli zawsze liczyć na stuprocentową lojalność Japończyków! Tak stało się po pamiętnym wrześniu 1939 roku. Kiedy zmasakrowana armia polska ewakuowała się do Rumunii, w Bukareszcie na oficerów polskiego wywiadu czekał już Masao Ueda, dotychczasowy attaché wojskowy ambasady japońskiej w Warszawie. Zapropował im dalszą współpracę na zasadach partnerstwa. Tym razem przeciwnikami współpracujących ze sobą wywiadów polskiego i japońskiego miały być Związek Radziecki i... Trzecia Rzesza Adolfa Hitlera. Jak mówił Ueda, Japonia poczuła się oszukana polityką Hitlera, który podpisał sojusz Ribbentrop – Molotow z największym wrogiem Japo-



Pułkownik Stanisław Gano – szef II Oddziału Sztabu Generalnego

ni, Związkiem Radzieckim. Od tego momentu Japonia zaczęła traktować Niemcy nieomal jak wroga.

Najstarszy stopniem polski oficer wywiadu pułkownik Stanisław Gano przekazał ofertę Japończyka generałowi Władysławowi Sikorskiemu i generał wyraził na to zgodę. Od tej chwili Polacy stali się cichymi współnikami Japonii. Nie wiem, czy gdziekolwiek na świecie znalazłoby się wtedy państwo bardziej przewrotne, niż Polska. Z jednej strony wesłiśmy do Sprzymierzonych, by z drugiej strony stać się sojuszniczym państwem Osi. A mówiono o nas, że Polacy to safanduly.

Tajny sojusz Polski z Japonią

Proszę Państwa! To nie są żarty! Takie sytuacje wcale nie zdarzają się na co dzień. Od momentu akceptacji tajnej umowy z Japończykami przez generała Sikorskiego, premiera polskiego rządu i naczelnego wodza Wojska Polskiego, to nasze dwa państwa, a nie dwie grupy znajomych oficerów połączyły się sojuszem. Tyle, że tajnym. Czy Państwo wiecie, że Japonia utrzymywała swoją ambasadę w Warszawie do dnia 4 PAŹDZIERNIKA 1941 ROKU!!! Dopiero wtedy ambasada Japonii w Warszawie zamknięto. Nie miało to nic wspólnego z wojną wypowiedzianą Japonii przez Polskę, bo ta została wypowiedziana dopiero w grudniu tego roku, a więc już po zamknięciu ambasady. Proszę sobie wyobrazić sytuację, kiedy to Polski oficjalnie nie ma, Warszawa od końca września 1939 roku jest pod okupacją niemiecką, a w tej okupowanej Warszawie dwa lata funkcjonuje ambasada Japonii w Polsce!! Ambasada Japonii w Polsce bez Polski!? Po co Japończycy utrzymywali taką ambasadę? Co przez dwa lata robiła ta ambasada? Tego chyba nigdy się nie dowiemy, ale nie wykluczone, że poprzez taką ambasadę widmo, rząd generała Sikorskiego mógł finansować działanie Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) i wszystkich innych struktur podziemnego państwa polskiego. Nam się mówi, że pieniądze przesyłane były przez tak zwanych cichociemnych, czyli polskich komandosów spadochroniarzy zrzuconych nocami z angielskich samolotów nad Polską. Czasami na pewno tak było,

Sprawa szkolenia w Polsce japońskich oficerów miała się odbywać przy ciągłej współpracy wywiadów polskiego i japońskiego. Głównym obiektem starań obu wywiadów miał być Związek Radziecki. Po bardzo wyczerpujących trzech miesiącach, kapitan Kowalewski został odznaczony najwyższym orderem Cesarstwa Japonii, Orderem Wschodzącego Słońca. W Polsce czekał już na niego awans na majora.

ale jakoś nie wierzę, że można było taką drogą finansować całą działalność podziemnego państwa. A to była podziemna armia, sądownictwo, szkolnictwo, administracja terenowa i tak dalej i tak dalej, a od czasów PPS, Polacy i Japończycy mieli już przetrainowane finansowanie tajnych organizacji na odległość. Równie długo jak swoją ambasadę w Polsce, Japończycy utrzymywali w Tokio ambasadę polską. Polski ambasador Tadeusz Romer usiłował poprzez japońskie MSZ interweniować w sprawie wysiedlenia obywateli polskich przez władze ZSRR na Syberię i do Kazachstanu. Na nic zdały się jego wysiłki popierane gorąco przez dyplomację japońską. Związek Radziecki był wtedy butny i nieprzejednany.

Przyjaźń polsko-japońska przełamuje przeszkody

Teraz już Państwo wiecie, dlaczego jedynie Polska nie chciała wypowiedzieć wojny Japonii, a gdy ją wreszcie wypowiedziała, odbyło się to dopiero po wielu silnych naciskach Wielkiej Brytanii. Nie ma na to żadnego potwierdzenia, ale może się jeszcze okazać, że tę wojnę Polska wypowiedziała Japonii dopiero po... konsultacjach polsko-japońskich! Taki przebieg wypadków bardzo uprawdopodobnia wypowiedź generała Tojo, który oświadczył, że Japonia nie przyjmuje polskiego wyzwania. Mógł to być sygnał dla Polaków, że pomimo wypowiedzenia tej nieszczęsnej wojny, dotychczasowe, tajne umowy między Polską a Japonią nie utraciły swej mocy i wszystko jest tak, jak przedtem. Jakoż pomiędzy naszymi państwami wszystko było jak przedtem. Tylko biedny generał Sikorski nasłuchiwał się od Polaków, dlaczegoż to Wielka Brytania aż tak nami dyryguje, że każe nam przyjaźnić się ze Związkiem Radzieckim, który zawsze był naszym wrogiem, który nas niszczył, zabijał i wywoził na Syberię, a każe nam wypowiadać wojnę jednemu na świecie państwu, które jest nam bezinteresownie przyjacielskie, od którego otrzymywaliśmy tylko pomoc i opiekę? Biedny generał Sikorski. Nie mógł na to odpowiedzieć. – Panowie! To przecież tylko tak, na niby!

Faktem jest, że pomimo wielu przeszkód, zdawałoby się wykluczających jakąkolwiek współpracę, przyjaźń polsko-japońska potrafiła przełamywać te przeszkody i oba nasze wywiady zaczęły pracować ze sobą ręką w rękę. Przede wszystkim Kempetai zaopatrywała polskich agentów w odpowiednie, legalne dokumenty i paszporty dyplomatyczne. Najczęściej państwa Mandżukuo kontrolowanego przez Japończyków. Jak wszystkie działania wywiadu, tak i te dotyczące współpracy polsko-japońskiej były tajne, więc i obecnie niewiele się można o nich dowiedzieć. Tak naprawdę wiemy trochę więcej tylko o dwóch takich przypadkach.

Zaczęło się tak. Major Michał Rybikowski dostał zadanie udania się przez Sztokholm na Litwę, by tam założyć siatkę wywiadowczą. W Sztokholmie, w ambasadzie japońskiej, a konkretnie w ataszacie wojskowym tej ambasady, major miał zapewnioną pomoc jej szefa, pułkownika Toshio Nishimura, od którego otrzymał dokumenty umożliwiające mu regularne podróże do krajów nadbałtyckich, dokąd też jeździł, przewożąc ze sobą materiały szpiegowskie, radiostacje i szyfry.

Jesienią 1939 roku wicekonsulem Japonii na Litwie z rezydencją

w Kownie, został Sugihara Chiune, który już w listopadzie tegoż roku nawiązał kontakt z oficerami polskiego wywiadu porucznikiem Leszkiem Daszkiewiczem i kapitanem Alfonsiem Jakubiancem. Major Rybikowski stał się zwierzchnikiem tej grupy z ramienia tak zwanej „dwójki”, czyli II Oddziału Sztabu Generalnego. Placówka kowieńska rozwijała się prężnie. Zajmowano się wywiadem skierowanym przeciwko Niemcom i Związkowi Radzieckiemu. Werbowano wciąż nowych informatorów. Gdy w czerwcu 1940 roku zajęli Litwę wojska radzieckie, major Rybikowski dzięki pomocy Japończyków zdążył uciec do Szwecji. Major, choć początkowo miał dostać się do Londynu, pozostał w Sztokholmie. Nowy attaché wojskowy ambasady



Konsul Sugihara



Kapitan Alfons Jakubianiec

Japonii pułkownik Makato Onodera zaproponował mu współpracę i zakamuflował go w japońskim ataszacie wojskowym jako swojego tłumacza. Major dzięki sztuczkom Onodery stał się obywatelem Finlandii o nazwisku Peter Iwanow.

Teraz polskie meldunki szpiegowskie z Kowna trafiały do Onodery, a od Onodery do Rybikowskiego szły informacje od wywiadu japońskiego, a przez niego od wywiadów fińskiego i węgierskiego. Onodera znał się z szefem Abwehry admirałem Canarisem i zwykle zabierał swojego tłumacza na rozmowy do Berlina, gdzie można się było „zakolegować” z ważnymi osobistościami III Rzeszy.

Tymczasem w Kownie Sugihara wspólnie z Jakubiancem i Daszkiewiczem zorganizowali masową akcję ratowania polskich Żydów, którym konsul Sugihara wystawiał japońskie wize wyjazdowe i 10 dniowe wize tranzytowe z możliwością przejazdu przez Japonię. Żydowskich uchodźców było wielu, więc wize wydawano dosłownie tysiącami. Po pięciu transportach koleją transsyberyjską, kiedy to pociągi zatłoczone były tylko polskimi Żydami, Rosjanie się wściekli i zaczęli nalegać na zamknięcie konsulatu w Kownie. Obu polskim oficerom zagroziła dekonspiracja i na prośbę majora Rybikowskiego, Maka-

to Onodera załatwił przerzucenie Jakubianca i Daszkiewicza do Berlina i zatrudnienie ich tam jako Litwinów w konsulacie państwa Mandżukuo.

Pewnego razu umówiono się w tym konsulacie na rodzaj narady roboczej. Ze Sztokholmu przyjechał major Rybikowski, a z Kowna przybył konsul Sugihara. Wiózł ze sobą dużą i ciężką paczkę, którą przekazał Rybikowskiemu, żeby ten zabrał ją ze sobą do Sztokholmu. W paczce znajdowały się dwa polskie sztandary wojskowe. Jeden z nich, to ocalały z Września sztandar 81 Pułku Strzelców Grodzieńskich, a drugi, to całkiem nowy, dopiero co uszyty, Sztandar Lotników Polskich, ufundowany przez społeczeństwo Wilna. Nowy sztandar miał już całkiem długą i burzliwą historię. Pochodzący z Wilna kaptan pilot Jan Hryniewicz, będąc z wojskiem we Francji, postanowił zwrócić się do swojej matki, też wilnianki, aby postarała się o wykonanie w Wilnie sztandaru dla polskich lotników. List do matki wraz z projektem sztandaru doszedł do Wilna w styczniu 1940. W Wilnie utworzył się komitet społeczny, który wziął sobie za cel urzeczywistnienie marzeń polskich lotników o polskim sztandarze. Oceniono, że koszt wykonania sztandaru wyniesie 3000 litów, co wtedy było sumą bardzo poważną. Zebranie jej nie zakończyło kłopotów, bo nigdzie wtedy nie można było kupić odpowiedniego adamaszku, jedwabiu, złotych nici i wszystkiego tego, czego nawet nie potrafię nazwać, a które trzeba było mieć, aby rozpocząć prace przy sztandarze. Pracujący w Komitecie książd Kucharski zwrócił się z tym problemem do arcybiskupa Jałbrzykowskiego, który z kolei za sprawą jemu tylko znanych sposobów, sprowadził wszystkie te materiały do Wilna. Zakupione zostały w... Berlinie! Sztandar uszyły i wyhaftowały wileńskie zakonnice, a do konsulatu w Kownie oba sztandary, bo i ten, przechowywany dotychczas sztandar 81 Pułku Strzelców Grodzieńskich, trafiły jakimiś tajemnymi drogami. Teraz sztandary przejął major Rybikowski, który ryzykując życiem, przewiózł je przez całe Niemcy do Sztokholmu. Stamtąd poszło już łatwo.

16 lipca 1941 roku w bazie lotnictwa bombowego RAF odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru i wręczenie go generałowi Sikorskiemu. Uroczystość zgromadziła wiele ważnych osobistości polskich i angielskich oraz delegacje wszystkich polskich dywizjonów lotniczych. W chwilę po poświęceniu, rozpoczęło się misterium wbijania gwoździ pamiątkowych w drzewce sztandaru. Pierwszy gwoździek miał wbić prezydent Raczewicz, zaś ostatni, kapitan Jan Hryniewicz, inicjator sprowadzenia

Biedny generał Sikorski nasłuchiwał się od Polaków, dlaczegoż to Wielka Brytania aż tak nami dyryguje, że każe nam przyjaźnić się ze Związkiem Radzieckim, który zawsze był naszym wrogiem.

sztandaru. Po wbiciu swojego gwoźdźka, kapitan miał oddać sztandar w ręce mistrza ceremonii pułkownika Kwiecińskiego, ale kapitan, chcąc zaznaczyć wileńskie pochodzenie sztandaru, przekazał go w ręce... generała Żeligowskiego! Nastąpiła konsternacja i niezłe zamieszanie, a kapitan dostał potem jeden dzień aresztu jako karę „za zuchwałość”.

Sugihara przeniesiony został na stanowisko konsula generalnego do Pragi. Zabrał ze sobą Daszkiewicza, mianując go swoim sekretarzem. Daszkiewicz tworzy nowe siatki szpiegowskie w czeskich i słowackich zakładach przemysłowych pracujących dla Niemiec. Jeździ po Czechach i Słowacji służbowym samochodem Sugihary na dyplomatycznych numerach. Ale nie tylko Polacy



Major Michał Rybikowski



Pułkownik Makato Onodera wśród wyższych oficerów niemieckich

korzystają na znajomości z Japończykami. Japończycy otrzymują od Polaków informacje ze Smoleńska, Rygi, Wiednia, z Uralu i z Moskwy. Więc rewanżują się wiadomościami o ruchach niemieckiego wojska, stanie niemieckiego przemysłu i zasobach surowców strategicznych...

Zemsta na rywalu

Tragedia nastąpiła 20 lipca 1941 roku, kiedy konsul Sugihara przeniesiony był już służbowo do Królewca, kiedy Daszkiewicz objeżdżał całe Prusy Wschodnie samochodem konsulatu, kiedy informację pchały się mu po prostu do ręki. I właśnie wtedy, 20 lipca przyszła do konsulatu w Królewcu pilna depecha od ambasady japońskiej w Berlinie. Informacja w niej zawarta zwałała z nóg. Kapitan Jakubianiec został właśnie aresztowany przez gestapo! Właściwie można się było tego spodziewać! Kapitan wykazał się absolutnym brakiem samokontroli i już od pewnego czasu miał romans z mężatką, pracownicą konsulatu Mandżukuo, w którym oboje pracowali. Mąż Martinciene Ono, bo tak nazywała się ta kobieta, postanowił się zemścić na rywalu i zadenuncjował go na gestapo.

Na próżno konsul Sugihara próbował pomóc kapitanowi. Pozostało

mu tylko zaopiekować się porucznikiem Daszkiewiczem, który mógł też zostać w każdej chwili aresztowany. Sugichara odesłał Daszkiewicza wraz ze wszystkimi akcesoriami szpiegowskimi aż do Stambułu! W całej tej drodze towarzyszył Daszkiewiczowi sekretarz konsulatu pan Satoo. Opiekował się on Daszkiewiczem tak długo, aż ten wsiadł na statek udający się do brytyjskiej wówczas Palestyny.

Kapitan Jakubianiec został przez Niemców zabity. Nawet nie bardzo wiadomo gdzie i jak się to stało. Mógł zginąć na gilotynie w berlińskim więzieniu Moabit, lub może został zabity w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen?

Proszę Państwa. Staralem się podać Państwu choćby tylko skrótowo i choćby tylko we fragmentach, ciekawą historię przyjacielskich stosunków Polski i Japonii. Przedstawienie całości tych stosunków, wymagałoby wydania przynajmniej jednej, grubej książki. Już dawno zauważyłem, że o tych wydarzeniach nikt z Polaków nie ma zielonego pojęcia, co jest oczywistym owocem radzieckiej edukacji, która miała nie tyle zapoznać Polaków z ich historią, ile z radziecką wersją historii przygotowaną w Moskwie na użytek Polaków. Gdy po roku 1945 wpadliśmy pod dominację radziecką, o przyjaźni polsko-japońskiej nie wolno było powiedzieć niczego nawet na

Z Bartoszyca na „Kołomyjkę”

Zespoły z ośmiu państw i delegacja z miasta partnerskiego Bartoszyce zjechały do miejscowości Koroliwka na Ziemi Kołomyjskiej na folklorystyczno-etnograficzny festiwal „Kołomyjka-2012”. Na święto został zaproszony i Kurier Galicyjski.



Wicestarosta Bartoszyca Zbigniew Nadolny w gronie artystek ludowych

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcia

Co roku festiwal odbywa się w innej miejscowości, a początki imprezy sięgają 1989 roku, gdy we wsi Kornycy odbyło się pierwsze takie spotkanie. W tym roku święto kultury huculskiej było poświęcone bohaterowi Ukrainy Wasylowi Tkaczukowi, który pochodzi właśnie z Koroliwki. Zaproszono tu ponad 80 zespołów i śpiewaków z całej Ukrainy, w sumie w festiwalu udział wzięło około 10 tys. osób.

Na stadionie od rana było bardzo ludno. Mienily się wszystkimi kolorami haftowane koszule, błyszczaly hafty koralikami, były tu na sprzedaż wyroby ze skóry, szkła, gobeliny, ozdoby z koralików i obrazy. Poczęstunek był na każdym stoisku: trudno było zliczyć potrawy

a nawet o wydarzeniach w świecie i państwie.

Koło straganów – królewska bryczka, ale nie żadna tam złociona kareta zaprzężona w szóstkę koni, a zwyczajna bryczka na kołach od motocykla. A królewska – bo z miejscowości Koroliwka. Młody gazda, Mychajło Berczak, który zmajstrował swój pojazd w ciągu kilku dni, zaprasza na przejażdżkę. Mówi, że planował i kreślił plany przez miesiąc. Teraz jest to atrakcja dla turystów, których wsi i w Kołomyi nie brakuje. Dlatego pan Mychajło i dwa dorodne koniki Marta i Kasztan będą mieli pracę. Obok bryczki swe skoczne melodie wycinają muzycy. A obok, na trawniku, już tańczą ludzie, śmieją się i żartują: „Zawitajcie do naszej chaty i częstujcie się czym chata bogata. Jeszcze do domu

nas – Ukraińców z Kanady, jest to bardzo ważne”.

Wśród gości jest widoczna delegacja z Bartoszyca z województwa warmińsko-mazurskiego. W Kołomyi i na Huculszczyźnie są uważani „za swoich”. „Zhuculiliśmy się, – ze śmiechem mówi Zbigniew Nadolny, wicestarosta Bartoszyca. – Już od pięciu lat współpracujemy z Kołomyją i rejonem. Mamy podpisaną umowę o współpracy w dziedzinie oświaty, kultury i sportu. Zespoły z Kołomyi przyjeżdżają do nas na festiwal „Ekołomyja”, który odbywa się w miejscowości Górowo Łlawieckie. Na naszych terenach zamieszkuje wiele narodowości: Litwini, Tatarzy, Niemcy, a 15% mieszkańców powiatu – to Ukraińcy. Przesiedleni z terenów południowej Polski Łemkowie, mieszkający obecnie w Otyunii, gościnnie zapraszają gości z Polski do siebie. Mówią, że radzi są „gościom rodzinę”.



Autorka swym śpiewem wspomaga muzykantów

– kilka rodzajów pierogów, mamalyga (kasza kukurydziana) i pszenna z mięsem, ziemniaki ze skwarkami, domowe wypieki i różne gatunki nalewek i samogonu. Przy każdej potrawie kołomyjki, tańce i żarty. Ludzie powiadają, że kołomyjek znają tysiące. Każda przysłówka ma swoją melodię, która przekazuje się z dziada-pradziada. Kołomyjki są na każdą okazję: do jakiegoś wydarzenia, święta, o rodzinie, o znajomych,

smakolki dostaniecie.” – zapraszają uśmiechnięte gospodynie. A goście z Kanady, Niemiec, Rosji, Rumunii, Białorusi i Mołdawii są zachwyceni. „Już od wielu lat tak barwnych świąt, w ludowych strojach, z ludowymi potrawami w wielu państwach nie organizuje się, – mówi Roman Konowalec z zespołu „Wiatr” z Kanady. – Tu nie tylko dobrze odpoczywamy, ale nauczymy się nowych piosenek i tańców. Dla

Hulanki trwały do późnej nocy. „Tego rodzaju imprezy prezentują Ukrainę światu. Cieszę się, że goście zza granicy są zadziwieni huculską kulturą, szczerością, gościnnością i ciepłym przyjęciem, – mówi wiceprzewodniczący wojewódzkiej administracji państwowej z Lwano-Frankowska Roman Iwanicki. – Z radością oczekujemy wszystkich na kolejnym festiwalu. Przyjeżdżajcie i rodziny ze sobą przywoźcie, i przyjaciół!”.

LvivKlezFest 2012

Nasi lwowscy Żydzi potrafią się bawić nawet w deszczu. W tym roku organizatorom, czwartego już z kolei, Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Żydowskiej LvivKlezFest pogoda nie sprzyjała.



Dobrej zabawie nie przeszkodził nawet ulewny deszcz

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

Festiwal odbył się w niedzielę, 22 lipca. Mimo ciągłych opadów deszczu impreza zebrała rzesze uczestników: rodowitych lwowian i turystów. Jedyne co się nie udało – to to, że skrzypki nie zdążyły wyleźć na śliski dach jednej z kamienic na Rynku, jak to było wcześniej zaplanowane. Prowadził za to na podium koło fontanny Diany przedstawienie Żywych

plac pomiędzy ruinami synagogi Złota Róża i Arsenalem Miejskim. Gdyśmy tam podeszli, grał właśnie polski zespół klezmerski. Młodzi muzycy bez problemu nawiązali kontakt ze lwowską publicznością. Zwracali się do zebranych po polsku, odpowiedzi padały po polsku i ukraińsku.

Karnawał żydowski trwał do późnego wieczora. Brzmiała muzyka klezmerska, można było nabyć książki w języku hebrajskim i w jidysz, jak również spróbować smacznych dań



Żydowska kapela podwórkowa

Żydowskich Lalek. Nie zabrakło tam też wesołego kozaka i innych tańców, w tym polskich.

Tymczasem z bocznych uliczek Rynku przybywało co raz więcej żydowskich zespołów muzycznych ze wschodu Ukrainy, Izraela, Austrii, Szwecji, Mołdawii i innych krajów. Z okolic lwowskiego ratusza wesoła kawalkada przemieściła się do przedwojennej dzielnicy żydowskiej, na

kuchni żydowskiej i zapoznać się z rzemiosłem tego narodu, który mieszka wśród nas już ponad tysiąc lat.

Karnawał został zorganizowany przez Żydowską Fundację Dobroczynną „Hesed Arie” we Lwowie.

W czasie koncertu galowego uczczono pamięć zmarłego w tym dniu wybitnego aktora ukraińskiego Bohdana Stupki.

Życzenia dla księdza Michała Bajcara

Czcigodny księżu Michale!
Zostałeś z ludu wzięty i do ludu jesteś posłany.
Z okazji Twego Jubileuszu
niech Cię wspiera Maryja – Matka wszystkich kapłanów
i twój patron – św. Michał.
Niech Twoja praca przynosi obfite owoce i jednoczy ludzi
w jedną Chrystusową owczarnię.
Życzymy również pogody ducha i wiele radości każdego
dnia, oby uśmiech często gościł na twojej twarzy.

Do życzeń dołączamy naszą modlitwę
Szczęść Boże!

Wspólnota Nieustającego Różańca

List do redakcji

Akademia „Fantasy”

Lato w pełni. Wszystkie dzieci marzą o ciekawym spędzeniu kolejnego lata. Wiele z nich ma swoje pomysły, ale większości trzeba solidnie w tym pomóc.

Dla grupy dzieci z Mościsk w tym roku piękny pobyt zorganizowała Fundacja Ekologiczna – Wychowanie i Sztuka „Elementarz” z Katowic na bazie placówki w Łutowcu, z gminy Niegowa. Do dwutygodniowego wypoczynku i ciekawych zajęć przyczynili się: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, oddział Katowice i Górnośląskie Stowarzyszenie Wspólnota Polska. Duszą całej kolonii była p. Malwina Maślankiewicz, a pomagały jej p. Olga i wolontariusze: panowie Wadim, Kuba, Paweł i Dawid.

Na szczęście pogoda dopisała. Dalo to możliwość zwiedzenia okolic – zarówno na pieszych wędrownkach do zamków w Mirowie i Bobolicach, bo to przecież Jura Krakowsko-Częstochowska, jak i przez udział w różnych ciekawych zajęciach. Najpierw była prezentacja o heraldyce, a potem wybieranie heroldów dla dwóch drużyn, rysowanie własnych herbów i omawianie okrzyków i zawołań drużyn.

Dzieci brały też udział w grach terenowych. Do tego wzmoczone przygotowania do każdej gry, pasowanie na rycerzy do obrony przed ciemnymi mocami, poszukiwanie dowodów męstwa, sprawności fizycznej, zbieranie artefaktów i dobrej zabawy. Ciekawym był spacer do Mirowa do jaskini „Stajnia”, gdzie był usytuowany tajemniczy Bank Gringotta. Tam wszystkie dzieci w „tajemniczych” warunkach zdobywały magiczną walutę (knuty, galeony i sykle). Za nie, po kilku dniach, w „bocznej uliczce” można było dokonać magicznych zakupów zupełnie realnych rzeczy. Były jeszcze inne gry terenowe.

Ciekawe były zajęcia w „Szkoła magii – trwania”. Były też lekcje wspinaczki skałkowej pod nadzorem



prawdziwego alpinisty i praktyczna wspinaczka na skałkę. Była nauka maskowania się i nauka o roślinach, owocach, ziołach i ich zastosowaniu w ziołolecznictwie. Z tego był quiz, wylaniający najlepszego medyka w każdej drużynie.

Wyprawa na Bukową Górę dała możliwość zobaczyć naturalne kamienie – kalcyty i inne. Ciekawą była wycieczka do jaskini, w której były prowadzone prace archeologiczne. Dzieci zobaczyły badania nad wykopalskami i materiałem archeologicznym. Nie zabrakło wesołych wieczorów przy ognisku, a przy tym pieczenie kielbasek, śpiewy i gry. W jednym z wieczorów odbył się konkurs „Mam talent”.

Bardzo dużo czasu dzieci spędziły na świeżym powietrzu, opalały

się, brały udział w bitwie drużyn na magiczne miecze, bitwie na wodę. Jeden słoneczny dzień dzieci spędziły na kąpielisku w Siamoszytach. Ciekawym był pobyt na ogromnym terenie piaskowni.

Taki pobyt bardzo zbliżył wszystkie dzieci. Poznawały siebie nawzajem, opowiadały o swojej szkole, miejscowości, gdzie mieszkają, wykazywały prawdziwe emocje i elementy dobrego zachowania. Kolonie wszystkim się podobały i oj, jak ciężko było się rozstawać.

W ich imieniu serdecznie „Bóg zapłać Wam za wszystko. Dziękujemy! Wykonana została wielka sprawa”.

WŁODZIMIERZ BARAN
nauczyciel Szkoły Średniej nr 3 z polskim językiem nauczania w Mościskach

List do redakcji

„Więc rośniemy na Polaków z pod białego orła znaku!”



Oksana Wengliuk i Walery Istoszyn

Oksana Wengliuk jest studentką Uniwersytetu Medycznego w Winnicy, pochodzi z rodziny katolickiej, którą znamy od lat. W gronie młodzieży naszego Stowarzyszenia jest stypendystką Fundacji „Semper Polonia”. Szkoda, że w tym roku nie spełniło się jej marzenie o staż w szpitalu w Polsce i medyczny kurs językowy. Jest aktywnym członkiem studenckiego kółka miłośników języka polskiego, które od czterech lat działa przy bibliotece Uniwersytetu. W grudniu 2011 brała udział, jako recytatorka, w koncercie literackim, poświęconym polskim poetom z Podola, honorowym gościem którego był konsul generalny RP w Winnicy

do ważną rolę w budowaniu polskiej tożsamości za granicą odgrywają właśnie dziadkowie. Rodzina jest symbolem i pierwszym wyznacznikiem polskości dla dzieci urodzonych poza krajem. Historie opowiedziane przez dzieci kończą się najczęściej stwierdzeniem „Chcę być taki, jak moi dziadkowie”.

W drugiej grupie wiekowej 13–15-latkowie zastanawiali się, jakie skarby kultury polskiej zabiorą w swoje dorosłe życie.

W grupie młodzieży szkolnej 16–19-latkowie sprawdzali, jak postrzegana jest Polska przez ich przyjaciół z kraju zamieszkania. Z wiekiem wrasta świadomość i Polska przestaje



Przemawia konsul generalny RP w Winnicy Krzysztof Świderek

Krzysztof Świderek. Konkurs odbywał się na Winnickim Uniwersytecie Medycznym.

„Być Polakiem” – to konkurs łączący młodych Polaków na całym świecie. Trzy lata temu Fundacja „Świat na Tak” z inicjatywy poseła Joanny Fabisiak po raz pierwszy zadała pytanie młodym Polakom za granicą: *Co to znaczy być Polakiem?* Współorganizatorami konkursu „Być Polakiem” są Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, ORPEG, Europejska Unia Wspólnot Polonijnych, MSZ RP.

W tym roku, w stosunku do pierwszej edycji konkursu, zgłosiło się pięć razy więcej uczestników. Na konkurs wpłynęło 560 prac z 30 krajów świata, z czego najwięcej, bo aż 79 z USA. Z Afryki (z Tunezji) przysłano wiele ciekawych prac, z Azji (z Kazachstanu, z Uzbekistanu) z dalekiej Islandii i Chile. Zwiększająca się liczba chętnych do wzięcia udziału w konkursie oznacza, że wzrasta poczucie polskości wśród młodzieży polonijnej za granicą.

Pierwsza grupa, w wieku od 8 do 12 lat, opowiadała rodzinne historie o tym, jak dziadek poznał babcię. Z nadesłanych prac było widać, jak bar-

być „sielskim krajem lat dziecińczych”. Młodzi Polacy za granicą zachowują perspektywę krytyczną, typową dla swojego wieku i czują przywiązanie do kraju urodzenia swoich rodziców, a młodzież niepolaska lubi Polskę, dzięki swoim polskim kolegom.

W ramach swej kategorii konkursu, studenci rozważali, co dla nich znaczy pojęcie honoru wczoraj i dziś. W dzisiejszych czasach honor stał się „niemodnym” tematem, honor jest w nas, może w nieco zmienionej postaci. I choć warunki się zmieniają: on był „wczoraj” i jest nadal „dzisiaj”.

Dziękujemy pani konsul Edycie Niedźwiedzkiej z konsulatu RP w Winnicy za przesłane zaproszenie do udziału w tym konkursie.

Winnickie Obwodowe Stowarzyszenie „Świetlica Polska” składa serdeczne gratulacje Oksanie Wengliuk, za wyróżnienie w trzeciej edycji konkursu.

dr WALERY ISTOSZYN
prezes stowarzyszenia
„Świetlica Polska”
w Winnicy



Wspólne zdjęcie gospodarzy i gości

14 Pułk Ułanów Jazłowieckich

Pułkiem, który miał najdłuższy nieprzerwany okres służby w II Rzeczypospolitej był 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich – Kawaler Orderu Virtuti Militari. Jego stałym garnizonem był Lwów – jedyne polskie miasto przed wojną 1939 roku odznaczone tym samym orderem. To też zobowiązywało i jazłowieccy ułani w kampanii wrześniowej nie zawiedli. Ponieważ nie można dwukrotnie odznaczać pułku krzyżem Virtuti Militari, 14 Pułk Ułanów otrzymał prawo umieszczenia na wstęgach państwowych przy sztandarze napisu haftowanego złotymi nićmi: „Wyróżniony za niezwykle męstwo w kampanii 1939 roku w Polsce”.

„Hej dziewczęta w górę kiecki,
jedzie ułan jazłowiecki”

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Powstanie pułku i walki na obczyźnie

Założeniem pułku był utworzony w lutym 1918 roku, w moldawskiej miejscowości Ungheni szwadron polski, skupiający Polaków służących wcześniej w armii rosyjskiej. Po nieudanej próbie dołączenia do II Korpusu Polskiego, w obliczu groźby rozbrojenia przez Niemców, szwadron dołączył do 2. pułku konnego rosyjskiej Armii Ochotniczej, zachowując jednak polskie oznaki i komendę. Wraz z „białymi” oddziałami szwadron przeszedł na Kuban w południowej Rosji i brał udział w walkach z bolszewikami m.in. pod Tarhową, Wielikokniażeską, Jekaterynodarem, Bieloglińką i Tichorieką. W połowie sierpnia 1918 r. szwadron mocą umowy pomiędzy dowódcą rosyjskiej Armii Ochotniczej i generałem Lucjanem Żeligowskim podporządkowany został tworzącym się na Kubaniu oddziałom polskim. Wkrótce szwadron zreorganizowano jako dwuszwadronowy dywizjon, którego dowódcą został we wrześniu mjr Konstanty Plisowski. W październiku 1918 r. został zorganizowany trzeci szwadron (oficerski), a oddział oficjalnie przyjął nazwę Dywizjon Jazdy przy 4 Dywizji Strzelców Polskich. W drugiej połowie stycznia 1919 roku dywizjon przewieziony został drogą morską do Odessy na Ukrainie. Tam przyjął licznych ochotników i został rozwinięty w Pułk Ułanów 1 Dywizji Jazdy pod dowództwem majora Plisowskiego. Oddział liczył 98 oficerów oraz 530 podoficerów i ułanów w czterech szwadronach liniowych, szwadronie karabinów maszynowych i plutonie łączności. 1 szwadron pułku walczył u boku wojsk francuskich, greckich i „białych” rosyjskich z bolszewikami w okolicach Odessy i pod Tyraspołem. W kwietniu, gdy siły koalicyjne opuściły Odessę, odcho-



14 Pułk Ułanów Jazłowieckich – poczet sztandarowy

dząc do Besarabii w Rumunii, Polacy osłaniali odwrót sojuszników, a pułk ułanów przekroczył graniczny Dniestr jako ostatni. Po dwumiesięcznym pobycie w Besarabii 15 czerwca 1919 roku niedaleko Śniatynia pułk ułanów przekroczył granicę rumuńską i przybył do Polski.

Walki w Polsce

Z końcem czerwca pułk rozpoczął działania zbrojne w Małopolsce Wschodniej przeciwko oddziałom ukraińskim. Ułani walczyli nad Złotą Lipą, pod Sokolowem i nad Strypą. W dniach 11 do 13 lipca 1919 r. pułk w ciężkim boju pod Jazłowcem odparł atakujące oddziały ukraińskie (łącznie w sile dwóch i pół brygady) i nie dopuścił ich do klasztoru sióstr Niepokalanek w Jazłowcu. Po tym wydarzeniu NMP Jazłowiecka została patronką pułku, który przyjął nazwę „Jazłowiecki”, a Święto pułku od 1926 roku obchodzone 11 lipca. W dowód wdzięczności za uratowanie przed Ukraińcami, wychowanki sióstr Niepokalanek z Jazłowca ufundowały pułkowi sztandar. Po wyparciu wojsk ukraińskich za Zbrucz pułk przeszedł

na Wołyń, by walczyć z bolszewikami. Numer „14” otrzymał w sierpniu 1919 r. wraz z oficjalnym zatwierdzeniem nazwy. Brał udział w kampanii 1920 r., w ramach której uczestniczył w zagonie na Koziatyn, wyprawie kijowskiej oraz bitwie pod Komarowem. Pułk stracił ogółem (polegli, zmarli od ran i chorób) 11 oficerów i ponad 100 podoficerów i ułanów. Rany odniosło 31 oficerów, 273 podoficerów i ułanów. Za odwagę i poświęcenie w walce, żołnierze pułku zostali nagrodzeni Krzyżami Virtuti Militari i Krzyżami Walecznych.

W kampanii obronnej 1939 roku

W 1939 roku pułk w ramach macierzystej Podolskiej Brygady Kawalerii, walczył początkowo w składzie Armii Łódź, a następnie Armii Poznań.

19 września 1939 r. w okolicach Dąbrowy Leśnej 14 Pułk przeprowadził szarżę, znaną jako Szarża pod Wólką Węglową, w wyniku czego część Armii Poznań po bitwie nad Bzurą weszła do Warszawy i znacząco wzmocniła szeregi obrońców stolicy. Dowódca 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich płk dypl. Edward Godlewski podjął decyzję o skróceniu

nów i 100 rannych, tj. łącznie ok. 20% stanu, w wyniku poważnych ran zmarł także por. M. Walicki), natarcie powiodło się; oba pułki przebiły się do Warszawy.

Szwadron marszowy pułku od 12 września podporządkowany był 10 Brygadzie Kawalerii i w jej składzie walczył pod Lwowem. 24 września jeden ze szwadronów pułku przeprowadził szarżę na pozycje jednostek Armii Czerwonej w czasie bitwy pod Husynnem.

W następnych dniach polski oddział skierował się na południe, lecz niespodziewanie drogę zastąpiła mu piechota sowiecka. Dowódca zdecydował się przełamać sowiecki kordon szturmem. Początkowo (prowadzona przez policjantów) szarża około 400 polskich kawalerzystów oraz ostrzał z 36 moździerzy 81 mm, będących na uzbrojeniu batalionu chemiczne-



Haradova Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-W-1406

Korpus oficerski 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich we Lwowie

na Wołyń, by walczyć z bolszewikami. Numer „14” otrzymał w sierpniu 1919 r. wraz z oficjalnym zatwierdzeniem nazwy. Brał udział w kampanii 1920 r., w ramach której uczestniczył w zagonie na Koziatyn, wyprawie kijowskiej oraz bitwie pod Komarowem. Pułk stracił ogółem (polegli, zmarli od ran i chorób) 11 oficerów i ponad 100 podoficerów i ułanów. Rany odniosło 31 oficerów, 273 podoficerów i ułanów. Za odwagę i poświęcenie w walce, żołnierze pułku zostali nagrodzeni Krzyżami Virtuti Militari i Krzyżami Walecznych.

Pułk w okresie pokoju

W okresie pokoju pułk stacjonował we Lwowie, w koszarach przy ul. Łyczakowskiej 76. Za walki w la-

drogi do Warszawy. Razem z nim tę trasę obrała także mała część 9 Pułku Ułanów Małopolskich. Niespodziewanie oba pułki natknęły się w Dąbrowie Leśnej koło Wólki Węglowej na Niemców, lecz płk E. Godlewski nie zmienił decyzji, tylko dał znak do szarży. Ułanów do brawurowego ataku poprowadził dowódca 3. szwadronu 14 Pułk, por. Michał Walicki. Dzięki zaskoczeniu Niemców podczas odpoczynku i odwadze polskich żołnierzy pozycje wroga zostały przełamane. Niestety nie rozpoznano, że w Mościskach, na skraju wsi, ustawione jest gniazdo niemieckich karabinów maszynowych i stoją czołgi, które zasypały szarżujących seriami pocisków. Pomimo jednak ciężkich strat (ok. 105 zabitych uła-

go, towarzyszącego tym oddziałom, spowodował panikę i duże straty w szeregach piechoty nieprzyjaciela.

Sytuację na niekorzyść Polaków odmieniło użycie przez Sowietów ukrytej za wzgórzami formacji pancernernej, w efekcie czego oddział polski został okrążony i – po krwawej walce – zmuszony do poddania się.

Według relacji kaprała podchorążego Włodzimierza Rzeczyckiego z 14. pułku ułanów po bitwie Sowiet zamordowali 25 polskich jeńców.

Po kampanii wrześniowej 14 pułk ułanów został odtworzony w kwietniu 1940 roku we Francji jako III batalion im. Ułanów Jazłowieckich w składzie 10 Brygady Kawalerii Pancernernej.

Nagle bohaterski zespół kawalerzystów w sile około paruset koni wyłonił się w galopie z zarośli. Nacierali oni, mając w środku rozwinięty sztandar... Wszystkie niemieckie karabiny maszynowe umilkły, a tylko działa strzelały. Ich ogień stworzył zaporę ogniową na przestrzeni 300 metrów przed liniami niemieckimi. Polscy kawalerzyści nacierali całym pędem, jak na średniowiecznych obrazach! Na czele wszystkich galopował dowódca z podniesioną szablą. Widać było, jak malała odległość pomiędzy grupą polskich kawalerzystów, a ścianą niemieckiego ognia. Szaleństwem było kontynuować tę szarżę na spotkanie śmierci. A jednak Polacy przeszli.

Włoski korespondent wojenny Mario Appellius

List do redakcji

O Janowie na Podolu raz jeszcze

Bardzo ciekawy temat podjęty został przez Jerzego Wójcickiego w artykule „Janów na Podolu – zachwyty i smutek”, zamieszczonym w poprzednim numerze Kuriera Galicyjskiego i na portalu wizyt.net. Temat wywołany został przez gości z Polski, bo miejscowi mieszkańcy (a o nich później) chyba pewnych rzeczy nie widzą i nie rozumieją lub tylko udają ślepych

O Janowie na Podolu nie ma zbyt wielu informacji w internecie – pisze autor i jest to zgodne z prawdą. Nie oznacza to jednak, że ta miejscowość to zaginiony ląd.

Po prostu w czasach PRL-u nie można było pokazywać, że gdzieś tam, na Kresach, były polskie dwory (choć i pod zaborem rosyjskim) i dobrzy gospodarze (jak często teraz słyszymy narzekania na brak dobrego gospodarza).

Janów na Podolu to nie tylko przepiękny kościół, ale i wspaniały pałac hrabiów Cholaniewskich, położony obok wspomnianego kościoła, ze swą cudowną historią. Pałac ten uwieczniony został na rysunkach Napoleona Ordy.

W tym roku ukazał się dobry przewodnik po polskich dworach na Ukrainie Dmytra Antoniuka. Jedyną wadą tego przewodnika jest to, że nie przywiązuje miejscowości (pałace i dwory) do postaci wybitnych Polaków tam mieszkających. Janów na Podolu to nie tylko rodzinne gniazdo hr. Cholaniewskich i stacja kolejowa o tej samej nazwie, zbudowana przez właścicieli. To miejsce urodzenia Stefana Witwickiego – poety z grona wieszczów takich jak Słowacki czy Mickiewicz.

Dwa lata temu stowarzyszenie „Świetlica Polska” zwiedzało tę miejscowość, ale poprzedziły wyjazd długie poszukiwania materiałów o Stefanie Witwickim, artykuł w czasopiśmie „Nasze drogi” i koncert złożony z utworów poety, który odbył się w listopadzie – akurat przed świętem Niepodległości, w bibliotece im. Timiriaziowa w Winnicy. Po recytacji wierszy poety, wyśpiewanych „Hulanki” i jego romansów wszyscy, wraz konsulem Damianem Ciarcińskim, zaśpiewali „Pije Kuba do Jakuba”, znaną przyspiewkę, która też wyszła spod pióra Witwickiego. Kto o tym wie?

Kościół w Janowie pochodzi z 1780 roku. Przeżył powstania, wojny i rewolucję, która zostawiła mu gwiazdę na fasadzie. Ludzie mówią, że jej dzisiejsza obecność na murze świątyni leży na sumieniu księży, bo powinni usunąć ją zwykłym młotkiem. W czasie I wojny z pałacu wywieziono bibliotekę hr. Cholaniewskich – około 10000 tomów. Ślad po nich zaginął w Żmerynce. Ale nie ma kogo zapytać, bo na cały rejon Kalinowski, po 20 latach niepodległości, nie ma do dziś stałego proboszcza. Oficjalnie są cztery parafie – w Kalinówce (powstała we wrześniu 1991r.); we wsi Janów i Pykiw (powstały cztery miesiące później) i we wsi Lemesziwka (zarejestrowana od 1994 roku). Nie ma księdza, nie ma siostr zakonnych – i nie ma komu głosić Ewangelii!



Janów – miejsce urodzenie Stefana Witwickiego, litografia Napoleona Ordy

Janów – miejsce urodzenie Stefana Witwickiego, litografia Napoleona Ordy

Autor pisze:

Ale niestety Polaków już bardzo mało pozostało, około 10 chorych babć. Młodzież chociaż nosi polskie nazwiska, ale preferuje nabożeństwa w prawosławnej cerkwi, w której „rządzi” batuszka z Zakarpacia. Cerkiew jest bardzo bogata. Gdy przyjeżdżał ksiądz z Chmielnika na poświęcenie pokarmu wielkanocnego, nikt nie przyszedł. Tylko po Wielkanocy na groby rodziny zjechało się około 200 osób. Ale to tylko na jeden dzień... – gorzko kontynuuje przewodnik.

I co mają robić prości ludzie o tych polskich nazwiskach, o których wspomina autor artykułu? Zostało ich 12 – starych, samotnych, którzy jednak w takich warunkach nie opuściły kościoła.

Gdyby na miejscu (choćby w Kalinówce) był dobry ksiądz i siostry zakonne i mieli możliwość dojazdu w okolice (ze Żmerynki dojeżdżają do odległych miejscowości) i była by stała nauka dla dzieci i młodzieży – to ilu by mogło być wiernych w tej parafii po 20. latach niepodległej Ukrainy? Także ktoś powinien sprzątnąć w kościele, bo taki bałagan w domu Bożym nie powinien być! To nie stajnia i nie gołębnik!

Do Kalinówki dojeżdża w niedzielę ksiądz z Winnicy. Do Janowa dojeżdżają z Chmielnika (jak mówili miejscowi – jeżeli znajdą paliwo do samochodu, to może być raz w miesiącu albo raz na trzy – jak to już było w 2010 r.).

Autor pisze dalej:

Może Janów w następnych latach doczeka się chętnych do pomocy przy odnowieniu świątyni?

Niewątpliwie, takie miejscowości jak Janów, potrzebują pomocy ludzi prostych, bo im zawsze zależy na pomocy bliźnim i biednym. Rok

temu po raz pierwszy przeżyliśmy w Winnicy cudowną noc otwartych drzwi kościoła. Może w tym roku warto byłoby zrobić to w Janowie? Byłaby to okazja nie tylko wysprzątać wnętrze, na uroczystą Mszę świętą, ale i na tak rzadko słyszany śpiew w tych kościelnych murach (o czym i napisał poeta w jednym ze swych wierszy „Tułaczka”) i na wiersze zapomnianego wielkiego poety Stefana Witwickiego – przyjaciela Fryderyka Chopina.

A na tę uroczystość z pewnością przyjechaliby nie tylko Polacy ze stowarzyszeń w Winnicy („Kresowiaczy”, „Świetlica Polska”, ze szkoły niedzielnej pana Jana Glinczewskiego), ale i z Chmielnika (działają trzy stowarzyszenia) i z pobliskiej Kalinówki (mają dwa stowarzyszenia).

dr WALERY ISTOSZYN
prezes Stowarzyszenia
„Świetlica Polska”
w Winnicy

PS. OD REDAKCJI

Autor pisze: „Kościół w Janowie przeżył powstania, wojny i rewolucję, która zostawiła mu gwiazdę na fasadzie. Ludzie mówią, że jej dzisiejsza obecność na murze świątyni leży na sumieniu księży, bo powinni usunąć ją zwykłym młotkiem”.

A może do sprawy tej bolszewickiej gwiazdy na fasadzie kościoła podejść zupełnie inaczej i... zostawić ją, jako świadectwo historii. Przodkowie nasi, po odzyskaniu Kamieńca Podolskiego z rąk Turków, pozostawili do budowy do katedry meczet, dekorując go wizerunkiem Matki Boskiej... To samo można by uczynić z gwiazdą...

Redakcja KG chętnie włączy się w sprawę.

„Zielony korytarz” – same plusy

2 lipca w siedzibie Lwowskiego Oddziału Celnego odbyła się wspólna narada z dyrektorem Izby Celnej w Przemyślu Piotrem Danielem. Omawiano wyniki wspólnej kontroli celnej uczestników i kibiców EURO 2012.



IGOR GAŁUSZCZAK

Obaj kierownicy doszli do wspólnego wniosku, że dzięki takiej organizacji funkcjonowania przejść granicznych w okresie rozgrywek, dzięki organizacji i wysokiemu poziomowi zawodowemu celników udało się zapewnić kibicom komfortowe warunki przekraczania granicy. Nie odnotowano żadnych sytuacji nadzwyczajnych, a co jest najważniejsze, kibice byli zadowoleni z takiego rozwiązania.

Strony podkreśliły też ważność i aktualność kontynuacji wspólnych projektów, które są już w toku. Taką sprawą jest, na przykład, wprowadze-

nie „zielonego korytarza” w punkcie granicznym Krakowiec – Korczowa, wymiana informacji o sytuacjach nadzwyczajnych na granicy i inne informacje. Omawiano też przygotowania do wprowadzenia eksperymentalnego przekraczania granicy przez puste ciężarówki, tzn. „fast-way”.

Kierownicy Lwowskiej Służby Celnej i Izby Celnej z Przemyśla mają nadzieję, że owocna współpraca obu służb nie zakończy się, a doświadczenia z EURO będą stymulowały do powstawania nowych projektów, które będą sprzyjały upraszczaniu procedur przekraczania granicy i zwiększały komfort podróży.

Promocja turystyczna Ukrainy w Polsce

UKRAINA JEST CUDOWNA...

Tymi słowami jedno z polskich biur turystycznych zachęca do „podróży marzeń” po krajach wschodniej Europy. I dalej kontynuuje: jest to kraj pełen niespodzianek, który nie może się znużyć, a jego niepowtarzalna atmosfera nikogo nie pozostawia obojętnym.

MIKOŁAJ ONISZCZUK

Różnorodność przyrody, miast i otoczenia gwarantują nie tylko zróżnicowany i zbalansowany odpoczynek, a zarazem i głębię doświadczeń, co sprawia, że podróż na Ukrainę dostarcza naprawdę niezapomnianych wrażeń. Od szerokich stepów, wysokich gór, pięknych wybrzeży czy malowniczych galicyjskich gospodarstw, po dynamicznie rozwijające się miasta. Ukraina nie przestaje oczarowywać podróżnych swoim urokiem i pięknem... Nic dodać, nic ująć, tylko podpisać się obiema rękami, co pod tym tekstem z satysfakcją czynię.

Co więcej – w majowym numerze miesięcznika „TTG Polska” (czyli Travel Trade Gazette) – jej wydawca Marek Traczyk, w artykule „Nieutopijne marzenie” dokonał szerszej oceny tych walorów w kontekście korzyści dla całej ukraińskiej gospodarki i społeczności. W oparciu o doświadczenia wielu krajów stwierdza zasadnie i jednoznacznie, że turystyka staje się coraz bardziej znaczącą dziedziną dla rozwoju gospodarczego, tak w skali makro, jak i w układzie regionalnym i lokalnym. W przypadku Ukrainy – z całą pewnością. Nie ulega wątpliwości także, że szersze włączenie Ukrainy do europejskiego przepływu ruchu turystycznego może stworzyć jakościowo nową i korzystną sytuację, stając się jednym z czynników przyspieszających jej integrację z unijną Europą. Tury-

styka w stosunkowo krótkim okresie czasu może stać się nie tylko jedną z podópór rozwoju gospodarczego, ale również istotnym źródłem dochodów państwa. Oczywiście nie stanie się to z dnia na dzień, ale jest to biznes intratny, bo jak pokazują to światowe doświadczenia, koszty stworzenia jednego miejsca pracy w turystyce są 20 razy mniejsze niż w przemyśle, a obrót kapitału inwestycyjnego jest 4,2 razy większy niż w innych dziedzinach gospodarki.

Jakby puentując swoją wypowiedź – Marek Traczyk zwraca uwagę na dwa uwarunkowania takiego, pozytywnego rozwoju. Pierwsze, to wsparcie polityczne i finansowe ze strony Europy. To ono może stać się czynnikiem wspierającym rozwój turystyki na Ukrainie oraz upowszechniającym wizerunek Ukrainy jako kraju atrakcyjnego turystycznie, zwłaszcza pod względem kulturowym i przyrodniczo-klimatycznym. Drugie zaś, to nadzieja, że dzięki rozszerzeniu rynku światowego, w centrum zainteresowania turystów znajdą się nowe miejsca, jednak będzie to zależało od poprawy marketingu Ukrainy i potencjału jej usług turystycznych. Jak się to wszystko uwzględni, to Ukraina może stać się jednym z najbardziej popularnych kierunków turystycznych. A tego jej szczerze życzymy!

Pierwszy krok w tym kierunku został już zrobiony w okresie Euro 2012.

Konkurs Powstanie 1863 na Kresach

W 2013 roku będziemy obchodzili 150. rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego, które było próbą odbudowy Rzeczypospolitej w jej historycznych granicach. Wystąpienie to było także walką o wolność dla wszystkich narodów, zamieszkujących te ziemie, w imię szczytnego hasła „za wolność naszą i waszą”. Jesteście Państwo, jako Polacy mieszkający na terenach dawnej Rzeczypospolitej, od Dźwiny do Dniepru i od Podola do Żmudzkich lasów, spadkobiercami tej tradycji. W związku z tym chcieliśmy zaproponować Państwu współuczestnictwo w przygotowaniu do obchodów tego wydarzenia.



W ramach przygotowań proponujemy Państwu program dla młodzieży polegający na poszukiwaniu materialnych i duchowych śladów Powstania, takich jak pola bitewne, mogiły, cmentarze, pomniki, tablice komemoratywne, kapliczki, krzyże, a także zbiory archiwalne i muzealne, księgi parafialne, biblioteki, zbiory prywatne etc. Szczególnym obiektem poszukiwań winna stać się pamięć społeczna, która badana będzie metodą wywiadu środowiskowego. Praca będzie miała charakter zespołowy. Zespoły powinny być kilku osobowe. Objęmość mogą młodzież w wieku 14–18 lat.

Efekty pracy zespołów młodzieżowych w formie reportażu, eseju, fotoreportażu, wywiadu etc. powinien zostać przedstawiony organizatorom do 30 października. Na podstawie dostarczonych prac,

organizatorzy wyłonią laureatów i zwycięzców konkursu. Kryteriami będą: kreatywność, samodzielność, wkład pracy oraz oryginalność formy. Zwycięska grupa otrzyma laptop dla koordynatora i mp4 dla każdego uczestnika grupy, a laureaci (najlepsze grupy z poszczególnych krajów) wezmą udział w objeździe naukowym po Polsce, śladami Powstania Styczniowego. Wszyscy uczestnicy projektu otrzymają repliki biżuterii powstańczej.

Zgłoszenia oraz wszelkie pytania prosimy kierować na adres: konkurs1863@gmail.com

Nasz konkurs realizowany jest przez Fundację „Wolność i Demokracja” ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Ukraińscy komuniści: Katyń to sprawa Niemców

20 lipca br. we lwowskiej gazecie „Wilna Ukraina”, której redaktorem naczelnym, jest Ołeksandr Gołub – działacz Komunistycznej Partii Ukrainy i deputowany do Rady Najwyższej, na dwóch stronach kolorowej rozkładówki, ukazał się artykuł dowodzący, że zbrodni w Katyniu dokonali... Niemcy. Artykuł nie jest podpisany. Jest tylko adnotacja: „na motywach materiałów z pisma „Russkij Mir”.



Pokróćce sens artykułu sprowadza się do tego, że materiały, które przekazał Michaił Gorbaczow rządowi polskiemu w 1990 roku są... sfałszowane.

Podobno jeden z „ojców pierestrojki”, członek biura politycznego KP ZSRR Aleksander Jakowlew, funkcjonujący w służbach bezpieczeństwa, sformował w tych strukturach specjalną grupę, zadaniem której była masowa produkcja fałszywych dokumentów archiwalnych, dotyczących różnych okresów w historii Rosji i ZSRR. Podobno spreparowane zostały przez nich abdykacja cara Mikołaja II, testament Lenina i niemieckie dokumenty, potwierdzające działanie tego ostatniego, jako agenta niemieckiego.

Pisząc o tragedii katyńskiej, „odgrzano” starą stalinowską wersję winy Niemców za ten mord. Główna teza komunistów w tej sprawie jest taka, że to w czasie wojny Goebbels wymyślił całą sprawę aby skłócić sojuszników – ZSRR i USA. Znow, jak złe duchy, pojawiły się argumenty rosyjskiej komisji z 1944 roku o zastosowaniu w Katyniu broni niemieckiej (pistoletu Walter kal. 7,65 mm), o noszeniu przez jeńców dystynkcji oficerów WP – co było możliwe tylko dla krajów uznających Konwencję Genewską, a ZSRR tej konwencji nie uznawał. Podano też, że o zaprzestaniu masowych mordów zdecydował Beria, który był niby przeciwnikiem tego rodzaju „rozwiązań”. Zakwestionowano ogólną ilość zamordowanych 21 857 osób, chociaż te dane przytoczył w swej notatce Aleksander Szelepin, przewodniczącego KGB (Komitet Bezpieczeństwa Państwowego), sporządzonej 3 marca 1959

roku dla Nikity Chruszczowa. „Wilna Ukraina” podaje za „Russkim Mirem” – 1803 ofiary, które zostały ekshumowane w Katyniu.

Rozważania „nieznanego autora” opierają się na wypowiedzi w rosyjskiej Dumie deputowanego Wiktora Iliuszyna z 16.06.2010 roku, który „przebadal” wszystkie dotyczące tej sprawy dokumenty wraz z grupą ekspertów i doszedł do podanego wyżej wniosku – wszystko to fałszywka. Iliuszyn pełnił funkcję prokuratora w 1991 roku i to on oskarżył Gorbaczowa o „zdradę ojczyzny”, w myśl starej sowieckiej zasady „dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”.

Jako argument potwierdzający tezę „fałszywki”, przytoczono fakt, że dokumenty, przekazane przez stronę polską na rozprawę w Strasburgu zostały przez sędziów odrzucone.

I tu na arenę, jak zawsze w prasie sowieckiej, wchodzi dezinformacja. Przeglądając tłumaczenie decyzji sądu ze Strasburga nie na żadnych danych co do odrzucenia, żadnych dokumentów nadanych w sprawie „Janowiec i inni przeciwko Rosji”. Jeszcze jeden argument w prasie komunistycznej, który zawsze rozbudza emocje – pieniądze. „Wilna Ukraina” podaje, że 15 skarżących zażądało od Rosji 2 miliardy dolarów USA odszkodowań za szkody moralne, a państwo Polskie, które dołączyło do rozprawy, żądało 100 miliardów dolarów USA. Tymczasem w decyzji sądu figurują sumy o wiele niższe i nie chodzi tu o odszkodowanie tylko, o pokrycie kosztów sądowych. Decyzja sądu stwierdza:

„...że pozwane państwo ma zapłacić w ciągu trzech miesięcy od dnia, w którym wyrok stanie się

prawomocny zgodnie z artykułem 44 ust. 2 Konwencji, następujące sumy:

I – Skarżącym łącznie 5,000 EUR (pięć tysięcy euro) tytułem pokrycia kosztów i wydatków z dodaniem jakichkolwiek podatków, jakie mogą być nałożone na tę sumę;

II – Skarżącemu panu Jerzemu Karolowi Malewiczowi 1,500 EUR (jeden tysiąc pięćset euro) tytułem kosztów i wydatków, przeliczonych na dolary amerykańskie po kursie obowiązującym w dniu wypłaty, z dodaniem jakichkolwiek podatków, jakie mogą być nałożone na tę sumę”.

Czyli w sumie 6 500 EUR (słownie sześć tys. pięćset Euro), ale czytelnik „Wilnej Ukrainy” tych dokumentów w internecie nie przeczytał.

Polskie rodziny domagały się od rządu Rosji rehabilitacji pomordowanych krewnych, bo wszelkie ich petycje do sądów Rosyjskiej Federacji różnych instancji w tej sprawie były odrzucane.

Tyle fakty, ale komuniści zawsze starają się przedstawić fakty tak, aby samym wyglądać w jak najlepszym świetle, a wszystkich oszkalować. Znana metoda i stosowana od lat, szczególnie przed wyborami. Gazeta „Wilna Ukraina” w podtytule ma zapisane „Wszzechukraiński tygodnik obrony socjalnej”. Na ostatniej kolorowej stronie – Łukaszenko z dziećmi i zdjęcia z parady z okazji Dnia Niepodległości Białorusi. Przynajmniej wszystko jasne.

Na podstawie artykułu „Fałszywki „Kremlewskich mędrców”, „Wilna Ukraina” nr 29–30 z 20 lipca 2012 r. opracował KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Skarby Watykanu

Można się spierać, która z antycznych rzeźb jest najwspanialsza, ale niewątpliwie wśród tych, które należą do dzieł arcy mistrzowskich, znajduje się tzw. Grupa Laokoona, praca aż trzech najprzedniejszych artystów dłuta – Agesandrosa, Polidorosa i Atenodorosa z wyspy Rodos. Powstała w ich pracowniach prawdopodobnie około 150 r. przed Chrystusem. Rzeźba przedstawia ostatnie chwile życia trojańskiego kapłana Laokoona i jego dwóch synów-bliźniaków – Antiphantesa i Thymbraeusa, zmagających się z oplatającymi ich w śmiertelnym uścisku dwoma węzami.

TADEUSZ KURLUS

Jak doszło do tej dramatycznej sceny? Otóż Laokoon ostrzegał wodzów trojańskich, aby nie wpuszczali do oblężonego przez Greków miasta konia trojańskiego, był bowiem przekonany, że to podstęp. Miał rację. Ale trwającymi już niemal dziesięć lat walkami interesowali się też bogowie. Między innymi Atena, która oczywiście pragnęła, aby szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Greków. Nie spodobało jej się więc, że Laokoon chciał pokrzyżować ich plany i postanowiła go ukarać, straszliwie. Gdy więc Laokoon składał ofiarę Posejdonowi, z otchłani morskich wynurzyły się przysłane przez nią dwa wielkie węże – Porkes i Chariboia, szybko owinięły się wokół kapłana i jego synów i równie szybko sprawiły, że wyzionęli ducha. Rzeźbiarzy zainspirował Homer, który w



szczegółach opisał walki o Troję, w tym także śmierć Laokoona.

Co działo się z rzeźbą po jej ukończeniu, jakim drogami dotarła z dalekiej wyspy na Półwysp Apeniński, nie wiadomo. Pierwsza wzmianka o jej obecności na tym półwyspie zawarta jest w encyklopedycznym dziele Pliniusza Starszego *Historia naturalis*, w którym pisarz zanotował, że widział ją na dworze cesarza Tytusa. Potem gdzieś się zapadła. I oto 14 stycznia 1506 r. przy pracach remontowych w podziemiach rzymskiej winnicy, założonej na ruinach Złotego Domu Nerona na Eskwilinie (jednym z siedmiu wznórz miasta), natrafiono na zamurowane pomieszczenie, w którym stała Grupa Laokoona! Jak tam trafiła i dlaczego aż przez kilkanaście wieków nikt nic nie wiedział o tym schowku, pozostanie tajemnicą. Wieść o odkryciu obiegła cały Rzym, zainteresował się nią także papież Juliusz II i jeszcze tego samego dnia wysłał na miejsce znaleziska swego nadwornego architekta Guliana da Sangallo. Był zachwycony i zaraz opowiedział swemu patronowi, co widział. Nie zwlekając, papież postanowił kupić rzeźbę i ją odrestaurować, co powierzył Michałowi Aniolowi. Co szczególnie ważne: nabytek stał się



zaczątkiem watykańskich zbiorów muzealnych. Czyli Muzea Watykańskie (odwiedza je corocznie ponad cztery miliony osób!) mają już ponad 500 lat.

Pocztą watykańską uczciła jubileusz pięćsetlecia wydanym 12 października 2006 r. blokiem pokazującym Grupę Laokoona w całej okazałości (nakład: 120.000) oraz trzema znaczkami przedstawiającymi w zbliżeniu głowy ojca i jego dwóch synów, pozwalającymi dostrzec, z jakim wysiłkiem próbowali się uwolnić od śmiertelnie duszących ich gadów.

Skoro już trafiliśmy do Muzeów Watykańskich, to godzi się choćby wspomnieć, że w watykańskich zbiorach sztuki znajdują się liczne

polonika, zarówno w Muzeach, jak i w Bazylice św. Piotra i jej skarbcu, w Bibliotece Apostolskiej, w Tajnym Archiwum Watykańskim oraz w papieskiej rezydencji w Castelgandolfo. Wspaniałe ich opis znajdziemy w wydanej przed kilku laty, bogato ilustrowanej książce Janusza St. Pasierba i Michała Janochy *Polonika artystyczne w zbiorach watykańskich* (połóżmy tu nacisk na słowo *artystyczne*, nie rejestruje ona bowiem poloników o charakterze dokumentalnym, historycznym. Przytoczmy tu jedynie, że najstarszym polonikiem



jest regest *Dagome Iudex*, będący zarazem najstarszym dokumentem państwowym związanym z Polską. Zawiera on prośbę księcia Dagome i jego żony Ody tudzież ich synów, adresowaną do papieża Jana XV (985-996), o przyjęcie ich posiadłości pod opiekę Stolicy Apostolskiej).

Lektura wymienionej książki podsunęła nam myśl, którą kierujemy pod adresem Poczty Polskiej. Otóż mogłaby ona wydać serię znaczków pokazujących najcenniejsze polskie obiekty znajdujące się w zasobach watykańskich placówek muzealnych. Precedens istnieje: w 1933 r. ukazał się znaczek przedstawiający obraz Jana Matejki *Sobieski pod Wiedniem*,

a malowidło to znajduje się przecież w specjalnej sali Muzeów Watykańskich, zwanej *Salą Sobieskiego*. Obraz, którego malowanie zajęło mistrzowi cały rok, rodacy chcieli odeń kupić, lecz on podarował go narodowi, ze wskazaniem, iż należy dzieło – akurat obchodzono, był rok 1883, dwusetną rocznicę wiktoria wiedeńskiej – przekazać w darze papieżowi Leonowi XIII (na marginesie: piszący te zdania zapytał dziesięć osób, czy wiedzą, w którym muzeum wisi słynny obraz Matejki. Ani jedna odpowiedź nie była prawidłowa!). Sądźmy, iż seria znaczków mogłaby nam unaocznic, jakie wspaniałe skarby polskiej proweniencji znajdują się w Watykanie.

KG

Pozdrowienia ze Stanisławowa

W Stanisławowie, w galerii „Bastion” w centrum miasta, zaprezentowany został pierwszy polsko-ukraiński przewodnik po tym mieście „Pozdrowienia ze Stanisławowa”.

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcia

Autorem nowości wydawniczej jest krajoznawca Iwan Bondariew, który umiejętnie połączył teksty i ilustracje. Te ostatnie – to pocztówki z kolekcji znanego kolekcjonera starożytności Olega Hreczanika. Jest on posiadaczem największej kolekcji pocztówek (może nawet w całej Europie Wschodniej). Zawsąd zwoził karty pocztowe: z widokami miast, z podobiznami osobistości historycznych, działaczy kultury. Z czasem nawiązał kontakty z filokartystami z całego świata i zaczęła się wymiana. Przed 15 laty zainteresowały go historyczne pocztówki z rodzinnego



Iwan Bondariew z nowym przewodnikiem



Liczni przyjaciele stanisławowskiego krajoznawcy

miasta. W nowej publikacji niektóre ilustracje można obejrzeć po raz pierwszy. Najstarsza datowana jest na rok 1897.

Przekładu przewodnika na język polski dokonał Taras Zajac. Ukazał się on w nakładzie zaledwie 1000 egzemplarzy.

W książce przedstawione jest siedem okresów rozwoju miasta pomiędzy dwoma Bystrzycami: okres austro-węgierski, pierwszej wojny światowej, okres międzywojenny, sowiecka i niemiecka okupacja, okres ZSRR i czasy niepodległości Ukrainy. Szczególne miejsce udzielono kutym rzeźbom, które stały się już wizytówką turystycznego Iwano-Frankowska.

„Historię miasta można poznać różnie, – mówi dziennikarce Kuriera Iwan Bondariew. – Można studiować poważne prace krajoznawcze, a można oglądać pocztówki z widokami miasta i ruin, symboli tej czy innej epoki i tak zanurzać się w dawne czasy. Te działania artystyczne nigdy nie kłamią. Gdy zwykle przewodniki zapraszają na wędrowkę w przestrzeni, to te ilustracje prowadzą nas w czasie”. Według słów Olega Hreczanika, pomysł by wydać taki przewodnik narodził się jeszcze w 2009 roku, spontanicznie. Zaczęło się to, gdy jedna z gazet opublikowała artykuł o moich zainteresowaniach. Wtedy właśnie pan Bondariew napisał kilka artykułów i zilustrował je pocztówkami Olega Hreczanika. Jako ilustracje wybrał on 10-15 pocztówek, a w gazecie zmieściło się jedynie 3-4.

Krajoznawcy widzieli znaczne zainteresowanie czytelników tymi materiałami, w szczególności z Polski. To dzięki polskim partnerom udało się rozstrzygnąć kwestię dwujęzycznego wydania. W województwie nie

brakuje literatury krajoznawczej po angielsku, niemiecku, ale publikacji po polsku prawie nie ma. A turystów z Polski jest przecież najwięcej. Szczególnie tych którzy praktykują nostalgiczne wyjazdy. Dla tych kto mieszkał kiedyś w Stanisławowie, lub mieszkali tu ich rodzice i krewni na pierwszej i ostatniej stronach przewodnika są stara i współczesna mapy Stanisławowa.

„Polacy z tego przewodnika mogą lepiej poznać swoje miasto i dowiedzieć się wiele nowego, – mówi przewodnicząca polskiego Stowarzyszenia „Przyjaźń” Łucja Kubicka. – Jesteśmy dumni, że taka publikacja pojawiła się w naszym mieście”.

Ciepło wypowiadają się o wydaniu i miejscowi krajoznawcy. Ale ponieważ jest to jedno z pierwszych wydań tego typu zostanie ono wznowione z uzupełnieniami. „Každą nową książką o naszym mieście, o naszych stronach karbuje pamięć czytelnika – mówi dyrektor Instytutu Turystyki Przykarpackiego Uniwersytetu Wołodymyr Welykoczij. – Na pocztówkach oddano coś nieuchwytnego, co we współczesnym świecie już trudno odnaleźć. Zachowały się tam chwile z życia ludzi, miasta, okresy upadku i odrodzenia Stanisławowa”.

Pożytywnie wypowiadają się o książce i kierownik miejskiego wydziału turystyki Wołodymyr Ustinskij, krajoznawca Mychajło Gołowaty, członkowie polskiego towarzystwa i goście z Opolą. Pojawiły się już propozycje, aby ukazały się wersja ukraińsko-niemiecka. Za swoją pracę Iwan Bondariew otrzymał miejską premię im. Iwana Franki w dziedzinie dziennikarstwa i został laureatem konkursu na najlepszą piosenkę wyścigową z naszego miasta.

Akcja Burza we Lwowie

Była to akcja wojskowa zorganizowana i podjęta 22 lipca 1944 we Lwowie przez oddziały Armii Krajowej przeciw wojskom niemieckim. Zadaniem akcji Burza było opanowanie Lwowa przez polskie siły zbrojne, przed wkroczeniem Armii Czerwonej i w ten sposób wystąpić w roli gospodarza terenu i zająć stanowisko liczącego się partnera w rozmowach z przedstawicielami wojsk sowieckich. W miarę wycofywania się oddziałów niemieckich, żołnierze AK obsadzali wyznaczone im kwartały, zabezpieczali ważniejsze obiekty i zamykali rejony ukraińskie. Żołnierze nakładali biało-czerwone opaski a domy dekorowano polskimi flagami. Wśród entuzjazmu ludności polskiej, wyłapywano skrywających się Niemców.



KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Przebieg Akcji

22 lipca 1944 w godzinach porannych na Lwów, od strony południowo-wschodniej (ulicą Zieloną), uderzyła sowiecka 29 brygada zmotoryzowana z 10 korpusu 4 Armii Panczernej. Wobec braku piechoty, która była niezbędna w walkach na terenie miasta, bardzo chętnie została przyjęta polska pomoc oddziałów Armii Krajowej. Oddziały niemieckiej piechoty cofnęły się z periferii miasta i zajęły stanowiska obronne w samym mieście. W ślad za cofającymi się Niemcami weszły patrole sowieckie, atakowane bez widocznego skutku z powietrza przez niemieckie lotnictwo myśliwskie. Wczesnym rankiem rozpoczęły się we Lwowie walki uliczne, w których po obu stronach wzięły udział czołgi i artyleria. Walki rozpoczęły się w rejonie ul. Zielonej, w kierunku centrum miasta. Przy oczyszczaniu Łyczakowa wzięły udział oddziały 14 pułku ułanów AK, które jako pierwsze weszły do walki w mieście, ostrzeliwując wycofujących się Niemców wzdłuż ul. Zielonej i Łyczakowskiej.

23 lipca wszystkie brygady 10 Korpusu Pancernego ruszyły do natarcia na miasto. Czołgi sowieckie weszły do miasta trzema klinami. Jeden zajmował stopniowo południową część miasta, opuszczoną i nie bronioną przez Niemców, docierając wzdłuż torów kolejowych z Persenkówki do ul. Stryjskiej, dwa pozostałe kliny skierowane były w kierunku Śródmieścia: jeden posuwał się od strony Łyczakowa: ulicami Pijarów i Piekarską do ul. Czarnieckiego, drugi uderzył ul. Zieloną, Piłsudskiego i przez plac Halicki dotarł po południu do Rynku.

W Śródmieściu miejscem postoju dowództwa 5 dywizji piechoty AK, a zarazem Komendanta Obszaru, płk. Filipkowskiego, który został uprawniony do występowania jako generał brygady, miał być rejon Politechniki. Ponieważ rejon ten był jeszcze zajęty przez Niemców, natychmiast po oczyszczeniu terenu od Niemców (22 lipca) zajęto na ten cel budynek przy ul. Kochanowskiego 27.

AK obsadziło rejon od Poczty Głównej do placu Mariackiego. Pierwsze walki stoczono w rejonie ul. Piekarskiej, zmuszając do wycofania się oddziałów Tyrolczyków,

po czym wspólnie z nacierającymi z drugiej strony (od ul. Czarnieckiego) oddziałami radzieckimi zaatakowano gniazda karabinów maszynowych na ul. Podwale, od strony pl. Bernardyńskiego, zdobywając jeden z nich. Oddziały AK podjęły walkę z wycofującymi się Niemcami w Parku Kościuszki (Ogród Jezuicki), ponosząc straty w rannych. Trzecia grupa stoczyła walkę w rejonie Teatru, we współdziałaniu z czołówką radziecką, zlikwidowała gniazdo niemieckich karabinów maszynowych i broni przeciwpancernej na rogu ul. Żółkiewskiej. Przydzielony ze sztabu AK przewodnik przeprowadził kanałami w rejon pl. Strzeleckiego obserwatora radzieckiego, który stamtąd kierował ogniem i natarciem czołgów, w celu oczyszczenia z Niemców tego rejonu, aż do wylotu na pl. Krakowski.

Żołnierze AK z plutonu podchorążego Stanisława Ropuszyńskiego, Franciszek Maurer pseudonim „Zyndram”, Franciszek Orzechowski pseudonim „Oksza”, „Grzesio” oraz Ryszard Orzechowski pseudonim „Jan” przedostali się do budynku Ratusza i pod ostrzałem niemieckim wywiesili na wieży ratuszowej flagę polską, amerykańską, angielską i sowiecką. Dowództwo radzieckie wkrótce zarządziło ich zdjęcie, motywując to tym, że pomagają one Niemcom, obecnym jeszcze w mieście, rozpoznać sytuację. Inni żołnierze AK wywiesili flagę na tzw. Gmachu Sprechera, przy ul. Akademickiej, gdzie mieściła się Komenda Śródmieścia oraz na Politechnice, zdobytej przez Oddział Kedywu Okręgu Lwów.

W dzielnicy wschodniej 28 plutonów i 2 szwadrony 14 pułku ułanów w sile 1030 ludzi miało zapewnić gotowość do samoobrony dzielnicy przed ekscesami Ukraińców i możliwością wyniszczenia ludności przez wycofujących się Niemców, a gdyby groźba taka powstała, skupić ludność w rejonach odsuniętych od głównych arterii i bronić ją przed Niemcami i Ukraińcami.

Dzielnice Zachodnią i Główny Dworzec kolejowy zabezpieczało około 1200 żołnierzy pod dowództwem Komendanta Dzielnicy kpt. Jana Kozika „Karskiego”. Plutony dzielnicy Zachodniej skoncentrowały się 22 lipca i początkowo opanowały rozległy teren niemal całej dzielnicy, odrzucając Niemców wzdłuż ul. Króla Leszczyńskiego i Gródeckiej. Niemcy byli tu na północ od ul. Janowskiej oraz na południowo-zachodnich peryferiach. 24 lipca oddziały AK próbowały atakować Kortumową Górę, ale atak załamał się pod ogniem niemieckim. Na drugi dzień oddziały niemieckie, wycofując się z północno-zachodnich przedmieść w kierunku na południe, wyparły oddziały AK



Żołnierze AK w czasie Akcji „Burza” we Lwowie

z Sygniówki i Lewandówki. Wydarzenia te spowodowały straty i po pewnym momencie panikę, wycofując się niektóre oddziały AK i uciekająca ludność cywilna dotarły aż do centrum miasta... Reakcją sztabu była natychmiastowa, sytuację szybko opanowano. Dowództwo na południowo-zachodnim odcinku ul. Gródeckiej objął osobiście kpt. „Karski”, przekazując je następnie kpt. Janowi Karolowi Osowskiemu, który przeszedł z organizacji płk. Sokołowskiego „Trzaski”. Przez 2 dni, aż do zupełnego wyparcia Niemców ze Lwowa, przy wsparciu czołgów radzieckich utrzymano ten rejon, prowadząc rozpoznanie patrolami lotniska w Skniłowie.

W dość rozległej dzielnicy południowej, zamieszkałej w czasie okupacji głównie przez ludność niemiecką, nie było warunków organizowania liczniejszych oddziałów AK. Stąd w czasie „Burzy”, w tych trzech rejonach miasta wystąpiło 540 żołnierzy w 11 plutonach, które skoncentrowały się w wyznaczonych rejonach i obsadziło wskazane obiekty. Walki jednak ominęły tę część miasta, ponieważ Niemcy wycofali się stąd bez prób stawienia oporu. Opuszczona przez załogę Cytadela została zajęta po krótkich utarczkach z ukrywającymi się tam Niemcami, po czym odkryty magazyn broni pozwolił na częściowe dobrojenie oddziałów AK. Dzielnicą dowodził Komendant Dzielnicy i zarazem dowódca zgrupowania południe kpt. Borkowiec „Zen”. Siły dzielnicy ujawniły się jako oddziały 40 pp. w sile ok. 150 żołnierzy w 4 plutonach. 19 pp. obsadził Politechnikę, po uprzednim oczyszczeniu z Niemców ul. Leona Sapiehy i odrzuceniu ich na pln.-zach. Pod stałą obserwacją pozostawał kompleks budynków greckokatolickiej katedry św. Jura, siedziby Metropolity arcybiskupa Andrzeja Szeptyckiego. Po zajęciu Politechniki zorganizowano tam szpital AK. Drugi odwód 5 DP w sile ok. 200 żołnierzy wywiadu i kontrwywiadu w 4 plutonach 19 pp., pod dowództwem

z tą dzielnicą utrzymywano kanałami. Jeden z plutonów pod dowództwem por. Zbigniewa Borzysławskiego, opanował teren Gazowni Miejskiej, wziął do niewoli całą niemiecką załogę, i odparł kilka kontrataków Niemców, chcących zająć i wysadzić gazownię.

Opanowanie północnej części Lwowa odbywało się stopniowo, jednak bez specjalnego wysiłku ze strony sowieckiej.

Zakończenie Akcji

26 lipca doszło do spotkania płk. Władysława Filipkowskiego i towarzyszących mu oficerów Armii Krajowej z reprezentującym marszałka Iwana Koniewa generałem Iwanowem. Uzgodniono organizację 5 Dywizji Piechoty AK „Dzieci Lwowskich” w celu jej wykorzystania do dalszych działań wojennych przeciwko Niemcom.

W nocy z 28 na 29 lipca, na prośbę płk. Filipkowskiego odbyło się posiedzenie Okręgowej Rady Jedności Narodowej. Po całonocnej dyskusji Rada aprobowała projekt udania się płk. Filipkowskiego do Żytomierza na rozmowy z gen. Żymierskim. 31 lipca przed południem pułkownik Filipkowski, ppłk. Pohoski i towarzyszący im dowódcy oddziałów, odlecieli samolotem do Kijowa na rozmowy z gen. Żymierskim. Dotarli samolotem do Żytomierza 31 lipca w godzinach przedpołudniowych. Prosto z lotniska przewieziono ich do centrum Żytomierza, gdzie mieściła się kwatery sztabu generalnego Wojska Polskiego. Oczekiwał ich gen. Żymierski w towarzystwie kilku generałów w polskich mundurach oraz płk Marian Spychalski.

W nocy z 2 na 3 sierpnia wszyscy przybyli ze Lwowa oficerowie AK zostali aresztowani i przewiezieni ciężarówką do więzienia NKWD w Kijowie, skąd zostają przekazani do kontrwywiadki 1 Frontu Ukraińskiego. Przez Lwów przewieziono ich samochodem ciężarowym do małej osady leśnej pod Rawą Ruską, gdzie w budynku szkolnym mieściło się prowizoryczne więzienie, następnie zaś samolotem przewieziono do więzienia w Charkowie. Mimo złożenia broni i formalnego rozwiązania oddziałów lwowskiej AK, w budynku Komendy AK przy ul. Kochanowskiego nadal pełniono dyżury i utrzymywano uzbrojoną służbę wartowniczą. Spotykali się tam członkowie sztabów, dowódcy oddziałów, przychodzili żołnierze i interesanci. W sąsiedztwie, przy ul. Rybackiej 5, kwatery nadal kierownictwo kontrwywiadu Komendy Obszaru, utrzymując kontakt ze sztabem kontrwywiadu 1 Frontu Ukraińskiego.

Na życzenie wojskowych władz sowieckich, mjr Stasiewicz zwołał



Gen. Władysław Filipkowski



Henryk Pohoski

por. Borodeja „Lisa”, obsadził rejon przyległy do ul. Długosza, pozostając do dyspozycji Komendy Obszaru i 5 DP, mieszczącej się w pobliżu ul. Kochanowskiego. Oddziały por. „Lisa” miały pod obserwacją pobliskie skupiska ludności ukraińskiej, a wydzielony pluton wziął udział w odparciu niemieckiego kontrataku w rejonie rogatki Gródeckiej.

Natomiast Dzielnica Północna była niemal do końca silnie obsadzona i broniona przez Niemców. Oddziały trzech rejonów miejskich tej dzielnicy, w sile 19 plutonów – 738 żołnierzy pod dowództwem Komendanta Dzielnicy kpt. Mariana Jędrzejewskiego „Ara”, pozostawały w pogotowiu, w koncentracji. Łączność

na godzinę 21 odprawę, która miała, się odbyć w kwaterze Komendy AK przy ul. Kochanowskiego. Rozesłano w tej sprawie pismo: „Dziś o godz. 21, odbędzie się odprawa odnośnie formowania dywizji AK, – na którą przybędzie generał, sowiecki Iwanow. Stawić się winni komendanci dzielnic, ich zastępcy, oraz dowódcy kompanii i zgrupowań. Dotyczy to wszystkich oficerów sztabu okręgu”. Stawili się od 25 do 30 osób. Krótko przed godziną 21 przybył oficer sowiecki z informacją, że gen. Iwanow jest bardzo zajęty i przybyć nie może, ale zaprasza wszystkich

nie sprowadzono ich pojedynczo na dół do obszernej sutereny. Po drodze na schodach stało wielu żołnierzy uzbrojonych w pepesze. Po kilkunastu minutach wyprowadzono ich na dziedziniec i załadowano na samochód ciężarowy. Siedzieli na podłodze ciasno, okrakiem jeden za drugim, twarzami w kierunku jazdy. Zawieziono ich do więzienia przy ulicy Łąckiego. Początkowo, przez kilka godzin, przebywali w jednej celi, potem rozprowadzono ich po różnych celach w tzw. budynku wewnętrznym, w którego piwnicach, za czasów gestapo, znajdowały się cele śmierci. W



Gen. Michał Żymierski (od prawej), gen. Marian Spychalski oraz oficer sowiecki (od lewej)

na odprawę do siebie. W tym celu wkrótce podjadą samochody. Część obecnych opuściła budynek Komendy frontowymi bądź tylnymi drzwiami. Wkrótce podjechało kilka Willysów. W każdym obok kierowcy siedział sowiecki oficer. Zawieziono ich przez plac Halicki do dawnego pałacu Biesiadeckich, na tyłach budynków sądów przy ul. Batorego. Oficerów AK poproszono do podłużnej sali na piętrze, do której z korytarza prowadziło kilka drzwi. Stoły ustawione były w podkowie, na końcu obszerne biurko. Na stołach trochę materiałów piśmiennych. Na krzesłach pod ścianami oczekiwało już około 30 sowieckich oficerów. Wśród nich wolne miejsca, które zajęli oficerowie AK. W oczekiwaniu na rozpoczęcie narady, wśród uśmiechów, toczyły się dwujęzyczne uprzejme rozmowy. Po kilku minutach na salę wszedł nieznaną dotąd pułkownik, stanął za biurkiem i poprosił o zajęcie miejsca przy stołach, według starszeństwa. Gdy wszyscy usiedli zwrócił się z prośbą, aby najstarszy stopniem polski oficer złożył meldunek. Powstał mjr Stasiewicz i w krótkich słowach podał, że obecni tu polscy oficerowie reprezentują służby i jednostki bojowe organizowanej polskiej dywizji piechoty Armii Krajowej, która chce walczyć przeciwko Niemcom u boku Armii Czerwonej. Gdy skończył, pułkownik sowiecki zwrócił się do niego, aby powtórzył ten meldunek jeszcze raz. Speszony trochę mjr Stasiewicz powtórzył wszystko od początku. Wtedy pułkownik wstał, odsunął szufladę biurka, wyjął dwa pistolety i krzyknął: *ruki w wierch!* (ręce do góry). Oficerowie sowieccy chwycili oficerów AK za ręce, wykręcając je do tyłu. Równocześnie pootwierali się drzwi i z korytarza wbiegli na salę uzbrojeni żołnierze. Część ustawiła się pośrodku sali, część dokonywała osobistej rewizji oficerów AK. Odbierano dokumenty i inne przedmioty osobiste. Broni nikt nie miał. Następ-

czasie tej „odprawy” wszyscy zostali aresztowani.

Epilog

Dopóki trwały walki o Lwów, w mieście panował radosny nastrój, panowała harmonijna współpraca żołnierska między dowództwem AK a wojskami sowieckimi, walczącymi we Lwowie, których dowódca w stopniu generała na pierwszej odprawie wspólnej, w sztabie przy ul. Kochanowskiego, w obecności wielu oficerów AK i radzieckich złożył podziękowanie na ręce gen. Filipkowskiego za współpracę na polu walki i okazaną pomoc w walkach o Lwów, i na innych odcinkach walki na terenie Obszaru. Dokonano wymiany oficerów łącznikowych między dowództwami. W miarę napływania politycznych oddziałów sowieckich sytuacja pogarszała się. Na drugiej z kolei odprawie gen. Iwanow zaproponował, by oddziały AK złożyły różnorodną i często zestarzałą broń, zapewniając, że w zamian otrzymają nowoczesną i ręczną za to słowem honoru. Na trzeciej odprawie ten sam generał zażądał kategorycznie złożenia broni przez AK. Wydano odpowiedni rozkaz i 28 lipca poszczególne oddziały złożyły broń w wyznaczonych punktach. Nie było możliwości w pełni wyegzekwować wykonania tego rozkazu, wielu żołnierzy nie chciało rozstać się z bronią i część jej często za cichą zgodą dowódców pozostawała w ukryciu.

Współpraca Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego z Armią Czerwoną zakończyła się podstępny aresztowaniem dowódców i sztabów oraz masowym aresztowaniem oficerów i żołnierzy Armii Krajowej. Około 700 żołnierzy AK zginęło, biorąc udział w walkach o wyzwolenie Lwowa. Miejsce ich pochówku do dzisiaj jest nieznanne. Ponad dwa tysiące żołnierzy lwowskiej Armii Krajowej zostało skazanych i uwięzionych w łagrach sowieckich. Wielu z nich nie doczekało powrotu do powojennej Polski.

Dolnośląska młodzież ratuje cmentarze na Kresach

W lipcu ponad 300 młodych wolontariuszy z Dolnego Śląska uporządkowało 34 zaniedbane cmentarze, położone w okolicach Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, na Wołyniu i Podolu. Kolejna akcja ratowania polskich nekropolii pozostawionych za wschodnią granicą „Mogilę pradziada ocal od zapomnienia” była zorganizowana przez Dolnośląskie Kuratorium Oświaty wspólnie z Telewizją Wrocław. Autorką idei przeprowadzenia takiej akcji jest znana dziennikarka TVP Wrocław Grażyna Orłowska-Sondej.



Razem z arcybiskupem Mieczysławem Mokrzyckim

KONSTANTY CZAWAGA tekst i zdjęcie

Pod nadzorem opiekunów i nauczycieli uczniowie, przez to „wakacyjne dzieło” aktywnie pielęgnują pamięć o Polakach, których mogiły znajdują się na Kresach. Uczniowie uczą się historii ojczyzny swoich dziadków również nawiązują kontakty z ukraińskimi rówieśnikami, korzystają z szansy lepiej poznać kulturę Ukrainy.

Jedną z takich ekip korespondent Kuriera spotkał na starym polskim cmentarzu w Podhajcach, rejonowym miasteczku w obwodzie tarnopolskim. Ostatnio Podhajce są związane z Dolnym Śląskiem poprzez Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Podhajeckiej, które powstało w Olawie.

Opiekun grupy Robert Hrycuniak z Wrocławia, który jest nauczycielem języka polskiego powiedział, że on sam ma korzenie lwowskie. „W tym roku przyjechało 17 osób – zaznaczył. – Wszyscy jesteśmy tu pierwszy raz. Na tym cmentarzu nagrobki są bardzo zniszczone. Praktycznie porządkujemy te, które były porządkowane dwa lata temu, a na te inne, niestety, mamy za mało czasu jest. Tutaj, w Podhajcach, jest bardzo przychylna do nas pani mer Tatiana

Lewkowycz. Bardzo nam pomaga. Pomagają nam też miejscowi Polacy. Mieszkamy u Ukraińców. Są bardzo zadowoleni i w pełni akceptują to co tu robimy”.

„Przyjechaliliśmy tutaj z wolontariatem, żeby pomóc w uporządkowaniu tych grobów – mówi Paweł Sokalski. – Nasz wolontariat to nie tylko ciężka praca, ale też jeszcze dodatkowa możliwość by poznać Ukrainę, ludność ukraińską. Byliśmy też we Lwowie. Jesteśmy naprawdę bardzo mile zaskoczeni, ponieważ przyjmują tu nas bardzo życzliwie. Ludność miejscowa jest dla nas otwarta i miła. Widać, że chcą nas poznać. My poznajemy ich, tradycje i zwyczaje naszych dziadków, ponieważ wiele naszych rodzin pochodzi z tych terenów, a wielu z miejscowych Ukraińców ma swoje korzenie w Polsce. Jest to dla nas bardzo ciekawe doświadczenie”.

W czasie pielgrzymki Pokoju i Pojednania do Matki Bożej w Boleszowcach, trasa które przebiegała przez Podhajce z młodymi dolnoślążakami spotkał się arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki, który serdecznie podziękował uczniom, ich wychowawcom i opiekunom za porządkowanie starego cmentarza polskiego.

Humor żydowski

Kto lepszy?

Znany jeździec spadł z konia, kiedy ten, spłoszony, rzucił się nieoczekiwanie w bok. Stojący obok miejsca wypadku pan Nechemiasz powiada do niefortunnego jeźdźcy:

- O! Mnie by się taki wypadek nigdy nie zdarzył. Nigdy!

- Czyżby? – dziwi się poszkodowany jeździec. – Chce pan powiedzieć, że jeździ pan lepiej ode mnie?

- O, nie – mówi spokojnie pan Nechemiasz. – Tego to ja nie powiem i nie chciałem powiedzieć. Mnie by się taki wypadek nie zdarzył, bo ja bym za żadne pieniądze na żadnego konia nie wsiadł...

Lepszy klient

W kawiarni „Edison” grają w karty. Pan Froim kibicuje od godziny drugiej po południu. Wypił już kilkanaście szklanek wody i wypalił trzy pudełka zapalek, ale jeszcze nie sobie podać nie kazał. Nareszcie około godziny szóstej woła kelnera:

- Moryc!

- Służę panu, czym mogę służyć? Melanz, herbata, kapucyn, czekolada?

- Nie, nie – mówi pan Froim. – Niech mi pan tylko trzyma to krzesło, aż wrócę, aby go ktoś nie zajął, ja tylko skoczę do domu na kawę...

Pogrzeb

Ulicą Legionów we Lwowie przechodzi okazały pogrzeb katolicki. Na trotuarze przy Teatrze Wielkim stoi obywatel ziemski spod Trembowli, który przyjechał za interesami razem ze swoim, żydowskim oczywiście, faktorem.

- Popatrz no pan, panie Szlome, jaki to nasz pogrzeb jest piękny i estetyczny. Żydowski pogrzeb jest tak niemiły, że aż przykro patrzeć.

- Pan dziedzic dobrodziej – odpowiada na to faktor – ma oczywiście recht. Toteż ja zawsze wolę spotkać dziesięć katolickich pogrzebów, niż jeden żydowski...

Jeszcze nie minęło

Pan Anzelm był obłożnie chory i życie jego wisiało na włosku. Ale już jest dobrze i pan Anzelm wypoczywa na balkonie swojego mieszkania na pierwszym piętrze, od frontu – jak to się we Lwowie mówiło. Przechodzi akurat jego przyjaciel, który widząc pana Anzelma, uśmiecha się szeroko i mówi:

- Gratuluję! I cieszę się, że pana widzę już na balkonie. Czy niebezpieczeństwo minęło?

- Jeszcze nie całkowicie – odpowiada pan Anzelm – bo lekarz chce przyjść jeszcze kilka razy, a honorarium bierze takie samo, jak za pierwszą wizytę...

Cygara

Pan Nachman jest zaproszony do swoich bogatych znajomych. Po obfitej kolacji gospodarz stawia na stole pudełko znakomych, a więc i odpowiednio drogich cygar.

- Pan pozwoli – powiada pan Nachman, biorąc cygaro. Zdziwiony nieco gospodarz pyta:

- Ale przecież, o ile wiem, pan nie pali?

- Zgadza się – odpowiada grzecznie pan Nachman ale do mnie też czasami przychodzą goście...

źródło:

**Janusz Wasylkowski,
Obyś żył w ciekawych
czasach,
Warszawa 1991**

Wzdłuż rzeki July

Kolejnym celem naszej wyprawy jest miejscowość Paczicha, a raczej położony kilkanaście kilometrów od niej specposiłek o tej samej nazwie. Transport do Paczichy udaje się nam załatwić dzięki pomocy Wasi. Jego znajomi jadą akurat w tamtą stronę swoją Ładą. Odległość ponad 70 kilometrów pokonujemy bardzo szybko. Toporne i wyśmiewane u nas Łady doskonale sprawdzają się w tych dzikich rejonach.



Liesopowal, obwód Archangielski

ADAM „KACZOR” KACZYŃSKI

Po dotarciu do Paczichy odnajdujemy swojego następnego przewodnika. Niestety z powodu choroby nie może z nami jechać do specposiłka, ale obiecuje znaleźć zastępcę i przy okazji zaprowadza nas do najstarszej babuszki we wsi. Mieszkająca nad rzeką pani Eudokia urodziła się w 1925 r. Po chwili oporu udaje się ją jednak namówić na rozmowę:

„Ech, chłopcy, ja ze względu na swój wiek już zbyt wiele nie pamiętam. Moja matka kierowała wówczas stajnią, ojciec zaś był naczelnikiem w Kuskopale, choć najczęściej przebywał w lesie jakieś 100 kilometrów w górę rzeki, gdzie pracował z Polakami. Ja wówczas rozwodziłam pocztę pomiędzy poszczególnymi posiołkami. Do dziś dnia pamiętam imiona swoich polskich koleżanek – Ewka, Krystyna, Maria, Grażyna i Stefka Michalska, z którą umawiał się nasz Wańka. Nazwiska niestety już pozapominałam. Wiem tylko, że były rodziny Truchanowiczów, Ziemiakowiczów, Baranowskich, Iszkiewiczów i Pietrzyków. Była też rodzina, w której było siedmiu chłopaków – rodzice im zmarli i zostali sami. Pamiętam także nazwisko Kłop oraz takiego drobnoustajnego niewyrośniętego 14 letniego Zbyszka, który często do nas przychodził. Wszyscy oni pracowali wzdłuż Szukszy (rzeki wpływającej do July i wraz z nią do Piniegi). Oprócz Polaków byli także przesiedleńcy z Ukrainy – dobrze pamiętam Wasyla Kokoszyńskiego.

Mieszkaliśmy razem w jednym baraku – drzwi w drzwi. Nasza izba i naprzeciw polska. Razem chodziliśmy do klubu, uczyliśmy się polskich piosenek. Polacy nie pili tyle co nasi.

Żeby przeżyć sprzedawali swoje rzeczy. Mój ojciec od rodziny Baranowskich kupił taką wielką skrzynię, okutą na rogach. Zachowała się do dziś dnia – teraz rozporządza nią mój syn. Ojciec miał o Polakach bardzo dobrą opinię, cenili ich jako pracowników, zawsze wspominał iż stosunki pomiędzy zesłańcami a miejscowymi Rosjanami układały się dobrze.

Moja mama, która zawiadywała stajnią stale pracowała z siedmioma Polakami. Pozostali albo pracowali w lesie albo w kolchozie. Głównie sadzili kartofle, ale nawet zboże im wychodziło. Ludzie opowiadali, że w specposiłku Paczicha był taki srogi komendant, nazywał się Nikiforow, stale jeździł na koniu, z naganem przy pasie.

Do dziś dnia pamiętam jak ogłoszono amnestię i Polacy całymi rodzinami spływali na tratwach w dół July i potem dalej Piniegi do Karpagor. To co najbardziej utkwiło mi w pamięci, to te tratwy i pałace na nich ogniska. Później w Karpogorach wsiedli na statek – pamiętam jak żegnałam jedną z grup odpływających. Machali i krzyczeli – Duśka, jedź z nami do Polski. Wówczas nawet dobrze mówiłam po polsku. Do dziś dnia z resztą pamiętam trochę słów.

Po wojnie do prac w lesie werbowali kogo się dało. Baby wychodziły za mąż jak tylko nadarzyła się okazja, bo większość mężczyzn wyginęła na wojnie. Powszechny postrach w okolicy wzbudzał przez pewien czas taki wólczyca – Niemiec Szmil, zesłany w nasze strony za próbę gwałtu. Co się z nim potem stało nie wiem. Choć czasy wtedy ciężkie były i wojna, i głód, to jednak była u nas i medycyna, i szkoły działały. Nie to co teraz...”

Pani Eudokia została jednak nad Piniegią. Wkrótce poślubiła zesłańca – Niemca Wołżańskiego o imieniu Albrecht, który trafił na daleką północ po napaści Hitlera na ZSRR. Uwolnienie Polaków przysporzyło miejscowym gospodarstwom leśnym sporych kłopotów. Brak ludzi do pracy nie spowodował zmniejszenia wyśrubowanych planów. Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero po wojnie, gdy do domów powrócili nieliczni ocalali frontowi żołnierze. Z czasem atrakcyjne zarobki sprawiły, iż tajga ponownie się zaludniła, tym razem jednak ochotnikami szukającymi lepszego życia.

Po wizycie u pani Eudokii, udaliśmy się na poszukiwania kolejnych świadków i przewodnika, który pokazałby nam właściwą – historyczną Paczichę. Po dość długich negocjacjach udało się. Ruszamy. Odcinek drogi pomiędzy Kuskopala, nową Paczichą a oddaloną o kilkadziesiąt kilometrów stacją kolejową, w tej chwili pieczołowicie odbudowuje ją szwedzka firma zajmująca się pozyskiwaniem drewna. Szeroki i równy trakt ciągnie się dziesiątki kilometrów. Ruch zaskakująco duży – co jakiś czas mijamy potężne maszyny do ścinania i załadunku drewna. Jadą na lawetach bądź na swoich gąsienicach. Wszystkie nowiutkie. *Twaju mać!* – denerwuje się kierowca – *za Sojuza się opłacało, teraz Szwedom się opłaca, tylko naszym się nie opłacało. Wszystko rozkradli. Nawet droga przez nikogo nie utrzymywana przez te kilkanaście lat uległa degradacji. Teraz trzeba wszystko na nowo zaczynać. O tu jest to miejsce, o którym wszyscy mówią. To tutaj w zeszłym roku niedźwiedź zżarł drugiego, trochę młodsze. Czegoś takiego nikt z najstarszych*

mieszkańców nie pamięta. Zdarzały się szatuny ludojady, ale coś takiego. Nawet nie wiadomo jak takiego nazwać, przecie nie ludojad – może kanibal – wtrąciłem. Ot tak dobre słowo. Tylko pazury i łeb, i strzępy futra z tego młodsze zostały... użas.

Po kilkadziesiąt minutach jazdy dotarliśmy do miejsca, w którym trzeba było zostawić samochód. Do Paczichy nie da się dojechać – nawet traktorem szkoda ryzykować.

Na błotnistej drodze pełno śladów niedźwiedzia. Świerzych. W końcu to jego królestwo, a my tu jesteśmy tylko gośćmi. W najgorszym wypadku pokarmem. Jak mawiają miejscowi myśliwi: „Człowiek w 100% składa się z jedzenia”. Wkrótce naszym oczom ukazuje się samotna chatka. Według słów przewodnika, jej właściciel zginął dwa lata temu więcej w tym miejscu w którym w Kuskopale pływa prom. Zalał się pod nim łód, gdy jechał do domu samochodem. Ciało odnaleźli dopiero po kilku miesiącach, wiele kilometrów dalej. A chatka została. Od czasu do czasu korzystają z niej myśliwi. Dalej idziemy wzdłuż rzeki Paczicha. Po kilku kilometrach dochodzimy do następnej chatki, niezwykle malowniczo położonej na skarpie. *Tutaj ustrzeliłem swojego pierwszego łosia – chwali się nasz przewodnik – jeszcze przed pieriestrojką. Ech, wspomnienia. Ale chodźmy dalej, bo do zmroku co raz bliżej.*

Kilkadziesiąt metrów za chatką natrafiamy na cmentarz. Katolickie krzyże – jeszcze stoją!

Paczicha

Historia Paczichy należy do najlepiej udokumentowanych spośród wszystkich specposiłków w całym obwodzie Archangielskim. Osada położona nad rzeką o tej samej nazwie powstała na początku lat 30. W 1932 r., założono tam kolchoz „Nowy puł” – „Nowa droga”. Nazwa była o tyle kuriozalna, że posiołek w zasadzie nie posiadał drogi z prawdziwego zdarzenia. W czasie mrozów można było się tam dostać po zimniku, latem jedynie końską furmanką, a i to pod warunkiem, że była obciążona co najwyżej w połowie, a ziemia nie była rozmoczona przez deszcz. Pomimo niespełna 100 kilometrowej odległości od rejonowych Karpagor, Paczicha była prawdziwą trudnodostępną wyspą w bezkresnym morzu tajgi. W 1935 w posiołku rozpoczęto wlekać się ponad 5 lat budowę szkoły, stołówek, nowych baraków oraz pomieszczeń sanitarnych służących dezynfekcji odzieży, czyli zwykłemu odwoszeniu. Miejscowość dość prężnie rozwijała się dzięki nowym kontyngentom kulaków, wrogów ludu i innych elementów niepodobających się władzy sowieckiej. Pomimo ogromnej śmiertelności liczba ludności stale się zwiększała. Przed przyjazdem Polaków część ludzi wysiedlono do innych miejscowości. W końcu marca 1940 r. do Paczichy trafiło 259 osób, z czego 106 zakwalifikowano jako zdolne do pracy. Oto jak wspominają Paczichę świadkowie: „26 marca dojechalśmy do Paczichy. Komendant Nikiforow dał nam 3 dni na odpoczynek. Potem zebrał nas wszystkich w klubie i oznajmił, że przyjechalśmy tu na zawsze i że będziemy tu pracować. Od razu wybrał mężczyzn do splawiania drewna w posiołku Pichczino, oddalonego od Paczichy o

12 kilometrów. Moja mama dostała pracę przy pieczeniu dla nich chleba w piekarni. Mężczyźni mogli widzieć się z rodzinami tylko w soboty, gdyż w niedzielę wracali już do Pichczina. Wyplata męża była bardzo skromną – nie więcej niż 25 rubli miesięcznie. Też zaczęłam pracować, ale nie mogłam na długo zostawić malednickiego syna. Pomógł komendant. Postarał się w medpunkcie i wydał mi zaświadczenie, iż „Spiecpieriesienka Anna Masternak ma anemię i ogólnie jest słaba. Nadaje się jedynie do lekkich prac”.

Po przysłaniu Polaków sytuacja w posiołku okazała się dramatyczna. Komendant Nikiforow raportował do swoich przełożonych: „Nie ma czym robić remontu, nie ma szkła, budujemy łaźnię, udało się ją pokryć dachem tylko do połowy, ale nie ma materiałów na dokończenie. Brak materiałów na remont szkoły. Na ławki napilowano materiał, ale nie ma kleju. Kolchoz nie pozwala zrobić ogrodzenia wokół szkoły, gdyż zajmie zbyt dużo ziemi”.



Wiktor Szalaty zesłany wraz z rodziną do specposiłka nr 92. Zdjęcie w mundurze Wojska Polskiego, 1945 r.

Fatalny stan posiołka, wysoka umieralność i przede wszystkim niewykonywanie planu wycięcia lasu zdopingowało władzę radziecką do działania. Do Paczichy przysłano komisję kontrolną, która sytuację w posiołku scharakteryzowała w następujący sposób: „Pomieszczenia, gdzie mieszkają robotnicy nie bieline, choć remont przeprowadzono. Należy niezwłocznie przysłać wapno do pobielenia ścian, w przeciwnym razie pomieszczenia będą wyglądać gorzej od chlewu. Ocieplenia brak, oszklenia wewnętrznych, a gdzie nie gdzie także i zewnętrznych ram okien brak. [...] W pomieszczeniach panują anty-sanitarne warunki, nie myje się podłóg, brud, [...] duchota. Raportowali nam, że mają 100% łózek, ale po sprawdzeniu okazało się że są to zwykłe nary”.

Paczicha, podobnie jak i inne tego typu specposiłki cierpiała nie tylko z powodu oddalenia od głównych centrów, ale także na skutek ogólnego stanu spraw w całym Sojuzie. O ile z kryciem dachów i stawianiem konstrukcji domów radzono sobie wykorzystując stare metody łączenia drewna na zaciosy, to bez szkła, wapna i gwoździ o wykończeniu nie mogło być mowy. Brakowało nawet podstawowych narzędzi. Co gorsza nie można ich było nawet kupić... Plan zaopatrzenia zesłańców zrealizowano tylko w 10%. Na 50 rodzin wydano 7 wiader i dwa kociołki. Zgodnie z założeniami zesłanym Polakom miano wydać 500 misek, ale nie było żadnej.

Sytuacja uległa poprawie latem. Pośpiesznie dobudowano brakujące pomieszczenia. Zesłańcom wydzielono także niewielkie działki. Do dziś dnia doskonale są one widoczne w terenie, choć od ponad pół wieku porasta je tajga. Przydział „działki” oznaczał iż obdarowana nią rodzina otrzymywała fragment tajgi, którą dopiero należało wykarzcować oraz posuwać z niej kamienie. To właśnie stopy kamieni, tworzące swego rodzaju miedze, do dziś dnia dokładnie wyznaczają zasięg „polskiego pola”. Choć po specposiołku nie ma już praktycznie żadnych śladów, to nazwa „polskie pole” na trwałe wpisała się nazewnictwo stosowane przez miejscowych myśliwych.

Po wyjeździe Polaków, posiołek funkcjonował jeszcze przez kilka lat. W 1953 został zamknięty, a tą samą nazwę otrzymała inna wieś, wybudowana od podstaw kilkanaście kilometrów dalej. Dziś ze starej Paczichy zostały dwa jeziora – Paczichińskie Wielkie i Małe, ruiny szkoły, ślady kilku baraków, młyna położonego

możliwych językach świata oraz co najważniejsze, zdjęciami i dokumentami pokazującymi życie jego rodzinnej miejscowości. Sama postać Abramowa, opisującego trudy życia w północnych kolchozach, nie wzbudza w nas większej sympatii. Typowy sowiecki „inżynier dusz ludzkich” doceniony przez władzę. Wszelkie wątpliwości co do pisarza rozwiewa jedna z gablotek poświęcona wojennym losom Abramowa. Starszy śledczy „SMIERSZ”... Powiedzonko o tym, iż wydał 15 książek i dziesięciokrotnie więcej kolegów zaczyna nabierać bardziej realnego znaczenia...

Po zapoznaniu się z muzeum najwybitniejszego syna Wierkoły, odnajdujemy najstarszego mieszkańca. Urodzony w 1928 r. Wasilij Bielousow zgadza się z nami porozmawiać:

„Tamte czasy pamiętam dość słabo. Miałem wówczas 12–13 lat, pracowałem rozwijając pocztę i przesyłki po poszczególnych posiołkach. Najczęściej jeździłem do Siennego. Polaków dosiedlili do istniejących już

da nic szczególnego. W pewnym momencie stajemy jak wryci – *A to panowie żołnierzy z Polski? Ja zanim trafił na Iono Cerkwi, byłem oficerem Armii Sowieckiej i przez cztery lata służyłem w Legnicy... Świat jest mały. Po chwili pogawędki o dawnych czasach, batuszka pokazał nam miejsce gdzie leżą bracia zamordowani w 1918 r. przez bolszewików oraz zaprowadził do jednego z podopiecznych klasztoru – 84 letniego Gleba Matwijewicza, który pamięta jeszcze zesłanych Polaków.*

„Doskonale pamiętam moment kiedy ich przywieźli. Jako dzieciaki podbiegaliśmy do okien i zaglądaliśmy do środka baraków, bo ktoś nam naopowiadał, że mają rogi – ale żadnych rogów nie było. Potem wysyłali ich do pracy wzdłuż rzek. Z tego co wiem, to na Siamżengie (dopływ Piniegi na północ od wsi Jawzora) nie było nic. Żadnych budynków, biedni strasznie byli, matka chleb im dawała. Myśmy pracowali głównie przy sianokosach. Głód był

akurat na sezon przygotowywania sadzonek. W każdym z odwiedzanych domów stały doniczki, miski, wiaderka, kuwety, słoiki i wszelkiego rodzaju naczynia z zasadzonymi kartoflami. Sezon wegetacji jest tutaj tak krótki, iż bez wcześniejszego podhodowania kartofli w domu nie mają one szans na wyrośnięcie. Na pole wsadza się je już wyrosnięte, z dość solidnie rozwiniętymi listkami. We wrześniu pośpiesznie zbiera się urodzaj. Najważniejsze aby zdążyć przed pierwszym śniegiem i mrozami. Poletka z ziemniakami ma każdy. Niezależnie od profesji i pozycji społecznej. Kłusownik i nauczyciel, urzędnik i robotnik z liesopowalu. Część ludzi sadi kartofle w przydomowych ogródkach, część na niewielkich działkach położonych na skrajach osad. Posiadanie własnych zbiorów nie tylko wspomaga domowy budżet, co przy tutejszych cenach na żywność jest wsparciem dość sporym, ale przede wszystkim daje gwarancję przeżycia zimy. Zapas jedzenia, umożliwiającą prze-

latach 80. spłonęła redakcja „Prawdy Północy” i partia skierowała go do pomocy we wznowieniu gazety. Został do tej pory. W porównaniu do większości spotykanych przez nas ludzi, Paweł wyróżnia się nie tylko głęboką wiedzą, ale także kulturą i dbałością o język rosyjski, który podobnie jak i współczesna polszczyzna ulega co raz szybszej degeneracji. Typowy sowiecki inteligent – w bardzo pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Spacer po Karpogorach zajmuje nam kilkanaście minut. Błotniste uliczki i drewniane chodniki, wystające co najmniej na kilkadziesiąt centymetrów ponad poziom gruntu, doskonale przypominają nam, iż rządzi tu zima, a dobiegające końca lato jest tylko przelotnym złudzeniem. Próby kładzenia tak popularnej u nas kostki chodnikowej nie mają najmniejszego sensu. Na skutek zamarzania i rozmarzania gruntu powstaje popękana i pofalowana powierzchnia, po której nie sposób chodzić. Stosowane jeszcze od carskich czasów drewniane chodniki,



Brzeg jeziora w nieistniejącym już specposiołku Paczicha

na potoku wypływającym z jeziora Małego oraz rząd topoli rosnących niegdyś przed „medpunktem”. Został też cmentarz. Może kiedyś tu przyjdziemy i postawimy solidny krzyż..., a teraz trzeba wracać.

Nad Piniegą

Kolejnym naszym celem jest niewielka miejscowość Wierkoła, położona nad Piniegą. W trakcie dojazdu udaje nam się złapać zasięg i dozwonić do kolejnego przewodnika, który ma nas zabrać do specposiołka Krasnyj Okuń. Niestety w najbliższym czasie będzie to niemożliwe, gdyż jako operator ciężkiego sprzętu na liesopowale musi zastąpić chorego kolegę. Szkoda.

Wierkoła w zasadzie niczym nie różni się od innych wsi w regionie. Kilkaś drewnianych domków, mury szkół, sklepiki z gorzałą... W przeciwieństwie do sąsiednich miejscowości Wierkoła posiada jednak dwie ważne atrakcje turystyczne. Pierwszą z nich jest muzeum radzieckiego pisarza Fiodora Abramowa, drugą zaś położony na przeciwnym brzegu rzeki klasztor.

Zwiedzanie rozpoczęliśmy od muzeum. Z przyczyn technicznych nie było w nim prądu, jednak jako goście z daleka zostaliśmy przyjęci bardzo serdecznie. Muzeum mieszczące się w zwykłej chatce może pochwalić się pamiątkami po pisarzu, wydawnictwami jego dzieł we wszystkich

baraków i mieszkających tam innych zesłańców. Więcej ich mieszkało na Priliagie, niż w samym Siennom, ale oba posiołki należały do jednego kolchozu, który był w Siennom. Bez sensu tych ludzi wtedy po tajdze rozrzucano, można się było przecież zająć zagospodarowaniem bliżej położonych ziem nad rzeką.

Sami Polacy byli pracownicy, masło nawet potrafili robić, ale i tak im wszystko państwo zabierało. Ba, nawet ogórki uprawiali, a tego tu wcześniej nie było.

To co szczególnie utkwiło mi w pamięci, to to, jak kiedyś wiozłem do nich przesyłkę – dwa duże worki z butami. Macaliśmy je przez te worki i pamiętam że niektóre miały takie duże obcasy...”

Drugą część dnia spędziliśmy w klasztorze. Choć leży zaledwie półtora kilometra od wsi, wcale nie jest prosto się do niego dostać. Piniegi nie jest zbyt szeroka w tym miejscu, za to głęboka i ma dość wartki nurt. Pomimo dobrze grzejącego słońca, woda jest lodowata. Na szczęście kilka razy w ciągu dnia do klasztoru pływa łódka, obsługiwana przez jednego z mnichów. Sam klasztor powoli podnosi się z ruiny, choć strat zadanych przez Sowietów nie udało się odrobić jeszcze przez wiele dziesięcioleci. Po kilkunastu minutach zwiedzania, natrafiamy na potężnej postury braciszka z kosą. Niezobowiązująca pogawędka nie zapowia-

straszny, część Polaków próbowała uciekać w dół rzeki, ale na ogół kończyło się to tragicznie. Na wiosnę mój ojciec, który także zbierał siano zaszedł na Jawzorzę do jednej z izb i znalazł zamrożonego Polaka.

Ja osobiście pamiętam Polaków ze szkoły w Jawzorze – chodziliśmy razem do czterolatki. Klasy 5, 6 i 7 były już tylko w Wierkole na terenie klasztoru. W klasach było po 30 osób. Początkowo polskie dzieci nie znały rosyjskiego, ale się szybko nauczyły. Nazwisk kolegów nie pamiętam. W 1944 r. zostałem powołany do wojska – trafiłem do 115 pułku Wojsk Kolejowych NKWD w Tule. Na froncie nie byłem. Do domu wróciłem dopiero po wojnie”.

W drodze powrotnej znowu trzeba było poczekać na łódkę, wożącą pasażerów przez rzekę. Oczekiwanie umiłowaliśmy sobie skakaniem na pięknym rzeczonym piachu i rozmowami przez komórkę, gdyż o dziwo był tu zasięg. Gdy późnym popołudniem dotarliśmy do naszego nowego gospodarza, ten akurat zajmował się przygotowywaniem zapasów kartofli na zimę.

Kartoszka nasza powszednia

Temat kartofli, choć pozornie nie związany z polskimi miejscami na dalekiej północy, wymaga szerszego omówienia. Podczas wcześniejszej majowej wyprawy trafiliśmy



Tajga w pobliżu specposiołka Prilak. Prawdziwki takich rozmiarów wcale nie należą do rzadkości

życie do wiosny, jest w dzisiejszych czasach dla większości z nas czymś dziwnym, abstrakcyjnym. Tutaj jednak stanowi życiową konieczność. Odcięcie od świata na kilka tygodni bywa tu normą, a i w nie tak dawno minionej epoce, zwanej lichymi latami dziewięćdziesiątymi, kartofle ratowały całe rodziny. W sytuacji, gdy pracownikom przez kilkanaście miesięcy nie wypłacano wynagrodzeń (o emeryturach nie wspominając) kartofle oraz to, co udało się zdobyć w tajdze, stanowiło jedyne źródło utrzymania. Pamięć o tych ciężkich czasach, strach przed ich powrotem oraz wrodzona zapobiegliwość mieszkańców północy sprawiają, iż kartofle pozostaną stałym elementem tego kraju.

Sezon wykopkowy ma dla podróżnika też swoje minusy. Wielu spraw nie daje się załatwić, wielu ludzi nie można spotkać – wszyscy, zwłaszcza w weekendy, wykopują kartofle. „Chętnie bym z wami pojechał i wam pokazał kilka miejsc, ale muszę zdążyć z kartoflami...”. Jakże często słyszeliśmy te słowa.

Karpogory

W drodze powrotnej ponownie spotykamy się z Pawłem Niemirowem. Tym razem mamy jednak zdecydowanie więcej czasu. Po dłuższej rozmowie okazuje się, iż Paweł nie jest zawodowym dziennikarzem. W

nieważko zawieszono nad ziemią na palach, nie mają żadnej alternatywy. Sprawdzają się doskonale zarówno zimą, jak i latem. Tyle że od czasu do czasu trzeba je remontować, a odciek upadł Sojuz nikt się tym nie zajmuje. Drzewo zasadniczo trzyma się dobrze, choć nie brakuje miejsc, gdzie można wpaść do środka przez zbutwiałe deski.

W końcu dochodzimy do miejscowego cmentarza. W jego starej części Paweł pokazuje nam pięknie wykonany polski krzyż. Starannie wykuty w drzewie napis brzmi: „FRANCISZKA LUBELECKA UR. D. 22.6.1890 R. W KRASNYM STAWIE NA KRAKOWSKIM W LUBELSKIM ZD. 21. 12. 1942 R.”.

Z relacji Pawła wiadomo, iż krzyż zrobił mąż Lubeleckiej, którego do tej pory wspominają w Karpogorach jako wyjątkowo uzdolnionego rzemieślnika. Podczas aresztowania udało mu się przemycić ze sobą zestaw narzędzi, dzięki którym po uwolnieniu ze zsyłki zarabiał na życie i później wykonał krzyż na mogile swojej żony. Mogiła zachowała się dzięki staraniom Pawła, który kilka lat temu oczyścił ją z chaszczki i odnowił ogrodzenie. Krótka modlitwa, kilka pamiątkowych zdjęć i ruszamy w drogę powrotną. Wieczorem zabieramy swoje rzeczy z hotelu i idziemy kilka długich wiorst na nasz nocny pociąg do Archangielska... kolejny wyjazd dobiega końca.

Moja genealogia kresowa

Im człowiek jest starszy, tym chętniej zagłębia się w przeszłość. Projektorem pamięci wyświetla sceny ze swego życia, przywołuje do istnienia wizerunki osób najbliższych. Klatki wspomnień są już wprawdzie wyblakłe, niekiedy trzeba je mozolnie sklejać, nawet fabułę zmieniać jeśli odnajdzie się coś, co pozwala, a nawet zmusza do nowego spojrzenia na to, co nam się wydawało znane dotąd z osobistego doświadczenia.

STANISŁAW WODYŃSKI

Moje dzieciństwo upłynęło w PRL-u. Od samego początku było naznaczone przyciszonymi rozmowami rodziców, odwiedzinami nieznanymi nam osób, które albo były dalszymi krewnymi, powinowatymi albo uczennicami mamy i w drodze na Ziemię Odzyskaną, jak wtedy się mówiło, pojawiały się w naszym mieszkaniu w Wadowicach. Miałem ja i moje siostry jak najmniej wiedzieć. Nie pytać, nie dociekać. Potem ojciec umarł. Osamotniona mama z trójką małych dzieci, rzucona przez zawieruchę wojenną w zupełnie obce środowisko, wymazała z pamięci wszystko to, co już było, to co się w socjalistycznej rzeczywistości już nie liczyło, było, minęło, nie wróci. Liczyła się tylko walka o każdy dzień następny, o teraźniejszość. Jak przetrwać, nakarmić, ubrać, potem jak nas wykształcić. Zabroniono mamie – absolwentce Seminarium Nauczycielskiego we Lwowie pracować w szkole, zmuszono ją do mycia podłóg w szpitalu. Uprawnienia emerytalne uzyskała mama, jak miała 75 lat, wcześniejza jej praca w II RP się nie liczyła. Mimo, że Pan Bóg wynagrodził jej heroiczne wysiłki siedmiorgiem wnucząt nasza, świętej pamięci mama cały czas żyła teraźniejszością i przyszłością, a to, co było zostało jak palimpsest wymazane z jej pamięci. Więcej mogłem się dowiedzieć o historii rodziny „po mieczu” od kuzynów ze strony ojca. Kądział jawiła się osamotniona, porzucona przez wszystkich.

Jednak czepiając się rzuconego kiedyś okrucu wspomnienia mamy, iż panna Szczęsnowiczówna miała kuzynów, poetów Strzetelskich, dotarłem do wytrawnego historyka swojej rodziny doktora Piotra Strzetelskiego z Krakowa. W tym momencie otworzyła się jak książka moja genealogia kresowa! Początkowo Piotrowi, który miał wszystko bardzo starannie wywiedzione w postaci rozbudowanego drzewa do ósmego, a nawet dziewiątego pokolenia wstecz, trudno było zgłoszoną przeze mnie parantelę zaakceptować. Z tymi poetami, też był kłopot. Literaturą w tej zacnej rodzinie, której przedstawiciele parali się w większości zajęciami związanymi z przyrodą zajmowała się dotąd tylko jedna z ciotecznych praprababek Piotra, siostra jego prapradziadka Artura Strzetelskiego, „sawantka z Topolnicy” – Olimpia Zofia Grynberg, spoczywająca na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Ale przecież kiedy dopasowaliśmy do tej romantycznej wizji naszej mamy poetyzującego, w dodatku niezwykle elegancko ubranego młodzieńca Stanisława Strzetelskiego, starszego od naszej mamy o 8 lat, obiecującego już wtedy dziennikarza, wszystko zaczęło się jak w puzzlach układać. Brakowało jednak najważniejszego ogniwa, cały czas NN była tą ze Strzetelskich, która wyszła z mojego nieznanego z imienia dziadka Czajkowskiego.

Doktor Piotr już oswoił się z moim „kuzynostwem”, nawet przez grzeczność w drzewie zaznaczył gałązkę, jednak bardziej w tym wypad-



Piotr Strzetelski (od lewej), Stanisław Wodyński i Bogdan Martyczak

ku kierował się intuicją niż faktami. Po kilku, czynionych bez powodzenia próbach spotkania się, a to na spływie Dniestrem, a to w Krakowie, osobiście zetknęliśmy się dopiero w Mariampolu na Ukrainie. Piotr miał wtedy nade mną przewagę spotkania w Stanisławowie z kuzynostwem tam zamieszkałym i na powitanie podarował mi prababkę! Wincentyne Strzetelską – córkę brata jego prapradziadka Erazma Strzetelskiego – Ignacego juniora. I tak z enigmatycznego z korespondencji „kuzyna” stałem się solidnie umocowanym trzeciorzędowym, ciotecznym wujem Piotra! Przyspawany genealogicznie do 1761 roku, w którym to urodził się nasz wspólny protoplasta Ignacy Franciszek Strzetelski, starosta trembowelski.

Ta nasza, wspólna już teraz, sięgająca w daleką przeszłość ekspedycja na Ukrainę obfitowała w bardzo wzruszające momenty. Mieszkając u zaprzyjaźnionego ze mną od z górą 10 lat Gieńka Beregina w Mariampolu, byliśmy bowiem bardzo niedaleko od „matecznika, Strzetelskich – Uścia Zielonego, ongiś nawet siedziby starostwa, ważnego dla tamtych terenów położonych na Dniestrem centrum administracyjnego, w którym to kanoniczne rządy w tamtejszej parafii w latach osiemdziesiątych XIX wieku pełnił ksiądz Rafał Strzetelski, jeden z sześciu braci Ignacego juniora. Przy kościele pod wezwaniem św. Trójcy znajduje się rozległy dworek, w którym mieściła się plebania. W nim to mogła się urodzić w 1904 roku moja mama! Postać księdza Rafała Strzetelskiego miała wielkie znaczenie dla rodziny. Tamtejszy cmentarz pokrywają nagrobki z inskrypcjami proszącymi o modlitwę za Strzetelskich lub Strzetelskie de domo. Zupełnie zachowane w dobrym stanie, jak na warunki panujące na Ukrainie. Czakramy rodzinne przyciągające magnetyczną siłą nawet po upływie ponad stu pięćdziesięciu lat! Odkrywane przez nas dosłownie spod warstw zmuszającego mchu, ukryte w gąszczu rosnących burzanów. Dziwne a zarazem jakże swojskie miejsce. W sztafecie przekazującej geny, byliśmy żywymi ich nośnikami, ja dobiegający już do mety, Piotr w kwiecie i sile wieku. Wtedy zaczęła mi dźwięczeć w uszach przejmująca fraza znanej polskiej pieśni: „...ta ziemia do Polski należy, choć Polska daleko jest

stąd...”. Nazajutrz dołączył do nas przybyły ze Stanisławowa Bogdan Martyczak, który jest tak jak i ja dla Piotra jego trzeciorzędowym wujem, a moim kuzynem. Mielśmy bowiem wspólnego prapradziadka Ignacego juniora, a nasze prababki były siostrami! Franciszka Ksawera Strzetelska, prababka Bogdana, wyszła za mąż za kierownika szkoły w której również nauczyla, Rusina o nazwisku Deputat. Z tego związku przyszła na świat babka Bogdana – Stanisława, która wyszła za mąż za profesora gimnazjalnego c.k. Mikołaja Bażaluka. Państwo profesorstwo miało troje dzieci, jednym z nich była mama Bogdana – Joanna Helena. Jak i inne kobiety w rodzinie, a raczej już można mówić w rodzinie, była nauczycielką. Zaszczepiła jednak Bogdanowi znajomość mowy i tradycji przodków, bo jak sam ze wzruszeniem mówił „...w moim rodzinnym domu czwartek był dniem polskim, w którym wszyscy domownicy mówili wyłącznie po polsku...”. Zmarła w 1988 roku mama Bogdana pozostawiła mu również zarys drzewa genealogicznego, wywodzącego pochodzenie od małżeństwa Ignacego juniora Strzetelskiego h. Niezgodą z Apolonią Borzemską h. Jelita.

Spotkaniem ze mną Bogdan szczególnie był podekscytowany, przecież według posiadanych przez jego mamę informacji, zostaliśmy w 1944 roku w Ponikwi koło Brodów wszyscy zamordowani przez ukraińskich nacjonalistów. Cała zaś rodzina Marii, córki Ireny z Czajkowskich Szczęsnowiczowej, a wnuczki Wincenty Strzetelskiej, była przez te wszystkie lata przez nich oplakiwana. Nie było nas wśród żywych, nasza gałąź drzewa genealogicznego dla nich uschła! Fama tragedii, która dotknęła rodzinę siostry mojego ojca Wandy Wolaninowej, która wraz z mężem i córką została przez banderowców zamordowana w Pieniakach, została nam przypisana.

Z odmętów rzezi wołyńskich wydostaliśmy się jednak żywi i dopiero teraz po upływie prawie siedemdziesięciu lat odnaleźliśmy się na nowo. Na Ukrainie, w słoneczny dzień, uczestnicząc w pielgrzymce rodzin greckokatolickiej diecezji stanisławowskiej do łaskami słynącego grodu Maryi, Matki Jezusa – Mariampola.

KG

Śladem naszych publikacji

O rodzinie Szpaczyńskich – ciąg dalszy

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Cieszy nas bardzo, że nasze artykuły z nr 12 i nr 13 KG o Kazimierzu Szpaczyńskim, przedwojennym komendancie lwowskiej Straży Pożarnej, za sprawą naszych czytelników mają ciąg dalszy. Jeszcze ważniejsze jest to, że odzywają się do nas osoby, które bezpośrednio znały rodzinę Szpaczyńskich i nadal są z nią w kontakcie.

Banałem byłoby pisać znów, że w redakcji zadzwonił telefon... Ale tak też i było. Skontaktował się z nami pan Janusz Karpiński, naczelnik Biura Spraw Międzynarodowych Urzędu Miasta Opola.

Oto co przekazał nam pan Janusz Karpiński:

Szanowna Redakcjo! Z wielkim zainteresowaniem i zaskoczeniem przeczytałem artykuł Pana Redaktora Krzysztofa Szymańskiego zatytułowany „Współczesne tajemnice lwowskich kamienic” zamieszczony w Kurierze Galicyjskim nr 12 i cd. w nr 13.

Znałem bowiem żonę Kazimierza Szpaczyńskiego Józefę oraz córkę Zofię, która była moją matką chrzestną. Przekazuję więc garść informacji, które posiadam na temat rodziny Szpaczyńskich.

Józefa Szpaczyńska została zesłana, jak Pan pisze, do Kazachstanu. Przebywała tam wraz ze swoją córką Zofią Michałowicz, żoną żołnierza, który z Armią Andersa doszedł do Anglii i tam po wojnie osiadł. W Kazachstanie z tego związku urodziła się Ania. Tam również przebywała na zesłaniu moja ciotka Eliza Stelmachów, żona majora Wojska Polskiego straconego w Katyniu. Tam też nawiązała się znajomość

między rodzinami. Potem ciotka Eliza przyjechała do Opola, podobnie jak Józefa Szpaczyńska oraz Zosia i Ania Michałowicz. Znajomość z Kazachstanu była kontynuowana i w ten sposób Zofia Michałowicz została moją matką chrzestną. „Zunia” Szpaczyńska – aktorka dramatyczna i jej córka Zosia (zmarła w 1995) są pochowane na cmentarzu komunalnym na Półwsi w Opolu. Córka Ania wyszła za mąż. Jej mężem został dr Maciej Scheller z Gdańska. Wyjechała z Opola i osiedliła się początkowo w Anglii, potem w Ameryce. Najpierw w Kanadzie, potem w USA, a aktualnie zamieszkuje w Palm Beach na Florydzie.

Muszę też wspomnieć o jej wuju Zbigniewie – synu Kazimierza i Józefy Szpaczyńskich, bracie Zosi, który mieszkał i zmarł w Bytomiu. O ile mi wiadomo Ania utrzymuje kontakt z rodziną swojego wuja.

Egzemplarze Kuriera Galicyjskiego, traktujące o rodzinie Szpaczyńskich przesyłałem już Ani na Florydę. Mam nadzieję, że dokumenty przypadkowo odnalezione po kilkudziesięciu latach nareszcie trafią we właściwe ręce zapisując białe dotychczas karty historii rodziny Szpaczyńskich.

**Pozdrawiam serdecznie
Redakcję Kuriera Galicyjskiego i pozostaję
z uszanowaniem
Janusz Karpiński
Opole, 27 lipca 2012 roku**

Pan Janusz Karpiński sprostował niektóre dane, które podaliśmy. Mianowicie na zdjęciu z nr 13, przedstawiającym kobietę wśród egzotycznej roślinności, jest pani Zofia Szpaczyńska-Michałowicz (córka Kazimierza) na Florydzie w posiadłości swojej córki Anny.

POLSKI REPREZENTACYJNY ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA ZIEMI LWOWSKIEJ „WESELI LWOWIACY”

Zaprasza młodzież od 12 lat i wzywa do nauki polskich tańców narodowych, regionalnych i lwowskich. Próby zespołu odbywają się w szkole nr 10 w środy i piątki od godz. 19:30 do 21:00. Zgłoszenia przyjmujemy podczas prób lub pod nr tel.: 261 54 87 lub 0505087433. Serdecznie zapraszamy!

Kierownik zespołu Edward Sosulski

Apartament do wynajęcia

Wynajmę apartament przy pl. Katedralnym we Lwowie (centrum). Jest to duży pokój (70 m²), z łazienką, kuchenką gazową, naczyniami kuchennymi, Internetem.

Kontakt: +380677842151, Marian

Poszukujemy pracowników

BCJ Konsalting, Oddział w Polsce pilnie poszukuje:

– górników – wiek do 45 lat, mile widziana znajomość języka polskiego
– **nauczyciela** języka polskiego, ukraińskiego i rosyjskiego

**Kontakt: +48717879815,
info@bcj-konsalting.eu lub: 0679028421**

JAK SŁUCHAĆ POLSKICH AUDYCJI RADIOWYCH NA UKRAINIE (czas audycji ukraiński)

Z ETERU

Radio Polonia (godz. 18:30)

- Lwów – Radio Niezależność - 106,7 FM

- Winnica – Radio TAK – 103,7 FM

- Chmielnicki – Radio Podilla Center - 104,6 FM

- Równe - Radio Kraj – 68,2 FM

- Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyla – 71,1 FM i 103,4 FM

Polskie Radio Lwów – w każdą sobotę od godz. 9:00 do godz. 13:00 oraz w niedzielę od godz. 19:15 do 20:15 na fali 106,7 FM (Radio Niezależność)
Radio Lublin na 103,2 i 99,6 MHz słycać bardzo dobrze aż po Lwów (we Lwowie już nie wszędzie).

Polskie Radio Warszawa I – na falach długich 225 kHz

RADIO PRZEZ INTERNET

Polskie Radio – www.polskieradio.pl

Lwowska Fala – autorska audycja Danuty Skalskiej jest nadawana w każdą niedzielę od godz. 9:10 na antenie Polskiego Radia Katowice – www.radio.katowice.pl. Powtórka audycji – w niedzielę o 00:00 w nocy

RMF FM – www.rmf.fm

Radio Zet – www.radiozet.pl

Radio Maryja – www.radiomaryja.pl

Radio Opole – audycje o Polakach na Ukrainie – www.radio.opole.pl

Radio Wnet – www.radiownet.pl

Polskie Radio Lwów – www.radio-n.com

RADIO PRZEZ SATELITĘ

Programy **Polskiego Radia** emitowane są w systemie DVB przez satelitę HOT BIRD, a także przez platformę cyfrową Cyfra+

LWOWSKA MIEJSKA DZIECIĘCO-MŁODZIEŻOWA SPOŁECZNA ORGANIZACJA POLSKI ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA „LWOWIACY”

ZAPRASZA do Studium Tańców Polskich, założonego przy PZPiT „LWOWIACY”, dzieci i młodzież w grupach wiekowych 5–8 lat, 8–12 lat, 12–15 lat oraz do starszej grupy zespołu.

Próby zespołu odbywają się w szkole nr 10 we wtorki i czwartki, w godzinach od 18:00 do 21:00. Zgłoszenia przyjmujemy podczas prób zespołu lub na telefon: 0-677-982-315 bądź: 233-05-70, a także udzielamy fachowych rad w dziedzinie polskiego tańca i strojów ludowych.

prezes LMDMSO Stanisław Durys,
kierownik artystyczny PZPiT „Lwowiacy”

REKLAMA W KURIERZE GALICYJSKIM

**PIERWSZA STRONA
ПЕРША СТОРІНКА**

1 cm² – 8,50 грн.
1 cm² – 8,50 UAH
pełny kolor
повноколірний

**STRONY WEWNĘTRZNE
ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ**

1 cm² – 6,00 грн.
1 cm² – 6,00 UAH
pełny kolor
повноколірний

**STRONY WEWNĘTRZNE
ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ**

1 cm² – 4,50 грн.
1 cm² – 4,50 UAH
czarno-białe
чорно-білі

**STRONA OSTATNIA
ОСТАННЯ СТОРІНКА**

1 cm² – 7,50 грн.
1 cm² – 7,50 UAH
pełny kolor
повноколірний

Na zlecenie naszych klientów umieszczamy ogłoszenia również w prasie ukraińskiej. Ogłoszenia niekomercyjne, po uzgodnieniu z redakcją, mogą być drukowane nieodpłatnie

Adresy placówek dyplomatycznych Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

01034 Kijów, ul. Jarosławiw Wał 12
tel.: +38 044 230 07 00
fax: +38 044 230 07 43
+38 044 270 63 36
e-mail:
kijow.amb.sekretariat@msz.gov.pl

Wydział Konsularny Ambasady RP w Kijowie

01034 Kijów, ul. B. Chmielnickiego 60
tel: +38 044 284 00 40
faks: +38 044 234 99 89
e-mail: kijow.amb.wk@msz.gov.pl

Wydział Promocji Handlu i Inwestycji przy Ambasadzie

01034 Kijów, ul. Wołodymyrska 45
tel.: +38 044 279 12 98, 279 18 31
+38 044 279 45 37, 279 33 40
fax.: +38 044 278 11 40
e-mail: kiev@trade.gov.pl
http://www.kiev.trade.gov.pl/

Konsulat Generalny RP w Charkowie

61002 Charków, ul. Artioma 16
tel: +38 057 75-78-801
faks: +38 057 75-78-804
e-mail: mailto:charkow.kg.sekreta-



riat@msz.gov.pl
http://www.charkowkg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP we Lwowie

79011 Lwów, ul. Iwana Franki 108
tel: +38 032 295 79 90
faks: +38 032 295 79 80
e-mail:
lwow.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://lwowkg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Łucku

43016 Łuck, ul. Dubniwska 22 b
tel: +38 0332 280 640
faks: +38 0332 280 659
e-mail:

luck.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.luckkg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Odessie

65014 Odessa, ul. Uspienska 2/1
tel: +38 048 722 56 96
+38 048 722 60 03
fax: +38 048 722 77 01
e-mail:

odessa.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.odessakg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Sewastopolu

99003 Sewastopol, pl. Pirogowa 3
tel: +38 0692 539 881
fax: +38 0692 539 885
e-mail:
sevastopol.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.sevastopol.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Winnicy

21050 Winnica, ul. Kozickiego 51 – VI p.
tel: +38 0432 507-413,
inform.wizowa +38 0432 507-411,
ws. Karty Polaka +380432 507-412
fax: +38 0432 507-414
e-mail:
winnica.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.winnica.polemb.net/

Korzystaj z usług polskich przewodników ze Lwowa!

Fachowe oprowadzanie po Lwowie, pilotowanie grup turystycznych po Kresach w języku polskim

tel.: 0-0380679447843, 0-380677477329, 0-380676750662, 0-380504304511,
0-380504307007, 0-380509494445, 0-380987175971

Kurier Galicyjski

КУР'ЄР ГАЛИЦІЙСЬКИЙ

REDAKCJA:

Skrytka pocztowa (a/c) nr 80
Iwano-Frankiwska 76000,
абонентська скринька № 80
siedziba gazety:
Iwano-Frankiwska 76002

ul. Iwasiuka 60,
Івано-Франківськ
вул. Івасюка 60
tel. redakcji w Stanisławowie:
+38 (0342) 71-38-66
tel./faks redakcji we Lwowie:
+38 (032) 261-00-54
e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl

konto bankowe na Ukrainie:

ПП Ровіцкі М.М.
Код ЄДРПОУ 1965816635
р/р 2600001244414 в Івано-
Франківськійському відділенні
ПАТ «КРЕДОБАНК»,
м. Івано-Франківськ
МФО 325365

Świadectwo rejestracji
Seria KW nr 12639-1523 R
wydane 14.05.2007

Свідоцтво про державну реєстрацію Серія KB № 12639-1523 P від 14.05.2007 р.

Założyciel i wydawca:
Miroslaw Rowicki
Засновник і видавець
М. М. Ровіцкі

Skład redakcji:
Marcin Romer:
redaktor naczelny
e-mail: zgrodurevery@wp.pl
Maria Basza:
zastępca red. naczelnego,
dział fotoreportażu oraz dział grafiki komputerowej
e-mail: mariabasza@wp.pl
Konstanty Czawaga
e-mail: konstantyczawaga@wp.pl
Sabina Różycka
e-mail: pluglem@wp.pl
Krzysztof Szymański
e-mail: krzszymanski@wp.pl
dział informacji regionalnej i reportażu

Julia Łokietko
julieta.stella@gmail.com
Natalia Kostyk
e-mail: nataliakostyk@wp.pl
administracja portalu
Jurij Smirnow:
dział kulturalno-historyczny.

Stale współpracują:
Agnieszka Sawicz, Beata Kost,
Joanna Demcio, Elżbieta Lewak, Eu-

stacy Bielecki, Szymon Kazimierski, Aleksander Niewiński, Michał Piekarski, Irena Kulesza, Piotr Janczarek, Tadeusz Olszański, Tadeusz Kurlus, Jacek Borzęcki, Renata Kłęczkańska, Maciej Dęboróg-Bylczyński, Wojciech Krysiński, Aleksander Szumański, Włodzimierz Osadczy, Taras Prochaśko, Dorota Jaworska, Olga Ciwkacz, Wojciech Grzelak, Zbigniew Klimecki, Zbigniew Lewiński, Eugeniusz Niemiec, Barbara Stasiak, Katarzyna Łoza, Dmytro Antoniuk, Tadeusz Zubiński, Zbigniew Kulesza i inni.

Drukujemy również teksty autorów, z którymi się nie zgadzamy!

Pismo wspierane przez Senat RP za pośrednictwem Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie.

Za treść ogłoszeń, oświadczeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności, nie zamówionych rękopisów nie zwraca i pozostawia sobie prawo do skrótów.

ТЗОВ Видавничий Дім «Молода Галичина».

Indeks na prenumeratę 98780
Індекс передплати 98780
Газета виходить 2 рази на місяць

Podolska pralnia

Podole, kraina niezwykła, żeby nie powiedzieć magiczna. Pełna legend, bają, czarów, starych zamków, skąd podziemne korytarze wiodą zawsze nad rzekę, za miasto lub ruin oddalonego klasztoru. Ten płaskowyż pocięty głębokimi jarami kryjącymi w sobie całe wsie i miasteczka wygląda z drogi jak bezkresna równina. Wystarczy jednak skręcić z głównego traktu, by znaleźć się w zupełnie innym świecie.



Z tajemniczego domku wypływa strumyk

MARCIN ROMER
tekst i zdjęcia

Ten kraj zaczarowany zaczyna się zaraz za Horodenką, skąd już tylko żabi skok do brzegów Dniestru, płynącego tu w lesistym kanionie. Gliniasta drogą, prawie wąwozem, zjeżdżamy w dół pomiędzy zabudowania wsi Kolanka (dziś Kolinki), leżącej na zboczu głębokiego jaru, prowadzącego nad Dniestr. Zatrzymujemy nasz wehikuł pod odbudowaną cerkwią.

Dalej już pieszo, wąską ścieżką spuszcza się na dno stromego jaru. To droga nad rzekę i pastwiska znajdujące się na przeciwnym zboczu.

Z dala widać mały budynek. Podchodzimy bliżej. Widać wyraźnie, jak z tajemniczego domku wypływa strumyk.

Skrzypiące drzwi ustępują. Wchodzimy do środka. Środkiem całego budynku ciągnie się wielkie koryto z wmurowanymi kamiennymi



Woda ze źródła wpada bezpośrednio do koryta

tarami. To pralnia!!! W tylnej części budynku bije źródło, z którego, zimna jak lód woda wpada bezpośrednio do koryta. Pralnia jest używana, o czym świadczy stos zużytych opakowań po proszku Gala. Na ścianie rok budowy – 1986.

Tajemnicę wyjaśnia nam młoda mieszkanka wsi, która nadeszła

dźwigając wielką misę rzeczy do prania. We wsi jest problem z wodą. Nie wszyscy mają studnie. Te które istnieją są bardzo głębokie.

Do źródła chodziło się zawsze. Stąd nosiło się wodę w nosidlach, tu prało się kiedyś kijankami.

Teraz jest dobrze. Jest budynek. Woda nigdy nie zamarza.

Kantorowe kursy walut na Ukrainie

30.07.2012, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH
8,10	1 USD	8,16
9,90	1 EUR	9,96
2,37	1 PLN	2,46
12,67	1 GBR	12,95
2,47	10 RUR	2,51

Kurier Galicyjski

Można zaprenumerować na poczcie!!!

KOD PRENUMERATY

УКРПОШТА 98780

Cena prenumeraty pocztowej

1 miesiąc – 5,96 hrywien

3 miesiące – 17,88 hrywien

6 miesięcy – 35,76 hrywien

12 miesięcy – 71,52 hrywien

Organizacje i instytucje mogą też zamawiać prenumeratę bezpośrednio w naszej redakcji: osobiście, telefonicznie, listownie lub drogą mailową: kuriergalicyjski@wp.pl

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto „Kurier Galicyjski” można kupić:

w Krakowie w Księgarni „Nestor” przy ulicy Kanoniczej 15, tel. +48 (012) 421 92 94 (kod pocztowy 31-002); w Przemyślu – w Południowo-Wschodnim Instytucie Naukowym, przy ul. Grodzkiej 3 (kod pocztowy 37-700), tel. +48 (016) 678 73 33

Kurier Galicyjski można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty”.

Ponadto:

- w kioskach „Wysoki Zamek” we Lwowie, w Drohobyczu, Truskawcu, Borysławiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebniku;
- w kioskach „Interpres” oraz kioskach „Presa”;
- w polskiej restauracji „Premiera Lwowska” przy ul. Ruskiej 16 we Lwowie;
- w hotelu „Leopolis” – najlepszym hotelu na Ukrainie;
- w kościele św. Antoniego we Lwowie, przy kościele Marii Magdaleny we Lwowie (w niedzielę po nabożeństwie), a także przy kościele w Krzemieńcu;
- w Iwano-Frankiwsku (d. Stanisławowie) w „Sklepie Żelaznym”, Rynek 7;
- pismo jest też dostępne w Instytucie Polskim w Kijowie.



Ciekawe strony internetowe o Kresach

www.kresy.pl
www.kresy24.pl
www.wspolnota-polska.org.pl
www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.webpark.pl
www.kresy-krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie
www.wizyt.net/
www.kresy.co.uk stanislawow.pl
www.kresy2000.pl

www.hanaczow.pl
www.fotojonny.republika.pl
www.poznajukraine.com
www.wycieczki.pl.ua
www.lwowiacy.pl

Pełne wydanie Kuriera Galicyjskiego w PDF na:
www.kuriergalicyjski.com
www.lwow.com.pl
www.duszki.pl
www.pogranicze.eu

Partnerzy medialni

